

# PRZE KROJ

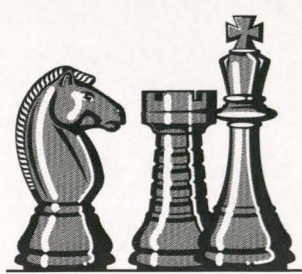
nr 2 (3521), 14 stycznia 2013, cena: 3,99 zł (w tym 8% VAT)  
www.przekroj.pl

## Czas wkurzonych lasek

Wywiad  
z Sylwią Chutnik → 6







# PRENUMERATA 2013

## Teraz Twój ruch!

Zamów roczną prenumeratę elektroniczną z tabletem Lark Freeme 10.4 tańszym o 23%!

OFERTA TYLKO DLA PRENUMERATORÓW!

~~896 zł~~ netto  
**690 zł** netto  
+ CENA PAKIETU



Ekran 9,7 cala, matryca IPS, Full HD, Procesor 1,2GHz, modem 3G, WiFi, 8GB, 1GB DDR3, akcelerator 3D, G-Sensor, HDMI, microSD, kamera, Android 4.0, bateria 5-6 godzin pracy

TRANSPORT GRATIS

Zadzwoń pod **800 120 195**  
lub wejdź na [www.rp.pl/prenumerata](http://www.rp.pl/prenumerata)

Pobudzamy myślenie  **RZECZPOSPOLITA**



## PRZE KROJ

W tym tygodniu nie piszemy...

... o warszawskim metrze. Hanna Gronkiewicz-Waltz co chwilę zmienia zdanie w sprawie nocnych kursów metra w weekendy. Sami już się w tym gubimy. Warszawa, którzy lubią imprezować, radzimy przewencyjnie bawić się zawsze do rana.

... o wąsach Bronisława Komorowskiego. Prezydent zgolił je za namową żony. Ciekawe, czy podąży za hipsterską modą i zapuści teraz brodę.

... o tym, że Narodowe Odrodzenie Polski Dzielnica Świętokrzyska organizuje w Kielcach marsz ku czci Romana Dmowskiego i Eligiusza Niewiadomskiego. Ten drugi, zabójca Gabriela Narutowicza, prezydenta II RP, wydaje nam się bohaterem na miarę świętokrzyskich patriotów.

... o tym, że gdy rzeczniczka mazowieckiego SLD chciała zgłosić usiłowanie gwałtu, usłyszała od policjantów, że ma przyjść następnego dnia. Bo łatwiej w Polsce zgwałcić, niż opowiedzieć o tym funkcjonariuszom prawa.

... o Gerardzie Depardieu. Zmęczyło nas samo myślenie o nim i jego rosyjskim paszporcie. No i uznaliśmy, że odpuszczamy.

... o zespole Weekend. Tak, mieliśmy napisać już teraz. Ale potrzebujemy jeszcze chwilki, by przetrawić jego rytmiczną twórczość. Już za tydzień zatańczymy dla was!

## NA POCZĄTEK



ZUZANNA ZIOMECKA

Gdy w Ameryce rozpoczęła się tej zimy epidemia egzekucji oddolnych za pomocą broni palnej, trafiłam na błyskotliwego mema. Przedstawiał zestawienie liczby legalnych rodzajów broni auto-

matycznej (35) z gatunkami legalnych w Ameryce serów francuskich (11). Ameryka ma z jednej strony obsesję na punkcie bezpieczeństwa, która miejscami przekracza granice zdrowego rozsądku, a z drugiej oddaje narzędzie służące wyłącznie do wyrządzania krzywdy w ręce każdego pełnoletniego obywatela. W USA prawo do posiadania własnego arsenału jest okrągłym stołem tamtejszej demokracji. Górnolotne uzasadnienie. W realu wygląda to tak, że mój sąsiad na przedmieściach Detroit miał po co sięgnąć, gdy nasz rodzinny pies Ciapek (dwujęzyczny kundel z polskiej dzielnicy Hamtramck) postanowił wykorzystać jego nieskazitelny trawnik jako toaletę. Broń pod ręką eskaluje do wymiarów tragicznych nawet prozaiczne, codzienne konflikty sąsiedzkie, których u nas więcej niż „polski kielbasa”. W naszym kłótniowym społeczeństwie prawo do posiadania broni zamieniłoby każde Święto Niepodległości w krwawą jatkę. Jednak to, według nas, kuriozalne prawo (objaśnione przez Marka Wałkuskiego na s. 48) dziwi nas nie mniej, niż Amerykanów zaskakuje obecność krzyża w naszych szkołach i edukacja seksualna w rękach katechetek. Właśnie zaczyna się poważna dyskusja na temat broni palnej w USA. Może też czas omówić szerzej zwyrodnienia naszej demokracji? Zacznijmy od rozmowy z Sylwią Chutnik (s. 6)...



MARCIN PROKOP

Kiedy byłem w szkole podstawowej, rodzice pewnego bardzo nie lubianego kolegi wpadli na pomysł, jak zwiększyć towarzyską atrakcyjność ich syna. Ufundowali kontyngent darmowych pączków w szkolnym sklepiku. Do każdego z nich dołączana była odbita na ksero karteczka z podobizną chłopca i hasłem: „Radek życzy smacznego”. Żeby wszyscy wiedzieli, komu zawdzięczają gratisowe słodkości. Interes się opłacił. Słodki Radek przestał być pomijany przy zaproszeniach na rodzinowe domówki i nikomu nie przyszło do głowy, żeby ignorować go podczas kompletowania składów podwórkowej ligi piłkarskiej. Co więcej, wkrótce został przewodniczącym klasy. Istnieje podejrzenie, że elekcję ułatwiły rozdane wyborcom z dawnych gumy Donald (jakakolwiek zbieżność imion jest przypadkowa, a skojarzenia ze światem dzisiejszej polityki są zupełnie niezamierzone).

Od tamtej pory minęło ćwierć wieku, ale – jak się okazuje – sztuka pozyskiwania przyjaciół i sojuszników nie zmieniła się ani trochę. Pisze o tym Jerzy Ziemacki w tekście na temat kupowania lajków w sieci (s. 22). Chciałbym wierzyć, że można w ten sposób uzasadnić olbrzymią popularność rozmaitego internetowego badziewia, którego przecież nikt normalny naprawdę by nie polubił. No, chyba że dostałby pączek albo gumę do żucia Wrigley's. No ale może z tym internetowym badziewiem przesadzam. Może się nie znam? W końcu vox Populi, vox Dei.

RACZKOWSKI





**AKTUALNOŚCI**

- 6 → **RODZINA** **Femme brutale** Sylwią Chutnik przepytuje Zuzanna Ziomecka
- 12 → **OSOBOWOŚĆ** **Latka leca, serducho rośnie** Z Jurkiem Owsiakiem rozmawia Hanna Rydlewska
- 20 → **EWOLUCJE** **Wyciągnąć bagna z bagna** Wojciech Mikołuszko

**GRUBE SPRAWY**

- 22 → **INTERNET** **Zmierch ery lajków** Nie kupujcie sobie fanów w sieci, bo nie warto - przestrzega Jerzy Ziemacki
- 28 → **NAUKA** **Nowy lepszy świat** Ewa Nieckuła



12

52



MATERIAŁY PRASOWE

- 32 → **ZJAWISKO** **Miłość od pierwszego kliknięcia** Jak działa portal randkowy sztyty na miarę - bada Anna Przybył
- 36 → **ŚWIAT** **Lodowata księżniczka** Pierwszą kobietę prezydent w Korei Południowej - przedstawia Anna Gwozdowska
- 40 → **SPOŁECZEŃSTWO** **AAA Niewolnika zatrudnię** Olga Święcicka
- 44 → **GOSPODARKA** **Więcej niż zielona wyspa** Anna Kowalczyk
- 48 → **OBYCZAJE** **Prawo do samoobrony** O amerykańskiej kulturze broni - pisze Marek Wałkusi

**KULTURA**

- 52 → **SZTUKA** **Kto się boi banana, czyli Natalia w Brooklynie** Stach Szablowski o ikonie polskiej neoawangardy

**ROZMAITOŚCI**

- 74 → **RETRO/FUTURO** **Stąd do wieczności: jak dziś żegnamy bliskich** Agata Napiórska i Marta Mach
- 78 → **KUCHNIA** **Rosół. Lek na całe zło** Aga Kozak
- 80 → **WINO** **Kto ufa blogerom** Wojciech Bońkowski

**FELIETONY**

- 19 → **MARIUSZ ZIOMECKI** **Policyjne państwo drogowe**
- 39 → **AGNIESZKA DROTKIEWICZ** **GOŚCINIE** Gotować i opatrywać rany
- 64 → **MACIEJ NOWAK:** **Zamienię glany na huntersy**
- 72 → **MAX CEGIELSKI** **I ty zostaniesz starcem**

RACZKOWSKI



**PRZEKROJ**

**ADRES REDAKCJI**  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa,  
22 463 03 00, www.przekroj.pl,  
e-mail: doredakcji@przekroj.pl

**Redaktorzy naczelni:**  
Zuzanna Ziomecka  
Marcin Prokop

**Zastępcy redaktorów naczelnych:**  
Hanna Rydlewska  
Monika Brzywczy  
(redaktor działu Kultura)

**Redaktor działu Grube Sprawy:**  
Anna Gwozdowska

**Redaktorzy:**  
Grażyna Raszkowska  
Grzegorz Sobaszek  
**Sekretarz redakcji:**  
Katarzyna Czarna

**Współpracownicy:**  
Wojciech Bońkowski, Kuba Dąbrowski, Mateusz Farenholz, Angelika Kucińska, Marta Mach, Wojciech Mikołuszko, Katarzyna Nowakowska, Agata Napiórska, Cezary Polak, Marek Raczkowski, Marianna Saska, Karolina Sulej, Stach Szablowski, Mike Urbaniak

**Projekt graficzny:** Magdalena Piwowar

**Pracownia graficzna:**  
Andrzej Figatowski

**Fotoedycja:** foto@przekroj.pl,  
Katarzyna Serek

**Korekta:** Ling Brett

**Strona internetowa:** KRCMedia.pl  
**Wydawca:** Presspublica sp. z o.o.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa

**Promocja i marketing:** Cezary Piernikowski - p.o. Dyrektora Marketingu i Rozwoju, Paulina Berska (p.berska@rp.pl)

**Biurowisko Reklamy i Ogłoszeń:**  
Presspublica sp. z o.o.  
ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa;  
tel. 22 629 86 14; 22 621 48 69;  
fax. 22 621 46 58; 22 625 61 57;  
reklamainfo@presspublica.pl

**Dyrektor Biura Sprzedaży Korporacyjnej:** Witold Trzcinski  
tel. 22 463 05 53

**Dyrektor Działu Agencji i Magazynów:** Filip Weichert  
tel. 22 463 01 88



**PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”**

**Prenumerata redakcyjna:**  
Cena prenumeraty 2013 r.:  
Roczna: 175 zł, kwartalna: 46,80 zł  
Zamówienie na prenumeratę należy składać e-mailem:  
prenumerata@przekroj.pl  
Dodatkowe informacje:  
tel. 800 120 195; 22 463 00 87

**Prenumerata kolporterska**  
Oddziały Ruch S.A., tel. 801-800 803  
lub 22 717 59 59 - telefoniczne Biuro  
Obsługi Klienta czynne w godz. 7-18,  
www.prenumerata.ruch.com.pl,  
urzędy pocztowe

**Prenumerata na e-Wydania:**  
www.przekroj.pl, www.sklep.rp.pl,  
www.egazety.pl, www.e-kiosk.pl

**Dostęp na stronie www i wersji na iPada:**  
Prenumerata na iPad przez App Store:  
tydzień - 0,79 €, miesiąc - 1,59 €, rok - 19,99 €

Prenumerata na Android przez Google Play: tydzień - 3,49 zł, miesiąc - 6,89 zł, rok - 78,99 zł  
Dostęp do serwisu oraz e-wydania przez przekroj.pl: tydzień - 2,89 zł, miesiąc - 8,89 zł, rok - 89,00 zł  
Informacje: serwisypłatne@rp.pl, tel. 22 46 30 066

**Zdjęcie na okładce:**  
Wojciech Rudzki/LAF AM



**ekonomia24.pl**

wszystko jest ekonomią

**Transport morski - 13 000 zł/25 t**

**Dokumenty SAD 80 zł**

**Obsługa towaru 150 zł**

**Średni kurs CNY - 0,4523 zł**

**+ 23%**

**Zgłoszenie towaru na posterunek celny 50 zł**

**Nic co na rynku nie jest nam obce**

Wejdź na serwis ekonomia24.pl, gdzie doświadczeni dziennikarze ekonomiczni „Rzeczpospolitej” zbierają najnowsze informacje z rynku i doradzają, gdzie warto zainwestować.



ROZMAWIA ZUZANNA ZIOMECKA

## Femme brutale

O toczących się bojach politycznych wokół polskiej rodziny rozmawiamy z **Sylwią Chutnik**, feministką, działaczką społeczną i varsavianistką, autorką wydanej ostatnio powieści „Cwaniary”, książki o wściekłych dziewczynach, które przemocą rozprawiają się z facetami.

**Z**najdujemy się w społecznym okresie przejściowym. Trwa walka polityczno-religijna o gumkę na penisie. Nowe normy obyczajowe zderzają się z naszym wciąż klasycznym podejściem do związków. Dodać do tego bezlitosne mechanizmy rynkowe i mamy być – za mało dzieci rodzących się w Polsce. Sfrustrowane tą sytuacją kobiety znajdują „guilty pleasure” w nowej powieści Sylwii Chutnik. Kobiety biorące sprawy we własne ręce i spuszczone lanie chłopakom dorwanym na ulicy? Ta absurdalna wizja wynika z absurdalnej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy.

**Czy zgadzasz się z tezą filmu „Bejbi blues”, że pokolenie Y rodzi dzieci jako gadżet modowy?**

Jestem daleka od tworzenia teorii dotyczących kolejnej generacji, bo – jak wiemy – takie ujednoczenie jest płytkie. Na pewno nasze czasy zmieniły stosunki rodzinne i to już widać. Dla pokolenia 30-latków bokowanie się z mitem matki Polki jest cały czas realnym obciążeniem. Zmagamy się z tradycją, przyzwyczajeniami i tym, co dały nam nasze matki, nasze babki. Odnosimy się do postromantycznego mitu cierpiętnictwa i próbujemy walczyć ze stereotypem podomki i siedzenia w domu. Tymczasem coraz częściej zauważam, że młode mamy mają już inaczej. Im nie chce się już o tym myśleć. Nie odziedziczyły tego balastu.

**Czyli młode mamy mają luksusowe macierzyństwo bez poczucia winy.**

Do tego w nowym, miejskim wydaniu stworzonym przez zbuntowane przeciw matce Polsce starsze koleżanki. Urodziły te dwudziestoparolatki dziecko lub dzieci i sru – do klubokawiarni rodzinnej! Myślę o mamach wielkomiejskich, bo niestety, jeśli chodzi o przystosowanie przestrzeni publicznej do posiadania dzieci i podróżowania z nimi gdzieś poza domem, jest to możliwe jedynie w metropoliach. Małe miasteczka i wsie, gdzie musisz PKS-em jechać 20 km na rehabilitację z niepełnosprawnym dzieckiem, to druga, ale bardzo powszechna skrajność. Natomiast wielkomiejskie mamy, z którymi mam najczęściej styczność, zastały już klubokawiarnie, podjazdy. Często mieszkają w nowym budynku z windami i nowoczesnymi udogodnieniami, które stają się dla nich oczywiste.

**Macierzyństwo w dobrobycie jest łatwiejsze i podlega modzie, np. na chusty.**

Modne są chusty, a w ogóle to modne są samochody, i to dwa na rodzinę. Klasa średnia wzbogaciła się motoryzacyjnie, a jeszcze całkiem niedawno można było o tym jedynie pomarzyć. W związku z tym wszystkim jest teraz zupełnie inaczej. To już nie jest kwestia „mieć albo nie mieć”, tylko „co mieć”. Jeszcze osiem lat temu, gdy powstawała moja fundacja, zaczynało się mówić o chustach. Dziś mówi się,

jaką chustę wybrać najlepiej, bo rodzajów noszenia dziecka jest tysiąc pięćset sto dziewięćset.

**To jednak wzmacnia tezę, że dziecko staje się obiektem, produktem, który jest zabawką w gadzeciarskim świecie.**

Ten świat prowokuje do tego, żeby ugadżecić nasze macierzyństwo, nasz związek, naszą pracę, bo nawet jeśli siedzimy w nudnym open space, to sobie na Allegro kupimy uszy „Playboya”, które postawimy na ekranie. Spiskowe teorie pojawiają się, kiedy zaczynamy to interpretować na poziomie ekonomicznym: kogo stać, a kogo nie. Zaczynamy odbierać świat jako jeden wielki lunapark, w którym jeździmy na rollercoasterze emocjonalnym i finansowym. A wracając do pytania o „Bejbi blues” – myślę, że film nie jest portretem pokoleniowym. Szczerze mówiąc, zaskoczył mnie pomysł, że nastolatki chcą mieć dzieci do zabawy.

**Rosłaniec pokazała, moim zdaniem niechęcy, ale jednak, pokolenie opuszczone przez dorosłych. Wspiera to cytaty bohaterki, czującej się opuszczonej przez matkę: „Urodziłam sobie dziecko, żeby mieć coś do kochania”. Trafilo to do ciebie?**

Uderzyło mnie to od razu. Przypomniały mi się takie rozmowy z ludźmi, którzy pracują z dziewczynami z domów dziecka. One dość często szybko zakładają rodzinę, nieraz jeszcze w domu dziecka. Zazwyczaj, niestety, te zwią-





ki się szybko kończą. To jest niezwykle smutna historia, kiedy dziewczyna bez rodziny próbuje stworzyć ją sobie sama, bo kieruje nią ludzka potrzeba posiadania bliskich osób. Dziecko wydaje się idealnym katalizatorem, bo kocha nas bezwarunkowo, a i my mamy gąbkę do wchłaniania naszej wylewnej miłości. To jest jedna z prostszych relacji, oczywiście na etapie początkowym. Potem sytuacja się komplikuje.

**Tyle że ta teza ma zastosowanie nie tylko w przypadku dziewczyn z domów dziecka, ale też całego młodego pokolenia, którego rodzice po zmianie ustroju rzucili się w wir pracy. Mówi się, że te dzieciaki wychowały się same ze sobą w Internecie. Pracując z mamami w Fundacji MaMa, dostrzegasz różnice pomiędzy dwudziestoparolatkami a trzydziestolatkami?**

Jeżeli miałabym się jednak pokusić o jakieś uogólnienie, nie ograniczyłabym się do pokolenia ujętego w jakieś widelki wiekowe. Wolałabym raczej zwrócić uwagę na to, co się dzieje między nami wszystkimi. Ja to nazwałam „pokoleniem plecowym”. Widzę plecy dziecka, które siedzi przy kompie, ale ono też widzi moje plecy, bo mam pięćdziesiąty projekt, nad którym pracuję, kiedy ono już jest po szkole. Więc to jest pokolenie totalnego odwrotu.

**Fundacja zajmuje się skutkami takiego braku czasu i współdziałań rodzinnych?**

W fundacji mam do czynienia głównie z młodymi matkami, takimi z dziećmi do szóstego roku życia, a zatem ten problem nie jest tak oczywisty w tej grupie wiekowej. Ale myślę, że jest bardzo duża luka w tym, aby wspierać starsze dzieci. Jest niewiele inicjatyw, zajęć, warsztatów. Są bardzo infantylne filmy animowane, a potem już jatki typu „Władca Pierścieni”. Niewiele jest pomiędzy. Podobnie w teatrze.

**Tak samo na rynku prasowym.**

Pamiętam, że ja czytałam „Filipinkę”. Ta luka wynika z braku produktów kierowanych do tego segmentu rodziców.

**Wszyscy jesteśmy „pokoleniem plecowym”. Widzę plecy dziecka, które siedzi przy kompie, ale ono też widzi moje plecy, bo mam pięćdziesiąty projekt, nad którym pracuję, kiedy ono już jest po szkole.**

Firmy z czymś do sprzedania rodzicom interesują się przede wszystkim rodzicami dzieci do trzeciego roku życia.

**Czyli nie tylko dorośli nie interesują się dziećmi, ale i reklamodawcy. Wracając jeszcze do „Bejbi blues” – czy z tego braku uwagi mamy do czynienia w Polsce z wielkim problemem z nastoletnimi ciążami?**

Według GUS, w 2011 r. 40 tys. dziewczynek urodziły matki poniżej 18. roku życia. To nie jest jakiś wielki alert, bo to raptem 4–5 proc. ciąż w ogóle. Jednak nie chciałabym, żeby ciąża nastolatki była rozpatrywana jedynie w kategorii problemu.

**Zaskoczyłaś mnie. W ogóle by mi nie przyszło do głowy, że ciąża nastoletki może nie być problemem.**

Po pierwsze, każda ciąża może być problemem, szczególnie ta niechciana. Po drugie, nie myślmy o nastoletnich mamach w taki dyskryminujący sposób, że to wszystko, co robią, jest dla nas problemem. Bo tego nie rozumiemy, bo nie wiemy, jak sobie z tym poradzić. Jeśli chodzi o edukację, o nastoletnie matki, prawo jest akurat dość dobrze skonstruowane, przynajmniej w teorii. To znaczy dziewczyna, która zostaje matką, a chce się jeszcze uczyć, ma do tego prawo. Szkoła z kolei ma obowiązek pójścia jej na rękę w postaci dodatkowych egzaminów czy indywidualnego toku nauczania. Jednak wszyscy znamy takie historie, kiedy w białych rękawczkach dyrektorka czy dyrektor, którzy są władni ponad wszystkich, wzywają rodziców takiej dziewczyny i sugerują opuszczenie szkoły. Oczywiście wzywane są rodziny dziewczyn, bo – jak wiemy – dzieci mają kobiety, a nie mężczyźni. Chło-

piec, który jest w szkole i spodziewa się dziecka, nie ma problemu.

**Włącza mi się od razu myślenie spiskowe.**

**Może z edukacją seksualną nie jest u nas najlepiej, by zwiększyć przyrost naturalny?**

**No wiesz, to taki tajny rozdział naszej awangardowej polityki rodzinnej.**

Ciekawe... Tym bardziej że osoba, która urodziła dziecko przed 18. rokiem życia, nie ma pełnych praw rodzicielskich. O dziecku decyduje opiekun prawny matki. Czyli np. becikowego nie może odebrać matka, tylko jej rodzice, a jeśli rodzice ją wywalili z domu, to zaczyna się problem. Polityka rodzinna, co oczywiście, opiera się na wspieraniu dzietności, ale nikt nie zadaje sobie pytania, czy rodzimy chciane dzieci.

**Jeśli idzie o edukację seksualną, jesteśmy mniej więcej 30 lat do tyłu względem Zachodu. W ramach nadrabiania zaległości pojawiła się propozycja zmiany. Wanda Nowicka namawia, by wprowadzić holistyczny program już w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Co ty na to?**

Mam zaufanie do Wandy Nowickiej, ponieważ zajmuje się tą tematyką od wielu lat i jest jedną z bardziej kompetentnych osób, które znam i które powinny się na ten temat wypowiadać. Ona ma doświadczenie, ale jest też odważna. Nie patrzy na kler, na naszą kulturę, na to, co ludzie powiedzą. Opiera się z jednej strony na badaniach, a z drugiej na doświadczeniach innych krajów. Z kolei grupa edukatorów Ponton opiera się na doświadczeniu w pracy z młodzieżą. I to jest czysta żywa wiedza.

**Takie zajęcia bywają prowadzone przez katechetki, które uczą z zacięciem ideologicznym, często podając nieprawdziwe informacje, np. że można wyplukać spermę, kąpiąc się po stosunku w wodzie z octem. Co byś zrobiła, gdyby twój syn Bruno trafił na zajęcia z edukacji seksualnej do zakonnicy?**

Dotykamy tu trzech problemów. Po pierwsze, w Polsce gumka na penisie jest polityczna, wszystko tu jest polityczne, co oczywiście gdzieś tam

ma swoje umocowanie, ale w zależności od tego, która polityka jest lepsza, to wygrywa. Druga kwestia to obecność kleru w polskich szkołach świeckich, jak wiemy, z krzyżem nad drzwiami. A trzecia rzecz, to postawienie pytania, na ile sama edukacja seksualna załatwi temat. Oczywiście powinna być w szkołach obecna. Ale wyobrażam sobie taką sytuację: 15-letni chłopak otrzymał rzetelną wiedzę na zajęciach seksualnych i podejmuje decyzję o współżyciu ze swoją dziewczyną. Powinien kupić prezerwatywę, prawda? Żeby to zrobić, musi mieć odwagę i pieniądze.

**Czyli edukator seksualny dzieci powinien wręczać im prezerwatywy?**

Zdecydowanie tak. Za edukacją seksualną musi iść zmiana świadomości społeczeństwa. Musimy wyeliminować wstyd, a raczej go przewartościować, żeby wstydem było niezabezpieczenie się. A do tego bardzo nam daleko, bo w Polsce gumką wymachujemy we wszystkie strony. Kościół mówi, że właściwie wszystkie raporty dotyczące aborcji i edukacji seksualnej organizacji pozarządowych są ideologiczne. My mówimy to samo o Kościele. Dopóki seks będzie totalnie zideologizowany, a jednocześnie traktowany jako coś szalenie wstydlivego, nie wyrwiemy się z tej matni. Fałszywy wstyd nie może być pretekstem, by nie zaspokajać rosnącej potrzeby świadomości i tego, że mamy prawo rozporządzać swoim życiem.

**Albo czy pokolenie coraz bardziej religijnie neutralne nie wyzwoli się z tego wstydu samodzielnie?**

Gdybyśmy chcieli czekać, aż coś się samo zrobi, to byśmy jeszcze nie miały prawa głosować. Nie możemy czekać, aż dzieciaki nam zrobią rewolucję. Nie możemy też świata dzielić na pokolenia. W „Bejbi blues” konsumpcyjne podejście do macierzyństwa jest pokazane na przykładzie nastolatki, ale ja widzę to samo u 30- i 40-latek. Znam wiele takich osób, które się ustabilizo-

wały finansowo i popadają w skrajne gadzciarstwo po urodzeniu dziecka. Więc to jest dokładnie to samo myślenie. Nie chciałabym, żebyśmy sferę seksu dzieliły na dzieci, dorosłych i pokolenie uniwersytetu trzeciego wieku. Wszyscy muszą się starać, od 16-latki po 80-latkę. To jest ta sama sfera życia. Nasze rozmnażanie, nasze środki antykoncepcyjne i prawo do decydowania o sobie.

**Seks i prezerwatywy w szkołach, oddzielenie Kościoła od państwa. Brzmi jak program Ruchu Palikota.**

Nie ekscytuję się programami partii politycznych. O wiele bardziej interesuje mnie to, co myśli społeczeństwo, oraz to, co jesteśmy w stanie zrobić, aby wreszcie nie musieć nazywać się wierzącym niepraktykującym. Myślę, że Kościół miałby spektakularne dane. Zapytaj, jaki jest procent chrztów, jaki jest procent komunii, która przecież odbywa się w szkole. To mnie bardziej interesuje niż obietnica jakiejś partii, że nie będzie Boga. Ja chcę konkretów. Jakie będą projekty ustaw proponowanych przez poszczególne partie, czy mają szansę wejścia w życie i jak przełożą się na praktykę. Interesuje mnie, czy pani Bożena z małej miejscowości będzie mogła swobodnie powiedzieć: „Nie, moje dziecko nie pójdzie do komunii”. To są prawdziwe ruchy.



WANDY NOWICKA

**To się dzieje, choć szalenie wolno. Nasze rówieśniczki i dziewczyny, które wraz z nami urodziły dzieci, wciąż mają odruch chrzczenia dla świętego spokoju.**

**Dopóki seks będzie zideologizowany, a jednocześnie traktowany jako coś szalenie wstydlivego, nie wyrwiemy się z matni. Fałszywy wstyd nie może być pretekstem, by nie zaspokajać rosnącej potrzeby świadomości i wolności rozporządzenia własnym życiem.**

Dlatego, że to się kojarzy z walką z klerem, a jak wiemy, antyklerykalizm jest w Polsce szalenie nicelegancki. Tyle że czym innym jest ludyczny antyklerykalizm, który polega na psioczeniu, że proboszcz współżyje z jakąś panią zakonnica, co jest wewnętrzną sprawą Kościoła, a czymś zgoła innym antyklerykalizm krytyczny, który przypomina nam, że państwo świeckie jest wykorzystywane przez jedną z dominujących religii. To są dwie odrębne sytuacje. Nie mam zamiaru być uciszana tylko dlatego, że ktoś mi powie, że to jest antyklerykalizm, a zatem coś kompletnie niepoważnego politycznie czy społecznie. Dla mnie to, że nie posyłam dziecka na religię, bo takie są poglądy w mojej rodzinie, nie jest jakimś sztandarem na barykadzie, to jest indywidualna decyzja mojej rodziny i nie sądzę, żeby to było bardzo antyklerykalne czy wręcz antyreligijne. Nie muszę być „anty”, żeby pewnych rzeczy nie wybierać. Natomiast w Polsce jest tak, że wybieramy praktykowanie religijne dla babci o wiele częściej niż dla Boga. Robimy to dla księdza z parafii, bo nas potem wytknie palcem w sklepie. To jest nasza rodzina! Ale najbliższa społeczność, sąsiadka, koleżanka, która krzywo spojrzy, są dla nas ważniejsze. W Polsce zawsze ktoś się obruszy i oburzy religijnie, więc jeśli powiesz coś krytycznego o Kościele, zostaniesz nazwana antyklerykałem i koniec balu, panno Lulu. Nic więcej już nie powiesz, bo beknęłaś publicznie i do widzenia.

Podczas ostatniej dekady jednak wiele się zmieniło. Po śmierci Jana Pawła II ludzie powoli ośmielają się mówić o swoich wyborach religijnych publicznie. Niestety, ta odwaga jest płytka. Boimy się na przykład o własne dzieci, że jeśli nie pójda na religię, będą wykluczone.

Wykluczenie dzieci dzieje się przede wszystkim pod względem ekonomicznym. Ważne jest, kogo stać na zabawkę aktualnie promowaną przez producentów wysokobudżetowego filmu. Wykluczane są dzieci, które mają



mniej. Natomiast zmiany są oczywiste, bo coraz częściej wyjeżdżamy albo nawet emigrujemy. Okazuje, że poza Polską istnieją inne światy, a poza Kościołem katolickim istnieją inne religie. Nagle człowiek widzi, że po jednej stronie ma meczet, po drugiej cerkiew, po trzeciej, nie wiem, stowarzyszenie...

**...latającego potwora spaghetti.**

Pojawia się dysonans. Chodzę do sklepu, który prowadzi kobieta w chuście, i mam koleżankę, która jest z Afryki, jej dziadek był szamanem i ona ma część jego prochów w medalionie na szyi. W takiej sytuacji musisz, choćbyś była bardzo oporna, zweryfikować podejście do jednej jedynej słusznej prawdy, z którą wyjechałaś z kraju. Potem wracasz do Polski i coś zaczyna uwierać.

**Jest jeszcze coś, co uwiera. Do sformułowania „pokolenie odwróconych pleców” i „religijnych dla babci” można dodać hasło „pokolenia bez ojców”.**

To wstrząsające. Mamy możliwość finansową, nie boimy się korzystać z pomocy terapeuty, szkolenia i warsztaty w każdym mieście są oblegane. Poznaj siebie, poznaj swojego kota, rozwiń zdolność radykalnego wybaczenia i nawet problem, którego nie masz, możesz teraz przerobić. No, a z drugiej strony rozwalają się te związki.

**Może za dużo uwagi skupiają na sobie kobiety? Na przykład twoja fundacja. Nie żalujesz, że zajmujesz się mamami zamiast rodzicami?**

Nie, bo ja za kogoś rewolucji robić nie będę. My wielokrotnie chcieliśmy coś robić dla ojców i nie cieszyło się to zbyt dużym zainteresowaniem. Mam wrażenie, że potrzebny jest taki ruch i gdzieś powoli powstaje, ale dopóki nie nastąpi prawdziwa emancypacja ojców, nic z tego nie wyniknie. Kobiety tego za nich nie załatwią. To nie jest tak, że będziesz teraz kierowniczką i powiesz: „Musisz teraz iść na warsztaty, odkryć własne ojcostwo”. Jeśli w serduszkach facetów sam tego nie poczuje, to się nie uda. Mamy dwie grupy facetów w potrzebie.

Tych, którzy nie są w rodzinie i starają się odnaleźć w roli ojca, oraz tych, którzy przejęli tradycyjną rolę matki, bo są w związkach utrzymywanych przez pracującą kobietę. Jedni i drudzy są w totalnym potrzasku, ponieważ muszą wymyślać siebie od początku.

**Gdzie powinni szukać wzorców?**

Długo się zastanawiałam i nie wymyślałam źródeł. Znajdujemy się w procesie zmian. No i, sorry cię bardzo, musimy sami to wziąć na klatę, jedna i druga strona. Co nie znaczy, że te przemiany dzieją się szybko i zaraz będziemy mieli to z głowy. Proszę państwa, wyszedł dekret, od pierwszego stycznia mamy związki partnerskie. Już! I segregujemy śmieci. I żyjemy zdrowo. No nie, to są przemiany, które muszą potrwać.

**Cholera, dzieci mi w tym wszystkim szkoda.**

No niestety, mamy przemiany i mamy ofiary. Teraz jest czas wkurzonych lasek, które zrobiły cztery fakultety, urodziły dwójkę dzieci i mają trzecie dziecko w postaci własnego partnera. To jest też czas mężczyzn, którzy naprawdę są zagubieni, bo ich ojcowie leżeli na kanapach, a teraz to jest passé i oni nie wiedzą, co mają ze sobą zrobić. Albo nawet wiedzą, tylko nie wiedzą, jak się do tego zabrać. Nie wiadomo, jak to się poukłada. Związki partnerskie byłyby super, ale może się tak stać, że 90 proc. rodzin to będą samotne matki.

**Sama mówisz, że tych procesów nie sposób przyspieszyć. Czyli współczesne matki są niewolnicami swoich czasów i związków?**

Trzeba czytelniczkom powiedzieć, żeby nie rozdzierały szat. Nie szukały winnych, tylko...

**...zemsty! W książce „Cwaniary” pokrzywdzone przez los dziewczyny z warszawskiego Mokotowa sięgają po ostatnią broń, jaka została niezawładnięta przez kobiety z męskiego arsenału – przemoc. Wychodzą na ulice, szukają facetów i leją ich. Dobrze się bawiłaś, pisząc tę książkę?**

Świetnie. Uwielbiam filmy Tarantino.

**Czuć! I dla mnie to było jednak zaskakujące, że te laski czerpią taką przyjemność z przemocy. Fajny zabieg literacki, ale raczej daleki od prawdy...**

Oczywiście. Kiedy się ekscytujemy, kto komu dał prawego sierpowego i kto zbiera zęby, a kto musi na mogiłę już zbierać, pojawiają się nasze humanistyczne pytania i odpowiedzi typu: „Ale pani Sylwio, czy jednak przemoc nie prowadzi do przemocy? Nie boi się pani, że te kobiety wczują się w tę książkę tak, że będą się teraz nawalać? A czy to ma jakiś sens?”. Otóż nie! I moje bohaterki o tym wiedzą, kończą lepiej lub gorzej i mają gdzieś tam w sobie melancholijną świadomość, że to nie jest dobry sposób, ale na razie nie wymyśliły nic lepszego. Oczywiście ta przemoc może być też odbierana metaforycznie. Walka w „Cwaniarach” jest skierowana przeciwko śmierci, co jest z gruntu skazane na porażkę. One się wściekają, bo nie chcą umierać. W te bohaterki łatwo się wczuć przez chwilę, ale potem przychodzi refleksja, że zaraz, zaraz, jak ona w tej mini obcisłej mogła...

**...a druga w ósmym miesiącu ciąży jak mogła?**

Tu cię zdziwię. Ja na treningu wendo w ósmym miesiącu rozwaliałam dechę piąchą, więc się da. Natomiast to nie są bohaterki realne. One mają etos warszawiacki, bo tak naprawdę chciałam dopisać kobiety do warszawskiej historii Tyrmanda i Himilbsacha. W tej tradycji literackiej zawsze były femme fatale, ale nigdy nie było femme brutale. Lubię bazować na tym, co już znamy, i zamieniać role. Co by się stało, gdybyśmy w te wszystkie sensacyjne amerykańskie biatyki powstawiali kobiety?

**Miałbyśmy „Death Proof” albo „Kill Bill”.**

Tak, bo to jest prosty trick. To, co męskie, zawsze jest kulturowo uniwersalne. My się strasznie z tym utożsamiamy, jesteśmy wychowani na etosie wiecznego powstania, wiecznej wojny i też lubimy, jak się temu Niemcowi rozwałało głowę. Jednak kiedy to kobiety mają rozwaląć łby, nagle dostrzegamy bezsens. Kobie-



„Cwaniary”, Sylwia Chutnik, Świat Książki 2012, 34 zł

ta jest przypisana roli pasywnej i kiedy przypiszemy jej rolę aktywną, robi nam się głupio. Przez chwilę podnieciłyśmy się przemocą, a potem nam się przypomniało, że przemoc jest zła. Ajjj! Za późno, bo w myślach rozwaliliśmy już szefa i pięciu eks. Ale ten zabieg zamiany ról wciąż działa, i to jest najsmutniejsze. Jak sobie to poprzestawiamy, to widzimy absurd, bo historia w „Cwaniarach” jest absurdalna.

**Ale chyba też terapeutyczna. Za jednym zamachem odegrałaś się na deweloperach niszczących stare kamienice w Warszawie i patriarchacie!**

Ależ oczywiście. Przede wszystkim na śmierci. Dziadek mi umarł i po prostu nikt mnie nie pytał, czy się na to zgadzam. A nie zgadzałam się. Więc miałam potrzebę zemsty.

**Nad czym teraz pracujesz?**

W zeszłym roku wydałam trzy książki i nie chciałabym tego zrobić już nigdy więcej. Ale powoli coś zaczynam wymyślać. Chyba pójdę w krainę marzeń oraz snów i stworzę coś nierealnego.

**Jak nasza polityka rodzinna! Może napisz o tym, jak będzie wyglądał kraj wyłącznie starych Polaków.**

Może tak być. Wiesz dlaczego? Dlatego, że nikt się nie martwi tym, co będzie, jak dziecko już się urodzi. Czy ma zapewnione warunki bytowe, czy ma miejsce w żłobku i gdzie pójdzie do przedszkola. Tym już rząd się nie zajmuje, bo uznaje, że to są sprawy, które leżą po stronie rodziny. Dopóki młodzi ludzie nie będą czuli, że jest tzw. dobry klimat dla rodziny, jak mówi nasz pan prezydent, łącznie z poprawą opieki społecznej i zdrowotnej, to nie będzie się rodziło więcej dzieci. Nie żyjemy w lepiance, gdzie dzieci i tak się muszą urodzić, bo potrzebne są do pracy.

**Atmosfera – powiadasz. A może to cywilizacyjny zanik instynktu macierzyńskiego?**

Wystarczy zobaczyć, co się dzieje z dziewczynami, które jadą do Anglii



WOJCIECH RUDZIŃSKI

**Dziadek mi umarł i po prostu nikt mnie nie pytał, czy się na to zgadzam. A nie zgadzałam się. Więc miałam potrzebę zemsty.**

i tam rodzą trójkę i czwórkę dzieci, bo nagle im się ten instynkt rozwija. To dlatego, że mają odpowiednie wsparcie. Mówi się o tym, że skończyły się czasy państw socjalnych, ale dla mnie polityka rodzinna nie może być realizowana bez finansów. Patrząc na to pod kątem politycznym i państwowym, to przecież inwestycja! Żeby coś wyjąć, musisz coś włożyć. Ale nie bawmy się, do cholery, w 1000 zł za dzieciaka, perfidne płacenie za rodzenie.

**Mamy więc problem typowy dla kraju niezamożnego.**

Częściowo. Ale zasadniczo sprawa polega na tym, że polityka rodzinna realizowana jest głównie przez Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej, a powinna być koordynowana przez każdy możliwy resort. I finansów, bo wtedy musimy sobie na Excelku skalkulować, i edukacji. Musi być też nowy system opieki nad kobietami w ciąży i połogu.

Więc Ministerstwo Zdrowia w polityce rodzinnej mogłoby wziąć udział, a nawet minister czy ministra sportu. Bo widzisz, I have a dream, że siedzi ten premier albo premiera, ma tych ministrów i ministery, i wszystkich świętych u siebie, i mówi: „Dzisiejszym tematem jest polityka rodzinna i proszę wszystkich o pomysły”. Nie mówi, że chciałabym albo chciałabym, żeby rodiło się więcej dzieci. Trzeba mieć pomysł, co dalej, bo samo rodzenie dzieci jest w XXI w. podejściem biologicznym.

**A twoja fundacja, pani prezesko? Jakie macie pomysły na ten rok?**

Najciekawszym jest wypożyczalnia rodziny. Gdy ktoś nie ma dziecka albo nie ma babci, przychodzi do nas i na zasadzie banku czasu wymienia się i buduje relacje. Często jest tak, że czyjaś rodzina jest 500 albo 5 tys. km od nas, a chcielibyśmy, żeby nasze dziecko miało do czynienia z ludźmi starszymi. Mamy w naszym otoczeniu starsze osoby, które lubią dzieci, więc chcemy te strony ze sobą poznać. Bank czasu to też wymiana – babcia upiecze szarlotkę albo wyjdzie na spacer z przyszywanym wnuczkiem za to, że tata tego dziecka przyjdzie i wykona prace majstra. Pomysł bazuje na deficycie tych nuklearnych rodzin, które są gdzieś tam w kosmosie, pozbawione korzeni. Według starego afrykańskiego porzekadła, potrzeba całej wioski, żeby wychować dziecko. My chcemy taką miniwioskę wznieść tu, w Śródmieściu.

**Wymianki to też pewien znak czasów.**

Tak, to jeszcze nie jest takie znane poza naszym środowiskiem, ale idea jest warta popularyzacji. To też jest rozwiązanie tego, o czym już mówiliśmy. Nasze gadżetowanie, kupowanie 50 rzeczy, wreszcie będzie miało ujście społeczne. Zamiast wyrzucać, kiedy dzieci wyrosną, możemy oddać. Będzie się u nas odbywała taka wymienialnia, swap. Robiliśmy to już i był szalony. I tak samo możemy się wymieniać emocjami. To dopiero będzie czad! 🍷



ROZMAWIA HANNA RYDLEWSKA

# Latka leca, serducho rośnie

Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy zagrała po raz 21. Tym razem również dla seniorów. Emocje po wielkim finale już opadają, ale **Jurek Owsiak nadal elektryzuje media**. Awantura, która rozpętała się wokół jego wypowiedzi w sprawie eutanazji, być może da początek publicznej dyskusji na ten temat. My pytamy Owsiaaka, dlaczego wycofał się ze swoich słów, a także czemu niektórzy widzą w nim wcielenie diabła.

**U**mawiamy się w siedzibie Fundacji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Na kilka dni przed finałem kolejnej edycji, w budynku przy Dominikańskiej w Warszawie panuje napięta atmosfera. Pachnie kawą. Mimo że pora jest późna, po piętrach budynku krążą dziesiątki wolontariuszy, przeważnie wyglądających na nastolatków. Długie włosy, „firmowe” koszulki, plakietki z serduszkami. I zapał wypisany na młodocianych twarzach.

Owsiak dotrzymuje kroku młodym. Do budynku wpada jak po ogień. Od razu wydaje dyspozycje, przed wywiadem z jedną ze swoich współpracowniczek przegląda mapę Polski. Sprawdza, które miasta i województwa są gotowe na finał. Wreszcie prowadzi mnie do swojego gabinetu, zastawionego przedmiotami, o ścianach upstrzonych fotografiami, obrazami, pamiątkami z podróży. To „pasje Jurka Owsiaaka”, jak sam to określa. Kolekcjonuje młodą sztukę, jeśli tylko może, odkłada z żoną pieniądze i kupuje kolejne artefakty.

Przepychając się do biurka szefa WOŚP, potykam się niemal o kilka zdjęć Marilyn Monroe. To dar Desy Unicum na rzecz Orkiestry. Słynne fotografie M.M., pochodzące ze zlikwidowanej kolekcji FOZZ, wykonał Bill Norton, kochanek gwiazdy. Cena wywoławcza jednego zdjęcia? Bagatela 60 tys. zł.

– Mieszkamy z żoną na Kabatach, w trzech pokojach z kuchnią, i już nie mamy gdzie tego wieszać – Owsiak tak tłumaczy artystyczny rozgardiasz panujący w jego gabinecie. Z braku miejsca dzieła sztuki przynosi do siedziby fundacji. Zresztą w gabinecie szefa, oprócz sztuki, można też znaleźć „obiekty sentymentalne”. Na przykład oprawione w szkło bilety z Woodstock, z 1969 r., które Owsiak dostał od Michaela Langa, twórcy amerykańskiego festiwalu. A także bilety z 1994 r. – wtedy Owsiak pojechał do Woodstock osobiście.

– Mandela ma niezwykle silny uścisk dłoni – objaśnia z kolei Owsiak, wskazując na fotografię przedstawiającą jego oraz Nelsona Mandelę. Zdjęcie wykona-



no w Durbanie, w ramach festiwalu Food for Life. Obok na ścianie wiszą w rzędzie fotografie z: młodym Wojtkiem Wąglewskim, z Fernando Alonzo, a także z Lechem Wałęsą. Ten ostatni trzy lata temu był gościem Przystanku Woodstock, razem z Tadeuszem Mazowieckim i Stanisławem Tymem brał udział w Akademii Sztuk Przepięknych. – Wszyscy się pokłócili. Na końcu Lech Wałęsa uronił łzę, kiedy młodzi ludzie zaczęli śpiewać mu „Sto lat” – wspomina Owsiak.

Wśród wizerunków światowych gwiazd odnaleźć można intymne akcenty. Na przykład zdjęcia dwóch córek Jurka Owsiaaka, Oli i Ewy. Na swojej fotografii młodsza z nich napisała: „Tato, patrz na Ciebie”. W oknie gabinetu wisi też stary witraż po renowacji. Jak mówi Owsiak: „Typowy dla XIX w., bo klatkowy”. A wie, co mówi, bo z zawodu jest witrażystą.

Na ścianach odnajduję wreszcie dwie archiwalne okładki „Przekroju”, jedną poświęconą Orkiestrze, drugą samemu Owsiakowi. Szef WOŚP przyznaje, że wychował się na „Przekroju”. Na aukcjach kupił nawet dwa roczniki pisma, z lat 1961 oraz 1962. – Czytam je cały czas – podkreśla Owsiak. I wychwala rubrykę o *savoir-vivre*, którą prowadziła Janina Ipohorska, teksty o modzie, reportaże ze świata autorstwa Kapuścińskiego. Od tego zaczynamy naszą rozmowę.

**Brakuje panu dzisiaj rzetelnego, inspirującego dziennikarstwa?**

Nie zagłębam się w to, ale świadomie uciekam od gazet. Zgiełk gazetowy złożył mi w pół. Gazeta codzienna jest mi dzisiaj zupełnie obca. Wiadomości przyswajam głównie za pośrednictwem telewizora. Dzienniki papierowe zmęczyły mnie, chyba głównie z tego powodu, że widziałem wiele razy, jak gazety krzyczały o konkretnych problemach, ale nigdy lub prawie nigdy nie starały się pomóc w ich rozwiązaniu. Być może jest to jeden z powodów, dla których robimy Orkiestrę tak, a nie inaczej. Chcemy robić, a nie gadać. Wydaje mi się, że media pisane nadążają z tym, żeby poinformować, ale już nie starcza im konsekwencji, żeby problemy rozwiązywać. Nie było i nie ma we mnie na to zgody. Również

na pogoń za sensacją oraz ferowanie niczym nieuzasadnionych wyroków. Z kolei w prasie kobiecej, na którą natykam się w domu, widzę świat uładzony, wyidealizowany według standardów określonych redakcji. Potem spotykam tych samych ludzi, których pokazują miesięczniki, i ich nie rozpoznaję.

Wolę czytać książki. Ich połykam bardzo dużo. Bardzo lubię biografie, jestem zaczytany szczególnie w dziełach osadzonych w realiach Polski międzywojennej. Sławomir Koper to jest gość, który pisze o nas samych. O pewnych naszych przywarach, których nie możemy tłumaczyć geopolityką. „Bo byli Rosjanie, bo byli Niemcy”.

**Jakie to przywary?**

Kłótniwość chociażby. Teraz właśnie czytuję „Polskie piekielko” Kopra, książkę o koszmarze naszej emigracji z okresu II wojny światowej. Rok 1939, Polacy emigrują przez Francję do Anglii. I co tam natychmiast robią? Zakładają więzienia dla innych Polaków. Emigracja o strukturach wojskowych pierwsze, co zrobiła, to zorganizowała obozy. To jest szokujące, że Polacy woleli weryfikować, niż jednoczyć. Bardzo pielęgnujemy w sobie obraz Polaka z ułańską fantazją. A momentami nie potrafimy zrobić najprostszyc rzeczy – nie umiemy się skonsolidować. Nie szukamy jedności. Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy ma być takim zrywem ludzkiej solidarności.

**Porozmawiajmy o naszej kłótniowości i skłonności do podziałów. Jak to jest możliwe, że dowodzi pan przedsięwzięciem o tak pozytywnym społecznie wydźwięku, a jest pan nielubiany przez Kościół oraz skrajną prawicę?**

Byłbym ostrożny z używaniem słowa „Kościół”. Można mówić o pojedynczych przypadkach, a nie o całej wspólnotocie. To są incydenty, negatywne, ale incydenty. Pewien wikariusz rzucił coś mocnego na nasz temat na swoim blogu czy na swojej stronie, napisał o „obrzydliwym serduszkach”. Zazwyczaj w takich sytuacjach reagujemy. Ale nie musieliśmy tego robić, bo uczynili to wcześniej zwierzchnicy wikariusza. Nie reagujemy na to, że ktoś nas nie lubi, bo ma do

tego przecież prawo. Ale jeśli ktoś idzie w podłe insynuacje, reakcja jest niezbędna. Nie podoba mi się ta idea, Jurek Owsiak, szatańska muzyka – to jest w porządku, ale pomówienia już nie. Jeżeli ktoś zaczyna insynuować, że Orkiestra przez 20 lat nic pożytecznego nie zrobiła, to mam ochotę mówić o konkretnych. O konkretnej liczbie inkubatorów, którą przez te lata kupiliśmy.

A ludzie, mam wrażenie, są zmęczeni tym boksowaniem, waleniem w Orkiestrę co roku, w grudniu, bo widzą efekty naszej pracy. Dostałem taki e-mail: „Stary, nie ufałem ci, dla mnie byłeś z pogranicza fantazji, póki nie przekonałem się na własne oczy, ile robi Orkiestra”. Kiedy siedzę na szpitalnym oddziale, gdzie na co drugim urzędzeniu – a zazwyczaj na tych najważniejszych – jest serduszko, to mi też serducho rośnie. Czas leczy rany. 15 lat temu słowa rzucane na wiatr bolały mnie bardziej. Jest takie przysłowie: „Szanuj wroga swego”. Żeby się nie zagłaskać, nie zaklepać, nie uwierzyć, że jest się supermanem. Artyści tego nie lubią, bo artysta musi być w stu procentach przekonany, że robi wiekopomną sztukę, tak musi być. Ale w naszym przypadku krytyka trzyma nas w ryzach.

**Jako osoba publiczna ma pan poczucie, że nie może szczerze wypowiadać na forum swoich poglądów? Myślę tutaj o ostatniej aferze wokół pana wypowiedzi na temat eutanazji.**

Tak, oczywiście mam takie poczucie, jakkolwiek staram się nie wyrwać ze swoimi opiniami. Nie jestem politykiem nastawionym na to, że codziennie ktoś będzie pytał mnie o zdanie. Gdybym był politykiem, mógłbym też tkwić w niewoli pewnego dogmatu. Na szczęście nie mam z tym nic wspólnego.

Dostałem kilka dni temu e-mail, z którego tutaj bardzo się wszyscy śmiejemy: „Panie Owsiak, niech pan powie, kim pan jest, niech pan napisze, panie Owsiak, z czego pan żyje, jak my”. Autor pewnie żyje skromnie, a wydaje mu się, że mi jest fantastycznie, że mogę uszczknąć coś z tego tortu, którym jest fundacja. Otóż nie, nawet gdybym chciał, nie ma takiej możliwości. Jesteśmy prześwietlani na wszystkie dostępne sposoby. Biz-

## JUREK OWSIAK

Założyciel oraz prezes Fundacji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Twórca Przystanku Woodstock. Dziennikarz radiowy i telewizyjny. Z zawodu witrażysta, posiada także uprawnienia psychoterapeuty. Miłośnik i kolekcjoner sztuki.



nes jest moim źródłem utrzymania, a nie fundacja. Pierwsze pytanie wszystkich kontroli, które tu są, dotyczy tego, ile zarabiam oraz czy jako prezes zarządu pobieram jakieś wynagrodzenie. My to już mamy przygotowane. Urzędnicy patrzą i się dziwią. Nasza anegdota: „– Ile ma Owiak? 10, 20 proc.? – 50 proc. – Pierdolisz? – No właśnie, ty też pierdolisz”.

**Mam wrażenie, że powiedział pan pierwotnie to, co myśli, w sprawie eutanazji, ale pod wpływem nacisków wycofał się pan, zaprzeczył swoim poglądom. W jakim celu? Chodziło o wizerunek fundacji?**

Moje słowa zostały źle zinterpretowane. Olbrzymim nadużyciem było twierdzenie, że moja wypowiedź ma jakikolwiek związek z finałem WOŚP. A już podłe było stwierdzenie jednego z dziennikarzy, że za parę lat będziemy zbierali na eutanazję. Rozumiem, że taką karykaturę można sobie stworzyć, ale ona jest dosyć brutalna. Stawianie kropki nad „i” w Polsce jest często stosowane. Dzisiaj na hasło „Smoleńsk” mamy język cały pogryziony, nim cokolwiek na ten temat powiemy. Boimy się, żeby kogoś nie urazić, zamiast spokojnie o tym dyskutować, przyjmując też opcje strony przeciwnej. My tego uczymy ludzi na Przystanku Woodstock z naszymi gośćmi. Mówimy: „Możesz się nie zgadzać, masz prawo, ale wysłuchaj człowieka”. W wywiadzie przyznawałem się do osobistych dylematów związanych z eutanazją. Ale każdy dzień tej dyskusji, która przetoczyła się przez media, ma ogromny wpływ na mnie. To pokazuje, że nie jestem facetem z dogmatu. Jestem w dogmacie, jeśli chodzi o rozliczenie kasy z Orkiestry, ale poglądów nie mam z betonu, jestem zawsze otwarty na rozmowę.

**Ta dyskusja ma na pana wpływ, bo pan się przejął, czy ma wpływ, bo pan zmienił zdanie?** Ja się tym istotnie przejmuję. Wyraźnie powiedziałem, że nie jestem za eutanazją, nigdy nie byłem. W tym wywiadzie powiedziałem tylko, że myślę o tym zagadnieniu.

**Nie można być zwolennikiem eutanazji, tak samo jak nikt przy zdrowych zmysłach nie jest „za aborcją”. Tu chodzi o dopuszczanie**

**– lub nie – prawa człowieka do eutanazji w określonych warunkach.**

Otóż to, to jest ważne rozgraniczenie. A do mediów przedostał się mój skrót myślowy, który wypaczył ogólny sens wypowiedzi. Ja sobie tak myślę: jeżeli jestem przeciwko stawianiu wszędzie radarów – bo to nie jest dla mnie system, który nauczy ludzi jeździć bezpiecznie – to nie oznacza, że jestem za wypadkami. Jeśli wypowiadam słowo „eutanazja”, niech to nie będzie dla kogośkolwiek przepustka do myślenia, że stawiam znak równości z bestialstwem, z jakimś totalnie urzędowym załatwieniem „tej sprawy”.

**Ale rozważa pan możliwość wprowadzenia takiego systemu, w którym ludzie mogliby decydować finalnie o swoim życiu, w pewnych ściśle określonych okolicznościach?**

Już nie. Wyrażam wyłącznie chęć, żeby przysłuchać się takiej dyskusji. Część ludzi uważa, że słowo „eutanazja” jest zakazane. A rozmowa zawsze przecież dobrze robi. Pretekstem do mojej wypowiedzi były e-maile, które przychodzą do nas, do fundacji. Kiedy napisaliśmy, że zbieramy dla seniorów, to spotkali się ze sformułowaniem – nie moim, od razu podkreślam, ale ludzi, którzy do mnie pisali – „eutanazja państwowa”. Seniorzy pisali o cichej eutanazji, w myśl której państwo, tak zwany system, odmawia im leczenia. O tym trzeba mówić! Czy takie ciche przyzwolenie na to, żebyśmy samodzielnie borykali się ze swoim zdrowiem, nie jest szczytem okrucieństwa? Z wiadomości słanych do nas wyłania się np. nieciekawość obraz ośrodków permanentnej opieki medycznej dla osób starszych. Jedną z pań, która do nas napisała, nazwała je „umieralniami”. Dlaczego tym nikt się nie oburza? To mógłby być przyczynek do rozmowy – kim jesteśmy, my, ludzie XXI w., że pozwalamy w takich warunkach odchodzić innym ludziom? Mamy ambicje kulturalne czy materialne. Ale co z naszymi ambicjami moralnymi? Oburzamy się, że ktoś powiedział „eutanazja”, ale jesteśmy niewzruszeni wobec czyjegoś cierpienia. Szanuję ludzi, którzy są absolutnie przeciwko roz-

Owiak od lat działa charytatywnie. Młodzi Polacy wskazują w sondażach, że jest dla nich autorytetem. Jednak bywa również obiektem medialnych ataków. Twierdzi, że krytyka, chociaż boli, działa na niego mobilizująco.

mowom na ten temat, ale sam zachęcam do debaty.

**Tyle tylko, że ci ludzie nie szanują pana.**

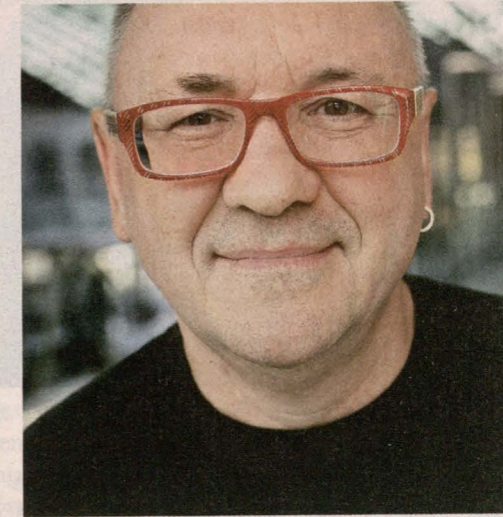
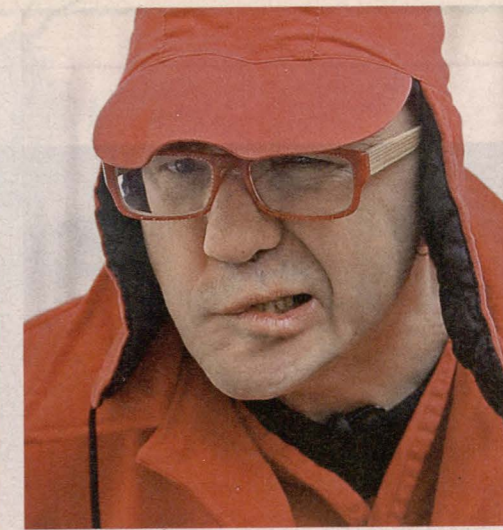
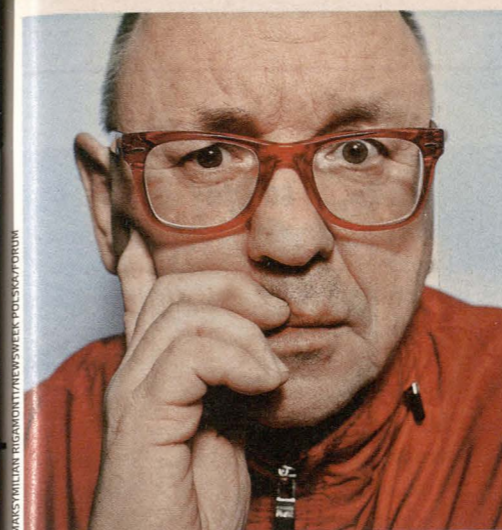
Już się do tego przyzwyczaiłem, przez tyle lat robienia tego, co robię. W ogólnym rachunku dostaję więcej miłości niż wrogości. Na marginesie, do moich krytyków: chciałem przypomnieć, że dwa lata temu napisałem list do ówczesnej minister zdrowia, pani Kopacz, który nosił tytuł „Źle się dzieje w państwie polskim”. Chodziło o to, że karetka nie przyjechała do pani w Bartoszycach, ona w efekcie tego niestety zmarła. Czy to nie jest powód do rozmowy? Przyczyna tej niepotrzebnej śmierci leży w systemie, który wszystko rozmywa, ogólnie mówiąc. System rozmywa odpowiedzialność za tych ludzi w podeszłym wieku, którzy egzystują w warunkach urągających wszelkim zasadom. To także przesłanie dla moich oponentów, którzy nawet nie zapytali mnie, co miałem na myśli, tylko błyskawicznie rozpoczęli szarżę. Są i tego dobre strony. Tak było na przykład z listem od czterech parlamentarzystów, z zupełnie skrajnych opcji, którzy trochę splaszcyli ten temat do „uśpić babcię i dziadka”...

**... nazwali też pana autorytetem młodzieży.**

I z drugiej strony wciągnęli do dyskusji. Zainspirowało mnie to do sprostowania moich słów. Ale na końcu zaprosiłem tych panów do tytanicznej pracy. Wczoraj zadzwonił zresztą pan senator z tej grupy i powiedział: „Pogódźmy się”. Zaprosiłem go na konferencję prasową, ale nie dojechał.

**Pan senator chciał się ogrzać w pana blasku. Nie brzydzą pana te puste gesty przed kamerami?**

Powiedzmy sobie szczerze – WOŚP to od 20 lat wielka akcja medialna. Jesteśmy w tym specami. Zarzucano nam kiedyś, że uprawiamy „miłosierdzie w świetle reflektorów”. A my mówimy: dokładnie tak, w 100 proc. Jeżeli można wykorzystać media w dobrym celu, to czemu nie? Dzięki Internetowi człowiek na „wyspach Bergamutach” będzie mógł dla nas licytować i śledzić w czasie rze-



teresuje – był agentem czy nie był. Kiedy rozmawiam z młodymi ludźmi, widzę, że dla nich to też jest nieistotne. Ze względów historycznych pewnie warto to ustalić. Ale w istocie liczy się fakt, że przy wielkim udziale Wałęsy dokonał się w Polsce bezkrwawy przewrót i dzisiaj jesteśmy wolni. Pisanie do Komitetu Noblowskiego, żeby Wałęsę odebrać Nobla, jest głupotą.

**To z czego, pana zdaniem, możemy być dumni jako naród?**

Przez chwilę byliśmy bardzo dumni z Euro 2012. I słusznie, bo świetnie się bawiliśmy i pokazaliśmy światu, co to znaczy polska gościnność. Teraz być może cieszymy się mniej, bo nadszedł czas podsumowań i rozliczania kosztów imprezy, które były jednak olbrzymie. Myślę, że powinniśmy być dumni z naszej gospodarki. Okazuje się, że kryzys, który panuje na świecie, u nas jest łagodniejszy. Oddaliśmy go od siebie. Bardzo często ludzie, którzy prowadzą biznes – sam do nich należę – powtarzają: „Żeby tylko nikt nam nie przeszkadzał”. Możemy się naprawdę cieszyć, że mamy takich zaradnych i pracowitych przedsiębiorców. Mam na nosie okulary autorstwa pana ze Szczecina, który mi je przysłał, chociaż w życiu go nie widziałem. To jest polski projekt. Strasznie mi się podoba. Niezmiernie tego pana pozdrawiam.

Na końcu powiem oczywiście, że jestem dumny z tego, że robimy WOŚP. Kiedy jeździmy po świecie i opowiadamy o tym ludziom, oni są szczerze zafascynowani. Wizyta dwóch prezydentów na Przystanku Woodstock też była ważna. Przyjechał do nas prezydent Niemiec i kópara mu opadła, widziałem to. Był wzruszony, to mocno wykraczało poza protokół dyplomatyczny. Wbrew stereotypom typu „przyjeżdż do Polski na wakacje, twój samochód już tam jest” powiedział, że jesteśmy najbardziej pracowitym narodem. Takie momenty robią więcej dla wizerunku Polski niż telewizyjne reklamówki naszego kraju. I wreszcie: jestem dumny z rodzimych artystów. Bez nich nie byłoby Orkiestry. Jak mówił Piotr Skrzynecki, kochajcie artystów. A reszta sama się ułoży. ☺

czywistym przebieg finału. To jest wspa-  
niałe. Wiemy także, jak działa telewizja.  
Jeszcze nie było fundacji, a ja już robi-  
łem programy dla telewizji. W związku  
z tym staram się nie ważyć 200 kg,  
nie mieć wielkiego brzucha, nie pusz-  
czać oka do młodzieży pod hasłem: „Je-  
stem taki fajny wasz kolega”. Mam zdro-  
wą czerwoną lampkę w głowie – wiem,  
że kiedyś mi się zapali i pocuję, że lu-  
dzie już mnie nie chcą oglądać. A na se-  
natora naprawdę czekałem. Moglibyśmy  
uściskać sobie dłonie w słusznej sprawie,  
co jest teraz niestety rzadkie. Politycy tak  
się kłócą, angażują się w tak nieistotne  
spory, że żal ścisnąć.

Bardziej boli mnie głupota niektó-  
rych autorów. Gdzieś w gazecie prze-  
czytałem dramatyczne pytanie: „Jak  
przeświecić Jurka Owiaka?”. Bo prze-  
cież sukces nigdy nie bierze się sam  
z siebie. Jest jakieś tajemnicze dołado-  
wanie atmosferyczne, które sprawia, że  
Orkiestra dalej gra. Melchior, Baltazar,

Kacper – oni za tym stoją, spotykamy się  
w konspiracji.

**Może szatan pana wspiera? Przecież pan  
organizuje Przystanek Szatan.**

Na Przystanku, przez niektórych tak  
określanym, co roku spotyka się kilka-  
set tysięcy ludzi, a policja z roku na rok  
mówi: jest jeszcze bezpieczniej. Ludzie  
nie chcą się boksować, nie chcą być agre-  
sywni. Dlatego my zadajemy kłam obie-  
gowym i krzywdzącym dla Polaków opi-  
niom. To my, Polacy, często mówimy, że  
Polak nie potrafi zbudować, zorganizować,  
zrobić. Ale kiedy londyński „The  
Sun” pisze źle o Łodzi, to nagle wszyscy  
są oburzeni. To od nas wychodzi!

**Sami nie potrafimy mówić o sobie dobrze?**

Niestety, tak jest. To my dajemy innym  
pretekst do plotkowania na nasz temat.  
To przez nas mówi się, że nasz noblista,  
Lech Wałęsa, mógł być agentem. Tak na-  
prawdę dzisiaj w ogóle mnie to nie in-





AFP/EAST NEWS

## AUSTRALIA

## Zapłacimy za pożary na antypodach

Pożary buszu pustoszą Nową Południową Walię, najbardziej zaludniony stan Australii, a także Tasmanię. Na razie nikt nie zginął, lecz Australijczycy z obszarów objętych ogniem znaleźli się w skrajnie trudnym położeniu. Świat obiegły zdjęcia dziadków z Tasmanii, którzy schronili się przed ogniem, wchodząc wraz z wnukami do jeziora. Władze Australii określają sytuację jako katastrofę. Pożary w większości są efektem powtarzających się od lat i rosnących w siłę upałów. Służby meteorologiczne musiały wprowadzić dwa nowe kolory do skali obrazującej temperatury na mapach. Rekordowa temperatura 50,7 st. C, jaką odnotowano w styczniu 1960 r., niedługo przejdzie do historii. Meteorolodzy australijscy są pewni, że na pustyniach kontynentu powietrze nagrzewa się do 52 st. C. Dlatego do skali temperatur weszły kolory purpurowy i różowy, które odpowiadają przedziałom powyżej 52 i 54 st. C. Taka pogoda to nie najlepsza informacja nie tylko dla Australijczyków, którzy są jednym z największych na świecie producentów zbóż. Jeśli ogień strawi tegoroczne zbiory, ceny zboża, podobnie jak dwa lata temu, znów się podniosą. W konsekwencji zdrożeje nie tylko nasz chleb powszedni, ale i większość produktów spożywczych.

→ Szymon Mucha



DARIUSZ MAJGER

## UE

## Inwestycje zamiast oszczędności

Choć nowy raport ekonomistów Międzynarodowego Funduszu Walutowego nie napawa optymizmem, to fakt, że nawet taka instytucja popełnia błędy i potrafi się do nich przyznać, jest pokrzepiający. Chodzi o zalecane przez MFW sposoby walki z kryzysem w Portugalii czy Grecji – dotychczasowa taktyka ratowania gospodarek tych krajów polegała na drastycznych cięciach budżetowych. To właśnie w zamian za mocne oszczędności państwa w dołku otrzymały pomoc finansową od Unii Europejskiej. Co poszło nie tak? Gwałtowne cięcia wydatków okazały się hamować popyt wewnętrzny i zwiększać bezrobocie. Nowy plan ma obejmować przystopowanie oszczędzania w zadłużonych krajach, a skupienie się za to na zachętach inwestycyjnych.

→ Mateusz Farenholt



LESZYŃSKI

## POLSKA

## Emilia jednak nie jest zabytkiem

Kiedy już myśleliśmy, że afery z warszawskim pawilonem Emilia zakończyła się happy endem, okazało się, że czeka nas sequel tej historii. Jedna z architektonicznych perełek stolicy w październiku zeszłego roku została wpisana do ewidencji zabytków, co pokrzyżowało plany inwestorowi, który w jej miejscu zamierzał postawić (a to ci niespodzianka!) wieżowiec. Taki obrót sprawy był za to na rękę Muzeum Sztuki Nowoczesnej, dla którego Emilia jest tymczasową siedzibą. Warszawiacy odetchnęli z ulgą, że w miejscu legendarnego budynku nie powstanie kolejny bezduszny moloch. Teraz jednak znowu jest się o co martwić, bo pawilon został wykreślony z ewidencji. Jak poinformowała „Gazeta Wyborcza”, stołeczny konserwator zabytków prawnej ochrony budynku nie skonsultował z wojewódzkim szefostwem, a Emilia, jako współczesny obiekt, do takiej ochrony się nie kwalifikuje. Na drodze do wyburzenia pawilonu i postawienia w jego miejscu wieżowca stoi teraz podobno sąsiadujący z Emilią blok, którego mieszkańcom nowa inwestycja kompletnie przysłoniłaby świat. Liczymy na to, że ta przeszkoda będzie nie do przeskoczenia, bo bardzo chcemy, by Emilia z nami została. → mf

## SZWECJA

## Czosnek jak kokaina

Szwedzka prokuratura ściga dwóch Brytyjczyków, którzy przemycili z Chin ponad dwie tony czosnku. Ścigani sprowadzili go statkiem do jednego z portów norweskich, skąd przewieźli go do Szwecji. Nigdzie nie zapłacili cła, przedstawiając listy tranzytowe. Według obliczeń prokuratury przemycony czosnek byłby wart w sklepach około 10 mln szwedzkich koron (w przybliżeniu 5 mln zł). Problem tylko z pozoru jest zabawny. Chiny wytwarzają około 80 proc. sprzedawanego na świecie czosnku, który jest mniej aromatyczny niż ten uprawiany w Europie, ale za to o wiele tańszy. By chronić rolników w Unii Europejskiej, na czosnek made in China wprowadzono wysokie cła. I dlatego jego przemysł stał się w ostatnich latach plagą. Na przełomie lat 2010 i 2011 w Polsce zatrzymano sześć kontenerów ze 144 tonami czosnku z Chin przemyconymi do Polski z Holandii. Szmuglerzy deklarowali, że przewożą cebulę obłożoną dużo niższym cłem, a jednocześnie będącą równie popularnym warzywem sprowadzanym z Chin. Szacuje się, że w związku z nielegalnym handlem czosnkiem nasz Skarb Państwa traci dziesiątki milionów złotych rocznie. → szm



FORUM

## KATAR

## Owoce pustyni

Katarscy szejkwowie ruszyli z wielkim programem budowy farm na pustyniach. Ponad 90 proc. warzyw i owoców, które sprzedawane są w tym kraju, pochodzi bowiem z zagranicy. Choćby dlatego, że rolnicy z Kataru gospodarują metodami sprzed kilkudziesięciu lat. Efektywność jest więc niska. Sytuacji nie poprawia fakt, że pustynny kraj dysponuje dość skromną powierzchnią do uprawy roślin. W planach jest pięciokrotne zwiększenie ilości wody pompowanej z podziemnych studni lub odsalanej wody morskiej, która nadawałaby się do celów gospodarczych. Pozwoliłoby to na irygację pustyni. W tym celu Katar inwestuje w system pomp zasilanych ogniwami słonecznymi. W rejonie stolicy kraju, Dohy, na pustyni powstał też gigantyczny zespół szklarni i oranżerii. Na 55 tys. mkw. – przy wykorzystaniu zwiezionnej ziemi, słony kokosowej, a także wody pompowanej z głębokości 100 metrów – Katarczycy są właściwie w stanie stworzyć każde warunki klimatyczne, jakich może wymagać roślina. Woda jest nasycana odpowiednim zestawem minerałów, a potem z sieci zraszaczy rozpylana jako imitacja deszczu. Na razie francuscy ogrodnicy uprawiają tam orchidee, tulipany i inne ozdobne kwiaty; wszystkie trafiają do apartamentów rodziny szejków Kataru. Jednak według planów już za niecałe 20 lat aż 60 proc. warzyw i owoców będzie uprawiane na pustynnych farmach. → szm

## ISLANDIA

## W imię córki

Piętnastoletnia Blær Bjarkardóttir z Islandii zamierza pozwać rząd w cywilnej sprawie o uznanie swojego imienia. W świetle prawa jest bowiem od urodzenia „dziewczynką” Bjarkardóttir; rodzice nadali jej bowiem imię, które nie znajduje się na liście ponad 2 tys. dopuszczalnych w Islandii żeńskich imion. Przepisy tego nordyckiego kraju nie zezwalają zaś na odstępstwa od tej listy; chodzi o obronę języka i historii kraju zamieszkanego przez ledwie ponad 300 tys. osób. Imię dziewczynki znajduje się zaś na liście imion męskich. Blær używa swojego imienia niemal wszędzie, ale nie ma go w dokumentach. Teraz zamierza więc wytoczyć proces, bo zbliża się do wieku, w którym będzie mogła uzyskać prawo jazdy na samochód, bez którego nie da się normalnie funkcjonować w Islandii czy założyć konta w banku. Opinia publiczna w Islandii zgadza się z tym, że dzieci nie powinny otrzymywać dobrowolnie wybranego imienia, ale mało kto ma wątpliwości, że akurat Blær powinno się pozwolić na korzystanie z imienia wybranego przez rodziców. Sprawa jest precedensowa, bo problem imion innych niż znajdujące się na liście narasta od początku lat 90., gdy na wyspie zaczęli się licznie pojawiać emigranci. Do tej pory udawało się ich zmusić do nadawania urzędowych imion zgodnych z wymogami islandzkimi. Orzeczenie w sprawie Blær Bjarkardóttir, której rodzina od wieków mieszka na wyspie, może więc doprowadzić do wywrócenia dotychczasowego porządku. → szm



AFP/EAST NEWS

## Przepis na tsunami

Ta historia brzmi jak fragment scenariusza kolejnego filmu o Jamesie Bondzie, ale wydarzyła się naprawdę. Jeden z pilotów bombowca zauważył kiedyś, że wybuch bomby na pewnej głębokości pod powierzchnią wody wywołuje wysokie fale. Wojskowi USA i Nowej Zelandii postanowili poeksperymentować i zabawić się w panów morza – przez ponad rok pracowali nad stworzeniem bomby, która byłaby zdolna utworzyć tsunami 10-metrowej wysokości. W jakim celu? By w razie potrzeby zniszczyć wybrane nadbrzeżne miasta. Wszystko to działo się między lipcem 1944 r. a wakacjami roku 1945 w rejonie Nowej Kaledonii i na atolach leżących blisko Auckland. Potem projekt oficjalnie został zawieszony, bo skończyła się II wojna światowa. Z odtajnionych ostatnio w Nowej Zelandii archiwów wojskowych z tego okresu wynika, że badania prowadzone do początku lat 50. Naukowcy ustalili, że wystarczy zdetonować 2 mln kg trotylu w odległości około 5 km od brzegu, by niepostrzeżenie doprowadzić do zalania brzegu 10-metrową falą. Z dokumentów nowozelandzkich wynika ponadto, że jeszcze na początku lat 90. podejrzewano, że łodzie podwodne armii USA mogą dysponować ładunkami pozwalającymi wywołać tsunami. → szm



PIOTR KOŚCIELNIAK, LAS VEGAS

# Elektryzujące

Gadżety stały się sprytniejsze. A te, które nie zyskały większej inteligencji – przynajmniej urosły. Oto pięć **techtrendów** prosto z tegorocznego International CES w Las Vegas – największej, najgłośniejszej i najbardziej zatłoczonej wystawy elektroniki na świecie.



HD. Zaprezentowali je wszyscy wielcy producenci – Samsung, Sony, Panasonic, LG, Sharp i Toshiba. Problem? Nie bardzo wiadomo, co na tym oglądać, bo materiałów nagranych w takiej rozdzielczości zwyczajnie nie ma. Urządzenia potrafią wprowadzić przeskalować obraz ze zwykłego Full HD, ale z wydaniem pięciocyfrowej kwoty („I to nie będzie jakieś tam 10 tys. euro” – mówi jeden z wystawców) lepiej chyba poczekać. Zamiast tego można zainwestować w inteligentny telewizor, który śledzi nasze preferencje i potrafi zarekomendować, co warto obejrzeć. Wystarczy zapytać (mikrofon jest w pilocie): „Czy jest dziś coś fajnego?”, a na ekranie pojawią się odpowiedzi. Do tego większość nowych telewizorów może uruchamiać aplikacje (Facebook, poczta, YouTube), łączyć się przez Skype’a i oczywiście wyświetlać filmy z połączonego bezprzewodowo komputera.

## Mania wielkości

Zastanawiacie się, jaki tablet wybrać – ten z 10-calowym ekranem czy może ten mniejszy, 7-calowy? Co powiecie na tablet z ekranem o przekątnej 20 cali? A taki pokazał właśnie Panasonic. Reklamuje go jako urządzenie dla grafików i architektów.

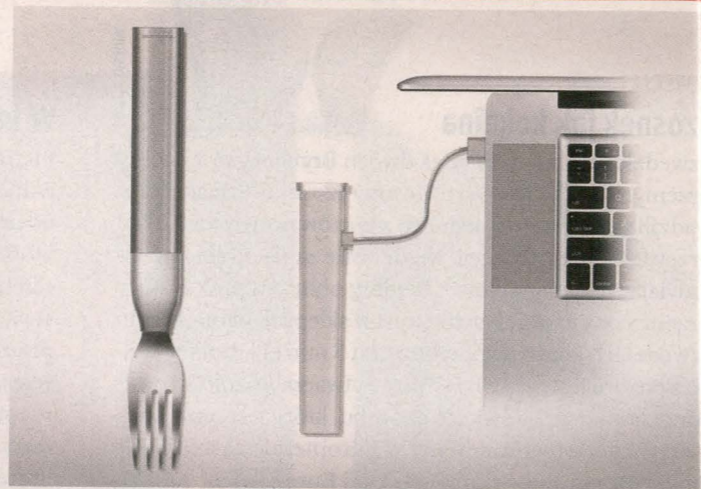
Wciąż za mały? Voila: Lenovo oferuje tablet IdeaCentre Horizon z ekranem 27 cali. Raczej nie nadaje się do noszenia (waży 8 kg), ale podobno w domu będzie niezastąpiony. Można go położyć na stole i pograć w elektroniczną wersję „Monopoly” (jest fabrycznie zainstalowana). W przygotowaniu jest jeszcze wersja Gamma z ekranem 39 cali.

## Superwizja

Było Full HD, było 3D, teraz mamy Ultra HD. Dla tych, którzy nie lubią skrótów – to najnowsze telewizory o rozdzielczości czterokrotnie wyższej niż Full

## Tabletfony

Skoro tablety są już jak telewizory, to i smartfony urosły do roz-



miarów tabletów. Nieoficjalnie nazywa się je tu phablets – są dowodem na to, że ani klienci, ani producenci nie wiedzą jeszcze, jaki rozmiar ekranu powinno mieć to osobiste urządzenie. Dlatego eksperymentują. Już 5-calowy tabletofon Samsunga wydawał się spory. Teraz to typowy rozmiar nowoczesnego smartfona – takie urządzenia pokazały m.in. firmy Sony i ZTE. Ale na CES pojawił się rekordzista: Huawei Ascend Mate ma ekran o przekątnej 6,1 cala, czyli prawie taki jak tablet. Jedno jest pewne – do używania tego telefonu trzeba mieć dłonie Pudziana.

## Na zdrowie

Skoro wszystko i tak mamy w telefonie, to dlaczego nie wykorzystać go do kontrolowania zdrowia i kondycji? Do najpopularniejszych należą aplikacje dla Androida oraz iOS liczące kalorie i odmierzające przebiegnięte kilometry. Teraz do smartfona można podłączyć gumową bransoletkę fit-bit flex mierzącą naszą aktywność fizyczną i odliczającą spalone kalorie. Monitoruje nas

nawet podczas snu. Można też włożyć do ucha czujniki Valencell Performtek, z których dane przesyłane są na bieżąco do telefonu, a ten pokazuje nam, ile jeszcze musimy przebiec na bieżni, żeby spalić zjedzonego chwilę wcześniej hamburgera. A skoro już o jedzeniu – łyżka i widelec HAPIfork i HAPISpoon sprawdzą, czy nie jemy za szybko, i policzą każdy kęs. Jeżeli się objadamy, zaczną świecić i wibrować.

## Komputery na kołach

Najwięksi producenci zorientowali się wreszcie, że klienci nie będą kupować ich drogich systemów multimedialnych, skoro mają w kieszeniach smartfony, które potrafią to samo, a nawet więcej. Audi, Ford, GM, Hyundai i Kia zaprezentowały rozwiązania umożliwiające łączenie mobilnych gadżetów z urządzeniami w desce rozdzielczej auta. Samochód wykorzystuje połączenie internetowe ze smartfona (oczywiście bezprzewodowo), zaś aplikacje można uruchomić na wyświetlaczu na desce rozdzielczej. Wszystkim zaś da się sterować głosem, bez odrywania rąk od kierownicy. W kolejce czekają jeszcze ciekawsze pomysły – wyświetlacze HUD rzucające obraz ekranu na szybę przed oczami kierowcy czy sterowanie niektórymi funkcjami auta na odległość – ze smartfona.



Mariusz Ziomecki

# Policyjne państwo drogowe



**Minister finansów chce zebrać z mandatów karnych sumę kilkanaście razy większą niż dotąd.**

Trzecia nad ranem, końcówka roku. Jadę w awaryjnej, życiowej sprawie do podwarszawskiej miejscowości. Dobrzy ludzie śpią, ulice są praktycznie puste. Na wylotówce w kierunku na wschód czteropasmowa trasa szybkiego ruchu i ograniczenie do 60 km/godz. Nie, dalej nie będzie tak, jak myślicie. Nie przekraczam absurdalnego limitu, mimo że warunki pogodowe są znośne, a w polu widzenia brak pojazdów czy pieszych. Jestem czujnym poddanym naszego policyjnego państwa drogowego. Do zjazdu na Lublin dwa razy mijam przycajone na poboczach radiowozy drogówki: policja i o tej porze realizuje swoją szczytną misję. Unikam zatrzymania i rabunku, ale czuję przypływ furii. Bo te sytuacje doskonale ilustrują, dlaczego aż tylu Polaków wciąż ma taki stosunek do własnego państwa, jaki ma. I dlaczego aż tylu ludzi ginie na naszych drogach.

Państwo, które zarządza takim systemem kontroli, nie jest wiarygodne, tylko wredne. Obywatele nie wierzą, że problemem zawsze jest prędkość i tylko prędkość, a policji na drogach chodzi o bezpieczeństwo. Że znaki, szczególnie ograniczenia prędkości, wszędzie ustawiane są w dobrej wierze. Że cały drogowy system informacji i kar ma wyższy cel niż łupienie kierowców. Nie przypadkiem nie doczekaliśmy się obiecwanego, również przez premiera Tuska, kompleksowego przeglądu oznakowania dróg: zbyt wiele interesów zaznałoby uszczerbku. Właśnie kolejną obietnicę składa Sławomir Nowak. Zdziwię się, jeśli jej dotrzyma. To brak wiarygodności systemu, nie jakaś szczególna skaza charakteru polskich kierowców, rodzi tragedie na naszych drogach. Bo ludzie ignorują ograniczenia, w których sensowność nie do końca wierzą. W idealnym świecie powinniśmy przestrzegać praw bez względu na to, co o nich myślimy, ale na dłuższą metę prawo bez legitymacji rozumowej i etycznej nie działa nigdzie.

Tę prawdę pokazała głośna kraksa ferrari na Puławskiej w Warszawie. Cztery lata temu zginął w niej mój redakcyjny kolega, Jarek Zabiega, a motoryzacyjny gwiazdor z telewizji, Maciej Zientarski, okaleczył się na całe życie. Sędzia właśnie skazała Maćka za spowodowanie wypadku. Uznała,

że przyczyną tragedii była nadmierna prędkość – chłopcy według policji pruli 140–150 km/godz. Bez dyskusji: było to naganne. Jednak współczesne sportowe auta poruszają się bezpiecznie z prędkościami grubo przekraczającymi 200 km, o czym można przekonać się na byle autostradzie. Jak można pomijać fakt, że kierowca stracił panowanie nad ferrari z powodu skandalicznego defektu ulicy Puławskiej? Na skutek zapadnięcia się odcinka jezdni (sic!) powstała tam tzw. hopka, która już wcześniej pochłonęła kilka ofiar. Urzędnicy miejscy nie zasiedli na ławie oskarżonych – dziury nie naprawiali, ograniczyli się do ustawienia przed hopką znaku z ograniczeniem prędkości. Teraz kluczowe pytanie: dlaczego ten, który siedział za kierownicą ferrari, zignorował znak? Nie dowiemy się tego chyba nigdy (Maciek na skutek obrażeń stracił pamięć). Ale podejrzewam, że o hopce nie słyszał, a w sensowność komunikatu na znaku nie uwierzył. Puławska jest szeroka, a Warszawa i cała Polska obstawione są ograniczeniami, których konieczność jest wątpliwa. Chłopak w ferrari nie był jedynym, który popełnił taki błąd.

Tragiczną w skutkach erozję zaufania polskich kierowców do regulatora ruchu pogłębia głośny już wpis do budżetu państwa na przyszły rok. Minister finansów chce zebrać z mandatów karnych sumę kilkanaście razy większą niż dotąd. Temu celowi mają służyć setki nowych fotoradarów i, oczywiście, mobilizacja policji drogowej. Państwo polskie już do końca jawnie, bez rumieńca wstydu pokazuje, jakie ma priorytety w tym obszarze. Przewiduję, że wpływy do budżetu wzrosną znacznie, ale bezpieczeństwo ruchu – minimalnie. Bo przy zakłamanym polityce prewencji są to cele w znacznej części przeciwstawne. Pozostaniemy w ogonie Unii mimo nowych dróg, które w sposób naturalny poprawiają statystyki „wypadkowości”.

A ci sami „zli”, „szalejący” i wiecznie „na podwójnym gazie” polscy kierowcy nadal będą ulegali magicznej, niewytłumaczalnej przez polską drogówkę przemianie, kiedy tylko przekroczą granicę z Niemcami czy Czechami. Tam będą stawiali się zwykłymi europejskimi kierowcami – ani lepszymi, ani gorszymi niż pozostali.

Autor jest redaktorem, dziennikarzem, publicystą, biznesmenem. U nas pisze o ekonomii.



WOJCIECH MIKOŁUSZKO

# Wyciągnąć bagna z bagna

Bagna, które chronią Ziemię przed przegrzaniem, wkrótce mogą zmienić się w wylęgarnię ciepła. Trzeba je pilnie ratować!

**Z**ła reputacja bagien to już przeszłość. Dziś trudno się ich nie nachwalić. Węgiel, który mógłby dostać się do atmosfery i zwiększyć globalne ocieplenie, wpada w ich przepastne wnętrza i tonie tam na amen. Przyjmuje postać nie do końca rozłożonych szczątków roślinnych, czyli torfu. Choć bagna zajmują ledwie 3 proc. powierzchni lądów, to przetrzymują niemal 30 proc. globalnej organicznej materii – twierdzą naukowcy na łamach „Nature Climate Change”. W skali globalnej bagna przechowują dwa razy więcej węgla niż wszystkie lasy razem wzięte.

Wkrótce jednak może się to dramatycznie zmienić. Bagna na całym świecie zaczynają wysychać. – Nasze badania jasno wykazały, że zmniejszenie zawartości wody w bagnach wywołuje rozprzestrzenienie się krzewów na ich powierzchni – mówi „Przekroju” kierownik zespołu badawczego prof. Luca Bragazza z Lozanny w Szwajcarii. Takie zarastanie prowadzi do rozkładu torfu. Węgiel, który „utknął” w torfowiskach, utlenia się i przedostaje do atmosfery w postaci dwutlenku węgla. Zamiast więc, jak dotychczas, hamować globalne ocieplenie, bagna zaczynają je intensyfikować.

– W Polsce zarastanie torfowisk jest jednym z głównych wyzwań ochrony baidennej przyrody – przyznaje dr Paweł Pawlikowski z Centrum Ochrony Mokradel. – Zarastanie jest efektem bezpośredniego odwadniania, obniżania się poziomu wód gruntowych w skali kraju lub zmian klimatycznych.

By ratować bagna w Polsce, buduje się spiętrzenia na rowach odwadniających oraz wycina się drzewa i krzewy zarastające powierzchnie torfowisk. To ostatnie działanie nie budzi entuzjazmu prof. Bragazza. Częściowo ze względu na wysokie koszty, a częściowo z powodu skutków odwrotnych od zamierzonych. – Cięcie stymuluje wzrost krzewów liściastych – twierdzi szwajcarski uczoney. Radzi więc, by raczej skupić się na podnoszeniu poziomu wody w zarastających bagnach, ściślejszej ochronie nienaruszonych torfowisk i rekultywacji tych, które zostały zniszczone przez przemysł lub rolnictwo.

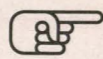
Ale i to może nie wystarczyć. W „Nature Climate Change” szwajcarscy naukowcy udowadniają, że sama rosnąca temperatura Ziemi wysusza torfowiska i sprzyja ekspansji krzewów na ich powierzchni. Powstaje więc paradoks: pod wpływem globalnego ocieplenia bagna tracą swe „przeciwociepleniowe” właściwości. Profesor Bragazza puentuje: – Musimy powstrzymać szybkie zmiany klimatu, jakie wywołuje działalność człowieka na naszej planecie.

Jeśli pomożemy bagnom, bagna pomogą nam. 🐾



TONY WHEELER/GETTY IMAGES/EPH





JERZY ZIEMACKI, ILUSTRACJE ŁUKASZ POŚLAD

# Zmierzch ery lajków

Nie dajmy się zwieść internetowym statystykom. **Fanów można sobie kupić.** Tysiąc lajków na Facebooku kosztuje 40 zł, a 10 tys. wyświetleń na YouTube jest warte tyle, co jedna pizza. Jednak specjaliści w branży wieszczą, że epoka martwych dusz w sieci właśnie się kończy.

**A**gencje handlujące lajkami prześcigają się w ofertach: „1000 realnych lajków za 8 dolarów”; „10 000 lajków wysokiej jakości z Niemiec”; „20 000 lajków z Europy plus gratis”; „100 000 lajków lub zwrot pieniędzy”. Rynek nabijania firmom i osobom statystyk jest bardzo dynamiczny. Również w Polsce: 2 tys. lajków kosztuje u nas 99 zł i 99 gr. Za 4 zł można mieć „120 unikalnych Polaków, z możliwością podziału na województwa”. Jeden polski fan wart jest 4 gr. Firmy handlujące lajkami zapewniają, że są uczciwe i działają zgodnie z prawem. I w większości przypadków tak właśnie jest. Otrzymujemy tyle lajków, ile kupiliśmy. Cała operacja jest legalna. To znaczy nie jest nielegalna. A ściślej: nie jest to działanie niezgodne z prawem kalifornijskim (Facebook podlega tamtejszej jurysdykcji).

## Wyklikać milion

Handel kwitnie również na portalu YouTube. – Oferuję panu cały pakiet: 100 tys. wyświetleń, lajki filmu (łapki w górę) oraz widzów kanału za 400 zł – mówi mi przez telefon pracownik Social Planet, firmy specjalizującej się

w sprzedawaniu wyświetleń na YouTube. I zachęca: – Zawsze dorzucamy kilka tysięcy gratis.

Mnożyć wyświetlenia na YouTube jest jeszcze prościej. Nie trzeba tworzyć nowych tożsamości, żeby nabijać liczniki. Każde kliknięcie jest notowane jako jedno obejrzenie. Zespół kilkunastu osób może ręcznie wyklikać milion w kilka dni. Ale programiści potrafią nabijać liczniki sprytniej: przesyłając linki z serwera na serwer, używając smartfonów, manipulując oknami przeglądarki. Wiele firm stosujących te metody balansuje na granicy prawa. Są przy tym bardzo pewne siebie: na banerach wypisują, że działają legalnie. Przed sądem trudno byłoby udowodnić, że jest inaczej. Dopóki bowiem nie osiągniemy bezpośrednich korzyści majątkowych z podkręconego licznika, trudno mówić o przestępstwie.

**Farmy fanów to konkretny biznes. Jeśli farma ma 200 tys. fanów, zebranie tysiąca lajków to kwestia kilku minut.**

Artysta kupujący lajki i wyświetlenia nie jest kryminalistą. Istnieje jedno zastrzeżenie: ten, kto kupi wyświetlenia, nie może otrzymywać pieniędzy z systemu sprzedaży reklam AdSense, czyli brać pieniędzy od YouTube. Jednak YouTube coraz mniej przychylnie patrzy na upowszechniającą się praktykę sztucznego nabijania popularności. Na swoich stronach pisze: „Ostatnio zauważyliśmy wzrost liczby agencji reklamowych i dostawców obiecujących zwiększenie liczby wyświetleń bez naruszania warunków korzystania z YouTube. W przypadku większości tych firm tego typu zapewnienia są nieprawdziwe. Zakup lub pozyskiwanie widzów, wyświetleń lub innych parametrów kanału jest naruszeniem naszych Warunków korzystania z usługi. Jeśli takie działanie zostanie wykryte, może mieć skutek odwrotny i zaszkodzić Twojej kampanii, powodując zawieszenie konta”. Kupujący wcale się jednak nie boją. Ogólnikowe wyrażenia: „W przypadku większości tych firm tego typu zapewnienia są nieprawdziwe” świadczą o bezradności portalu wobec agencji handlujących lajkami. Kara w postaci zawieszenia konta jest





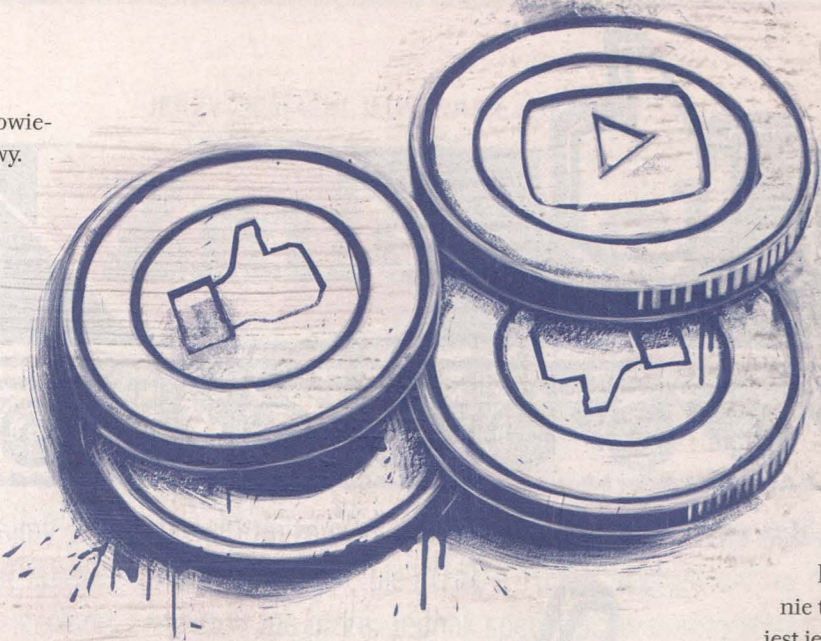
wyjatkowo łagodna. O odpowiedzialności karnej nie ma mowy.

Pod koniec 2012 r. świat obiegła informacja, że wyświetlenia kupowały największe gwiazdy: Justin Bieber, Alicia Keys, Rihanna i Beyonce. YouTube odjął im setki milionów wyświetleń pod teledyskami. Ale wytwórnie muzyczne zaprotestowały przeciw „pomówieniom”. W tym sporze, który najprawdopodobniej jeszcze się zaostrzy, obie strony mają swoje racje. YouTube wie, że wielkie koncerty medialne ścigają się o liczbę wyświetleń, gwarantujących rekordowe wyniki, i zatrudniają „kreatywnych programistów”, ale ma w tej sprawie związane ręce. Firma znalazła się w trudnej sytuacji. Chce być lojalna zarówno wobec użytkowników, jak i wobec reklamodawców, zapobiegając sztuczному zwiększaniu wyświetleń. Jednak to technicznie bardzo trudne, a od strony prawnej skomplikowane. YouTube na razie walkę z handlarzami wyświetleń przegrywa, a osmieszenie lajków może się okazać poważnym ciosem dla portalu.

### Biznes jeszcze się kręci

Tymczasem handel lajkami trwa. Kiedy już je kupimy, agent dzwoni do nas, aby dograć szczegóły. Przede wszystkim ustalić czas dostawy: lajki mogą być dostarczone od razu (w 48 godzin) lub spływać na naszą stronę regularnie, w ustalonej liczbie. Chodzi o to, aby – mimo wszystko – zyskiwanie popularności wyglądało naturalnie: 150 lajków na Facebooku dziennie to optymalne rozwiązanie. Na YouTube rozwój kariery też powinien być harmonijny: 20 tys. wyświetleń dziennie (80 zł) jest w sam raz.

W oczach nieświadomych internautów wyświetlenia na YouTube i lajki na Facebooku wciąż wyglądają atrakcyj-



**Lajki mogą być dostarczone od razu (w 48 godzin) lub spływać na naszą stronę regularnie, w ustalonej liczbie.**

nie i mają wartość. Kłują w oczy. W rzeczywistości zupełnie się zdewaluowały. Lajki, które można kupować, przestają mieć wartość. Teraz – przy hiperinflacji – nie znaczą nic.

– Obawiam się, że wkrótce wszyscy dowiedzą się, że lajki i wyświetlenia można kupować za grosze. Wtedy nikt nie będzie zwracał na nie uwagi. Być może klienci przestaną je u nas kupować. Ale na razie mój biznes ma się bardzo dobrze – mówi właściciel firmy Social Planet. Prosi o zachowanie anonimowości.

Biznes się kręci, bo nadal filmik z dużą liczbą wyświetleń ma szansę pomnożyć oglądalność (efekt kuli śnieżkowej), tak samo jak fanpage z dobrą statystyką lajków. Dlatego w branży rozrywkowej mówi się, że pierwszy milion wyświetleń warto kupić. A duże firmy dokupują sobie fanów na Facebooku, balansując na granicy przyzwoitości. Naiwna publika nadal wierzy (może

to ostatnie miesiące tej wiary), że „dużo” znaczy „dobrze”: im więcej wyświetleń teledysku, tym lepszy artysta, im więcej fanów firmy produkującej żaluzje, tym lepsze żaluzje.

Z takiego myślenia można się tylko śmiać. – Czy jak dokupię 47 lajków, to moje dowcipy będą zabawniejsze? Czy jeśli Doda kupi więcej lajków od Beethovena, to znaczy, że robi lepszą muzykę? Wydaje mi się, że uruchomienie tej idiotycznej pogoni za lajkami jest jedną z smutniejszych rzeczy, jakie zrobiły nam wszystkim Facebook i YouTube. Nie lubię tego – krytykuje Maciej Kaczyński, współtwórca popularnych fanpage’ów „Antkowi znowu nie wyszło” (9 tys. fanów) i „Facecje” (13 tys.).

### Lajki rosną na farmach

Każdego, kto kupuje lajki, w końcu nadochodzi refleksja: „Kim są ludzie, którzy »kupiłem«? Kto czyta mój fanpage? Kto obejrzał moje filmy? A może to roboty?”. Facebook ma już miliard użytkowników. Niestety nawet co dziesiąty z nich może okazać się tzw. botem. Boty to fikcyjne konta sterowane przez komputery, generujące miliony sztucznych lajków. Używanie botów to działanie wbrew regulaminowi Facebooka. Jeżeli Facebook wykryje, że konta są fikcyjne, teoretycznie od razu je kasuje. Jeżeli więc jakaś firma kupi 100 tys. lajków wygenerowanych przez boty, ryzykuje, że straci wszystkich „fanów” przy pierwszej kontroli. Profesjonalne agencje handlujące lajkami nie używają botów. Każdemu dają gwarancję, że fani, od których pochodzą lajki, są ludźmi z krwi i kości. „Nie używamy botów, nie grozi Ci ban” – chwali się agencja Getlikes.com, lider na amerykańskim rynku.

Jeśli nie boty, to kto? Kim są ci ludzie? Jak wyglądają? Skąd pochodzą? Czemu dają się tak tanio sprzedawać?

Odpowiedź jest zaskakująca: sprzedawani fani to ja i ty. My wszyscy. Każdy bowiem, kto lubi jakąś stronę na Facebooku, może zostać sprzedany wraz z tą stroną, każdy, kto lajkuje jakiś link, wspiera być może lajkowy przemysł. Lajki są tak tanie dlatego, że ich produkcja jest darmowa. Wszyscy – czy tego chcemy, czy nie – pracujemy na „farmach fanów”. Za darmo nabijamy lajki, które potem trafiają na rynek.

Mechanizm jest taki: administrator zakłada stronę na Facebooku i zbiera jak najwięcej lajków. Mając stronę z dużą liczbą fanów (farmę), umieszcza na niej linki do innych stron. Każde kliknięcie w link (dzięki pomysłowym aplikacjom) zamienia się w lajk dla kilku innych wirtualnych bytów. Administratorzy fanpage’ów potrafią skutecznie przekierowywać fanów na stronę klienta, który kupuje od nich lajki.

### Żyła złota

Mnożenie lajków na farmach odbywa się szybko i skutecznie. Wystarczy kilka kliknięć myszką, aby wywołać ruch na farmie: zachęcić ludzi do lajkowania. Jeśli farma ma 200 tys. fanów, zebranie tysiąca lajków to kwestia kilku minut. Admini używają różnych sztuczek. Piszą chwytliwe teksty. Mamią nagrodami. Umieszczają popularne memy. Chętnie stosują technikę „zebrólajków”. Błagają o lajki, biorąc ludzi na litość. Jeden przykład rozjaśni wszystko: na fanpage’u o kotach admin wrzuca zdjęcie cierpiącego kotka, które należy polubić, by pomóc biednemu zwierzęciu. W rzeczywistości litościwi miłośnicy kotów lajkują duży koncert samochodowy, który zapłacił adminowi za lajki. A kotek to fotomontaż.

Farmy fanów to konkretny biznes. W branży handlu lajkami więksi mają łatwiej. Jedne farmy pomagają stworzyć następne farmy. Najlepsi mają kilkadziesiąt wielkich farm fanów. Administrator farmy wie, że ludzie zalajkują prawie wszystko, co im się wyświetli na tablicy. Szczególnie jeśli można być

**Admin wrzuca zdjęcie cierpiącego kotka, które należy polubić, by pomóc biednemu zwierzęciu. W rzeczywistości miłośnicy kotów lajkują duży koncert samochodowy.**

dzie coś wygrać. Ta specyficzna psychologia Internetu, która prowadzi do smutnych wniosków: internauci w zamian za darmowe bilety do kina są w stanie klikać w jeden banner całą noc. Okazuje się również, że co 10. osoba poświęci czas na wypełnianie skomplikowanych formularzy danych osobowych w nadziei, że wygra zestaw w KFC. Administratorzy farm fanów, obserwując ludzką naiwność, stają się jeszcze bardziej cyniczni, niż byli, zakładając fałszywy fanpage.

Łącząc talent psychologiczny z informatycznym, specjaliści od tworzenia wysokonakładowych fanpage’ów potrafią zgromadzić 50 tys. fanów w jeden dzień. Polski rekordzista, strona pod nazwą „Piękna dziewczyna robiła sobie zdjęcia codziennie przez 4,5 roku”, zgromadził w dwa dni 200 tys. fanów. Ludzie skuszeni intrygującym tytułem klikali w link, następnie – aby zobaczyć zdjęcia pięknej dziewczyny – byli zobligowani do polubienia strony. Wszyscy klikali „Lubię to”. Dodatkowo, dzięki specjalnej aplikacji, informację o polubieniu widzieli ich znajomi. Fanów przybywało lawinowo z minuty na minutę. A twórcy zacierali ręce. Bo na tak dużej farmie można produkować lajków, ile się chce. Można też taką stronę sprzedawać: strona z 200 tys. fanów kosztuje w Polsce od 6 do 12 tys. zł.

Co zrobić z kupioną stroną? Fanpage można przemianować, a następ-

nie pod swoim szyldem rozpocząć własną działalność. Na przykład strona „Piękna dziewczyna robiła sobie zdjęcia codziennie przez 4,5 roku” może nazywać się od teraz „Lubię markę X”. I wszystko gotowe. Kupujący ma własną stronę i 200 tys. cudzych fanów. Ale pod własnym szyldem. I choć zmiana nazwy nie jest łatwa – Facebook musi wyrazić zgodę na zmianę nazwy strony, która ma powyżej 200 fanów – w dynamicznym świecie social mediów wszystko da się załatwić. Facebook najczęściej się zgadza. Fanpage zostaje sprzedany wraz z fanami, którzy w większości nawet nie orientują się, że lubią coś innego, niż lubili wcześniej.

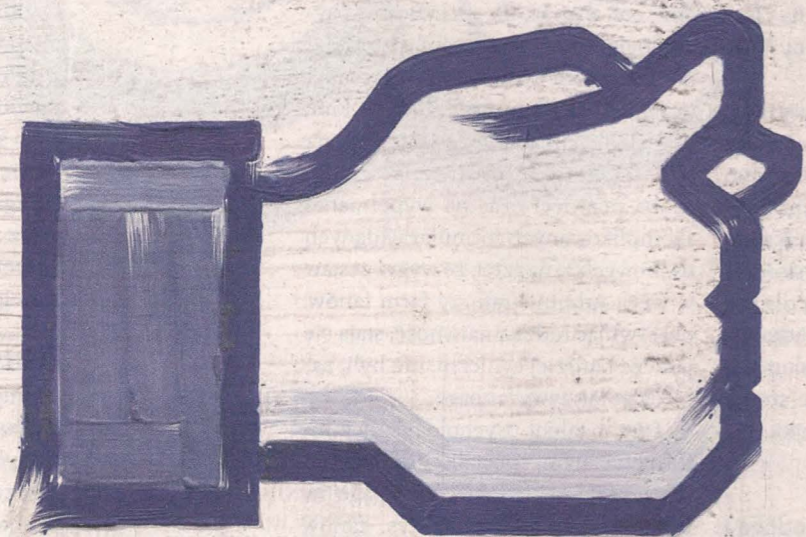
### Martwe dusze

Mamy zatem 200 tys. fanów wyprodukowanych na farmach lub sprzedanych wraz z szyldem. Czy możemy zacząć się z nimi komunikować? To bardzo trudne. Czasem niemożliwe. – To martwe dusze. Robią wirtualny tłok, z którego nic nie wynika. Puste liczby – uważa Bartek Borowiec z agencji E-dentity, zajmującej się branżą mediów społecznościowych. Kupując fanów, docieramy do przypadkowych osób, które mają nas w nosie. Najczęściej nie widzą nawet treści, którą publikujemy na stronie (od kilku miesięcy treść fanpage’ów w aktualnościach widzi tylko 10 proc. najbardziej aktywnych użytkowników). W większości nie wiedzą nawet, że nas lubią (zmiana nazwy fanpage’a to wyjątkowo prymitywne zagranie). Efektywność takich fanów jest bardzo niska.

– Jeśli firma myśli o długofalowym sukcesie komunikacji w mediach społecznościowych nie powinna kupować lajków. Zdecydowanie bardziej







# fake

opłaca się przeznaczyć ten sam budżet na stworzenie wartościowego i własnego kontentu, prostą aplikację konkursową lub social adsy, czyli ogłoszenia na portalach społecznościowych. To daje lepsze efekty – uważa Bartek Szymeczko, Social Media Consultant w Havas PR Warsaw. Specjaliści w branży zgadzają się, że lajki o niczym nie świadczą. Lajki się skończyły. Sukcesy liczy się innymi statystykami. Epoka lajka minęła.

Jednak amerykańskie firmy, które żyją ze sprzedaży fanów, nie dają za wygraną. Potrafią dostosować się do wysokich oczekiwań klientów. Agencja Getlikes, lider na amerykańskim rynku, zapewnia, że sprzedawane przez nią lajki są realne, autentyczne i wysokiej jakości. Oznacza to, że lajkujący ludzie istnieją naprawdę, mają ładne profile, z dużą liczbą informacji o sobie, są serdeczni i szczerze zainteresowani fanstroną, którą polubią. Przy dobrze sprecyzowanych potrzebach agencja Getlikes jest w stanie dostarczyć „setki tysięcy fanów najwyższej jakości”. Ale wówczas cena za jednego fana jest kilkukrotnie wyższa. Walka na rynku trwa. Ale przegradza się ona w walkę o jakość.

### Jakość, nie ilość

Liczba lajków przestała mieć znaczenie. Za kilka miesięcy zrozumie to już cały świat. Nikt nie będzie patrzył na statystyki. Artyści będą wstydzili się swoich wydmuszek (sztucznie rozdmuchanych teledysków), firmy pogardzą milionami lajków, które za bezcen będą próbowali im wcisnąć wirtualni handlarze. Czeka nas nowa era. Skoro ilość nie przechodzi w jakość, może jakość powinna przechodzić w ilość? W świecie, gdzie nie będą liczyły się lajki, zaczną się liczyć zaangażowanie fanów, poziom komentarzy, racjonalne interakcje i bezpośredni kontakt. Coś, co można nazwać autentycznym feedbackiem.

Zrozumiał to Jan Kasprzycki-Rosiński, współtwórca portalu Millionyou.

com. To połączenie serwisu filmowego i portalu społecznościowego. Gromadzi twórców i widzów. Nadsyłane filmy są oceniane przez internautów oraz profesjonalistów z branży filmowej. To oznacza, że do widza trafia tylko wysoka jakość. W przeciwieństwie do YouTube polski Millionyou.com ma moderatora.

Na portalu nieprzerwanie trwają konkursy filmowe z nagrodami. Nagrody fundują sponsorzy, którzy chcą wypromować własną markę. Do kręcenia spotów reklamowych miast, banków i akcji społecznych staje kilkudziesięciu, a nawet kilkuset twórców. Zgłaszają się amatorzy i profesjonaliści: każdy ma szansę wygrać konkretne pieniądze lub zadebiutować. Dla wszystkich to również dobra zabawa. Prace konkursowe są wysokiej jakości, konkurencja tę jakość jeszcze podwyższa.

Użytkownicy takiego portalu dbają o to, żeby ich filmy były oglądane, komentowane i wysoko cenione wśród publiki. Stają się PR-owcami samych siebie, a przy okazji portalu, na którym publikują. Tysiące twórców Millionyou.com promują filmy w swoim środowisku. Docierają do bardzo konkret-

nej grupy ludzi. Rodzi się wzajemne zaufanie. Zasięg takiej oddolnej akcji promocyjnej jest zaskakująco skuteczny. Niektóre filmy stworzone w ramach otwartych konkursów dotarły do milionów zainteresowanych i zadowolonych widzów. Millionyou.com funkcjonuje już w nowej erze jakości.

Twórcy fanpage'ów dla firm przekonują, że po śmierci lajka najważniejsze jest gromadzenie dobrej energii. Nie ma nic gorszego niż olbrzymia liczba milczących fanów. Na takich fanstronach ziele pustką. – Wizja kilku ponurych facetów, którzy na 14. piętrze jakiegoś biurowca kupują 1,2 tys. lajków dla fanpage'a czopków na psie hemoroidy, jest dość posępna. W przeciwieństwie do nich ja mam komfort – nie czuję presji zasięgu – tłumaczy Maciej Kaczyński.

Liczy się tylko jakość, ilość się skompromitowała. Warto zabiegać o „organicznym fanów”, czyli o osoby, które same klikną, żeby udowodnić, że nas lubią i nam ufają, wejdą z nami w dialog, będą interesować się tym, co robimy. Polubią nas naprawdę, a nie przez przypadek. Takich autentycznych fanów, prawdziwych przyjaciół, można zyskać tylko uczciwością. Na pewno nie można ich kupić w pakiecie. ☹



### Kup sobie lajka

#### POLSKA

##### Facebook

140 fanów	3,99 zł
500 fanów	19,99 zł
1000 fanów	40,00 zł
1500 + 150 fanów gratis	59,99 zł
2000 fanów	99,99 zł

##### YouTube

10 000 wyświetleń	45 zł
20 000 wyświetleń	80 zł
50 000 wyświetleń	249 zł
100 000 wyświetleń	400 zł
1 000 subskrypcji kanału	100 zł

#### ŚWIAT

##### Facebook

1000 fanów z USA	8,00 USD
1800 fanów z Izraela	9,99 USD
2500 fanów z Indonezji	12,00 USD
2500 fanów z Niemiec	20,00 euro
3000 fanów (high quality)	35,00 USD
700 000 fanów z Singapuru	cena do ustalenia

##### YouTube

10 000 wyświetleń	10 USD
20 000 wyświetleń	20 USD
100 000 wyświetleń	80 USD
20 komentarzy	6 USD
100 subskrybentów	4 USD





EWA NIECKUŁA, ILUSTRACJA KATIA SEREK

# Nowy lepszy świat

**Antidotum na postępujące globalne ocieplenie? Naukowcy postulują genetyczne manipulacje zmieniające ludzi. Wśród nowych pomysłów są pigułki na znieczulicę wobec środowiska, plastry wywołujące alergię na wołowinę oraz terapie zmniejszające zbyt wysokich ludzi.**

**N**ie po raz pierwszy naukowcy wpadają na dziwaczne pomysły, które mają stać się skutecznym hamulcem dla zmian klimatu. Taką ideą było zamontowanie w kosmosie wielkich luster odbijających promieniowanie słoneczne czy posypywanie oceanów opiłkami żelaza, co miało przyspieszać rozwój morskich mikroorganizmów mogących magazynować więcej dwutlenku węgla z atmosfery. I choć w teorii rozwiązania te wyglądały obiecująco, w praktyce okazało się, że są one albo mało skuteczne, albo niemożliwe do zastosowania.

Wizja zmian klimatu, które sprowadzą głód, suszę, degradację środowiska, epidemie tropikalnych chorób i globalny chaos, skłoniła do przemysłów również filozofa i bioetyka dr. Matthew Liao z New York University oraz jego brytyjskich kolegów po fachu: Andersa Sandberga i Rebecę Roache z Oxford University. Ale wyniki ich wspólnej pracy nie przyniosły im uznania. Ekofaszyści, wyznawcy eugeniki, naziści – to tylko część epitetów, które usłyszeli po opublikowaniu autorskiego przepisu na ratowanie świata.

## Pigułka współczucia

Doktor Liao wyszedł z założenia, że skoro do tej pory nie udało się skutecznie ograniczyć emisji gazów cieplarnianych, trzeba zmienić metody działania. I manipulować nie środowiskiem, ale ludźmi.

Na przykład należałoby upowszechnić przyjazne dla natury (i klimatu) zachowania, takie jak jazda na rowerze, skrupulatny recykling, oszczędzanie wody i światła. Codzienne prośrodowiskowe wybory są nadal domeną tylko niewielkiej grupy ludzi. Przecież mało kto ma wrażliwość Adasia Miauczynskiego, bohatera „Dnia świra”, który w trosce

**Jesteśmy wyżsi, grubszy i zużywamy coraz więcej zasobów. Dlatego dla dobra klimatu trzeba położyć temu kres.**

o ludność Afryki wydziela sobie wodę, wstawiając miskę do wanny i myje się, mocząc tylko końce palców. Takie postawy stałyby się bardziej powszechne, gdyby stworzyć leki uwrażliwiające na problemy mieszkańców biednych rejonów świata oraz roślin i zwierząt.

Empatyczni i altruistyczni ludzie będą chętniej gasili niepotrzebne żarówki, wyłączali urządzenia zostawiane w trybie stand-by czy kupowali tylko lokalnie wyprodukowaną żywność, by ograniczyć transport. Choć przyjazność dla środowiska jest w dużej części produktem kultury, ma także i neurologiczne podłoże. Istnieją dowody na to, że więcej oksytocyny w mózgu powoduje przyływ altruistycznych odruchów; wraz ze wzrostem aktywności serotoniny

mamy więcej ciepłych uczuć dla innych; natomiast wysoki poziom testosteronu działa odwrotnie i empatię wyraźnie osłabia. Odpowiednie regulowanie ilości tych substancji ma być celem inżynierii ekogenetycznej.

## Niestrawność po wołowinie

Doktor Liao marzy nie tylko o wpływniu na emocje, ale i o kontrolowaniu apetytu na wołowinę. Kominy fabryczne i rury wydechowe naszych samochodów nie są bowiem jedynymi winowajcami. Wczołówcę sprawców globalnego ocieplenia znajdują się również hodowcy bydła. Krowy hoduje się głównie na mięso. Stąd wniosek, że gdyby ludzie przestali masowo jeść wołowinę i liczba „muciek” drastycznie by się zmniejszyła, skutki takich zmian na dłuższą metę byłyby zbawienne dla klimatu. Liczby mówią same za siebie – nawet 20 proc. światowej produkcji metanu pochodzi bezpośrednio lub pośrednio od zwierząt gospodarskich. A metan ma 22 razy większy potencjał cieplarniany niż dwutlenek węgla! Jedna krowa (a jest ich na tym łez padole około 1,5 mld) produkuje dziennie do 500 litrów tego gazu. Nawiasem mówiąc, główne źródło metanu znajduje się nie pod ogonem, jak do niedawna sądzono, ale w krowim pysku. Oczywiście fakt ten nie zmienia sedna problemu. Bydło szkodzi, nie tylko zanieczyszczając atmosferę. Stada krow zmniejszają zasoby wody (żeby wyprodukować kilogram wołowiny, potrzeba 1200 litrów), a pastwiska potrzebne do ich wykarmienia powstają kosztem lasów.

Przemawianie do ekologicznego sumienia amatorów soczystych befsztyków problemu nie załatwi. Dlatego należałoby sprawić, by wołowina przestała ludziom smakować. A jeszcze lepiej, żeby im szkodziła. Doktor Liao stawia tezę, że w idealnej dla klimatu sytuacji zjedzenie wołowiny kończyłoby się biegunką, bólem brzucha i wymiotami. W tym celu do mięsa można by dodawać substancje wywołujące torsje lub sprawić, że ludzki organizm przestanie je tolerować. Normalnie działający układ odpornościowy należałoby zmusić do agresywnej reakcji na białka typowe dla wołowiny. Wtedy traktowałby befsztyk jak bandę choro-



botwórczych mikroorganizmów. Doktor Liao proponuje, by taką odpowiedź immunologiczną wywoływać na przykład za pomocą plastra nasyczonego specjalnymi substancjami, które będą wnikać przez skórę do organizmu. Na tej samej zasadzie działają plastry antykoncepcyjny czy antynikotynowy. Plaster antybełszytkowy wystarczyłoby przykleić na jakiś czas, a przykre skojarzenia utrwala awersję do wołowego mięsa.

Ci, którzy nie zamierzają porzucić wołowiny, by hamować ocieplenie klimatu, mogą spać spokojnie – według projektu dr. Liao manipulacje genetyczne mają być dobrowolne. Mięsożercy nieużywający plasterków straciliby jednak bonusy. Na przykład ulgi podatkowe lub darmową opiekę zdrowotną po kres swoich dni.

### Skurczyć ludzi

Filozofowie dostrzegli także fakt, że ludzie są coraz wyżsi i grubszy. Wiadomo, że „utrzymanie” każdego kilograma ciała wymaga pokarmu i energii. To oznacza, że milion Skandynawów czy Holendrów (najwyżsi Europejczycy) będzie zużywał więcej zasobów niż jeden milion Włochów lub Polaków (przeciętni pod względem wzrostu). Przerośnięte narody nie tylko jedzą więcej, ale także zużywają więcej energii w mniej bezpośredni sposób. Żeby ich odziać, potrzeba więcej tkaniny. Tak samo ze skórą na buty, większymi meblami czy benzyną – bo przecież im ciężsi pasażerowie, tym więcej paliwa zużywa przewożący ich pojazd.

Stąd też kolejny pomysł firmowany przez dr. Liao wymaga jeszcze dalej idących ingerencji niż zmiana zachowań na prośrodowiskowe. Skoro wskutek coraz lepszych warunków życia stajemy się coraz rośniejsi (to, naukowo rzecz nazywając, trend sekularny), należałoby temu wzrostowi położyć kres. Wystarczy, że przeciętny obywatel Stanów Zjednoczonych byłby o 15 cm niższy, masa jego ciała zmniejszy się o jedną czwartą, a tempo przemiany materii spadnie o 15–18 proc. Taka zmiana generuje mniejsze potrzeby, tak więc skurczenie ludzi to dla środowiska czysty zysk.

Można to osiągnąć na kilka sposobów. Wzrost człowieka jest wypadkową

genów, diety oraz kilku innych czynników, na przykład przebytych chorób. Podczas gdy dodana aktywność poszczególnych genów składa się na wynik końcowy, jakim jest wzrost dorosłego człowieka, to sam proces wzrostu zależy od hormonu zwanego somatotropiną. Złożoność tego procesu, jak przyznaje zespół dr. Liao, uniemożliwia na razie skuteczne genetyczne modyfikacje tej cechy, ale naukowcy wskazują na kilka potencjalnych sposobów sterowania wzrostem. Jeden z nich to kuracja hormonalna wpływająca na poziom somatotropiny. Alternatywą dla niej mogłyby

**Dla dobra planety należałoby przekonać bogate społeczeństwa, że regułą powinno być nie więcej niż dwoje dzieci w rodzinie.**

być leki i odpowiednio dobrana dieta stymulująca tylko matczyne geny. Jeśli u dziecka geny matki będą dominować nad genami ojca, urośnie mniejsze, niż kiedy prym będą wiodły cechy męczyzny. Pojawił się także pomysł, by w trakcie zapłodnienia in vitro implantować wyłącznie zarodki o „niższym” genetycznym potencjale.

To nie nowy pomysł. 80 lat temu podobny koncept wymyślił Aldous Huxley, autor powieści „Nowy wspaniały świat”. Z tą tylko różnicą, że w świecie Huxleya niższy wzrost uzyskiwano, ograniczając dostęp tlenu podczas życia płodowego. Wprowadzono standaryzację mężczyzn i kobiet, ponieważ sprawne funkcjonowanie społeczeństwa wymagało produkcji „identyków”.

### Ekoniesolidarność

Tyle że w realnym świecie „nieidentyczność” wynika już z samego miejsca urodzenia. W kategoriach ocieplenia klimatu nie chodzi o sam trend sekularny, ale przede wszystkim o ślad ekologicz-

ny (mierzony w globalnych hektarach na osobę), czyli miarę zapotrzebowania na zasoby naturalne potrzebne do wytworzenia zużywanych produktów. To, kto jest wierzycielem lub ekologicznym dłużnikiem, wynika z prostego zestawienia. Średnio na jednego mieszkańca przypada 2,2 gha. W biednych rejonach świata – w Nepalu, Bangladeszu – taki ślad wynosi około 0,5 gha na mieszkańca, natomiast w bogatej Szwecji i Finlandii – odpowiednio 6,07 gha i 7,64 gha.

Co wobec tego może zrobić ekologicznie świadomy Europejczyk? Profesor John Cuillebaud, lekarz z University College w Londynie, w 2008 r. po raz pierwszy stwierdził, że każdy brytyjski noworodek jako konsument różnych dóbr (w domyśle każde dziecko narodzone w rozwiniętej części świata) generuje emisję gazów cieplarnianych 160 razy większą niż noworodek w zacofanym zakątku Azji czy Afryki. Wobec tego, dla dobra planety, należałoby przekonać uprzemysłowione społeczeństwa, że naczelną regułą powinno być nie więcej niż dwoje dzieci w rodzinie. Sugerowane metody osiągnięcia tego celu to dobra edukacja oraz lepszy dostęp do środków antykoncepcyjnych. W dobie szybko starzejących się społeczeństw ten pomysł wydaje się mocno kontrowersyjny.

Publikacja dr. Liao, która ukazała się w czasopiśmie „Ethics, Policy and Environment”, wywołała burzę krytyki. Jako pierwsi zaprotestowali ci, którzy w ocieplenie klimatu zupełnie nie wierzą. Jeden z blogerów zaproponował, by kreatywnych naukowców zesłać do obozu Guantanamo. Zupełnie niepotrzebnie.

Współczesnej medycynie jeszcze daleko do skutecznego stosowania inżynierii genetycznej w leczeniu ciężkich chorób i tego typu pomysły są całkowicie poza jej zasięgiem. Wzięty w krzyżowy ogień pytań dr Liao bronił się, że jako filozof ma stawiać tezy prowokujące do dyskusji, co niewątpliwie udało mu się osiągnąć.



## Program księgowo-kadrowy „Rzeczpospolitej”

# Mała Księgowość

edycja 2013



Pobierz program  
[www.rp.pl/sklep](http://www.rp.pl/sklep)  
infolinia 801 15 15 15

Skorzystaj z programu Mała Księgowość, który pozwoli Ci sprawnie prowadzić księgowość Twojej firmy.

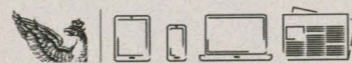
- Darmowe aktualizacje przez cały rok
- Bezpłatne wsparcie techniczne
- Fakturę VAT za zakupiony program przesyłamy pocztą

Mała księgowość – 49 zł (brutto)

- jedna firma
- jedno stanowisko pracy

Mała księgowość – 99 zł (brutto)

- jedna firma – wiele stanowisk pracy
- biura rachunkowe prowadzące małe firmy



Pobudzamy myślenie RZECZPOSPOLITA



ANNA PRZYBYLL

# Miłość od pierwszego kliknięcia

Sprofilowane serwisy randkowe w sieci to w Polsce wciąż nowe zjawisko. Korzystają z nich ludzie, których łączy styl życia, wyznanie, orientacja seksualna, a czasem wyjątkowe hobby. Możliwe, że takie wyspecjalizowane portale zastąpią zwykłe serwisy randkowe, których popularność wśród polskich internautów wyraźnie maleje.

Marta i Tomek Baszakowie poznali się na portalu Przeznaczeni.pl. Dwa lata temu Marta spędzała wakacje w Krakowie i właśnie wtedy dostała miłą wiadomość od Tomka, użytkownika serwisu. Po obejrzeniu jego profilu pomyślała, że to przystojny facet, a w dodatku z zasadami, bo na stronie „przeznaczonych” zaglądają ludzie szukający uczucia na całe życie. Po wymianie kilku wiadomości okazało się, że mieszkają daleko od siebie. Sześć lat starszy Tomek pracował i studiował w Szczecinie, Marta uczyła się w Poznaniu. Kiedy się w końcu spotkali, od razu poczuli, że łączy ich coś niezwykłego. Nie tylko wspólny światopogląd. – To była klasyczna miłość od pierwszego wejrzenia. Każde rozstanie wiązało się ze łzami. Po pół roku znajomości, 14 lutego 2011 r., Tomek zabrał mnie na wycieczkę do Warszawy i tam poprosił o rękę – wspomina Marta i przyznaje, że gdyby nie portal, do dziś zapewne byłaby singielką.

Takich serwisów randkowych sztych na miarę wciąż przybywa, także w Polsce. Wyraźny, nowy trend wśród e-randkowiczów odzwierciedlają najnowsze badania Internetu. Według danych Megapanel PBI/Gemius, opublikowanych pod koniec 2012 roku, spada liczba internautów zaglądających na strony tradycyjnych, masowych ser-

wisów randkowych (np. Sympatia.pl). Tylko we wrześniu zeszłego roku było ich o 1,3 mln mniej niż w styczniu. Analitycy firmy tłumaczą ten spadek modą na wyspecjalizowane portale, a także szybkim rozwojem mediów społecznościowych, które dzięki aplikacjom geolokalizacyjnym (np. Badoo, Grindr) z powodzeniem zastępują portale stricte randkowe.

## Podobieństwa się przyciągają

– Tematyczne portale randkowe nie tyle dają większą szansę na znalezienie partnera, ile oszczędzają czas. Od razu zawężamy pole naszych poszukiwań dotyczące światopoglądu, hobby, preferencji, potrzeb. To bardzo ułatwia pierwszy kontakt, bo już na samym początku coś nas łączy. Jest temat do rozmów, są podobieństwa. Mniej więcej wiemy, czego możemy się po danej osobie spodziewać. Oczywiście pod warunkiem, że nie mamy do czynienia z internetowym oszustem – mówi „Przekroju” dr Tomasz Sobierajski, socjolog z Uniwersytetu Warszawskiego.

W serwisach sprofilowanych znajdziemy wegetarian, ateistów, otyłych, rolników, gejów i katolików. Są też portale, które łączą dwa kryteria, np. www.militaryhookups.com proponuje niezobowiązujące spotkania dla osób związanych z wojskiem. Takie serwisy drażnią

jedynie sposobem selekcji kandydatów – przypomina on trochę reklamy proszku do prania – do białego, do ciemnego, do tkanin delikatnych, na uporczywe plamy, zmiękczający lub w kapsułkach. Ale taki jest popyt: nowoczesne single chcą dostać towar gotowy i idealnie dobrany, a dodatkowo potwierdzony odpowiednim wynikiem testu psychologicznego, który członek większości poważnych portali randkowych musi przejść na początku rejestracji.

## Romantyzm jest passé

Pęd za starannie wyselekcjonowanym partnerem, również w sferze randek,

przybiera czasami kuriozalne formy. Rozgłoszła akcja marketingowa przeprowadzona we wrześniu w Paryżu. Serwis Zaadoptuj Mężczyznę (AdopteUnMec) sprowadził mężczyzn do roli towaru w przenośnym „butik z mężczyznami”, w którym przez cztery dni panie mogły oceniać i wybierać prezentujących swoje zalety panów. Konwencja uprzedmiotowienia mężczyzn spotkała się z krytyką mediów, ale nie kobiet. – Mścimy się. W końcu to my mamy władzę, by wybierać, którego chcemy – mówiła jedna z uczestniczek wydarzenia. Portal obecnie ma we Francji ponad 4 mln zarejestrowanych użytkowników,

W Europie portal randkowy GayRomeo.com ma ponad 800 tys. użytkowników, z czego w Polsce to ponad 16 tys. osób. Po piętach depcze mu już Grindr – najnowsza i coraz bardziej popularna forma poznawania gejów on-line.

Spada liczba użytkowników masowych serwisów randkowych. Polacy doceniają portale sprofilowane.

a wkrótce wejdzie na rynki włoski i hiszpański. Członkami społeczności mogą być wszyscy, lecz jedynie kobiety mają możliwość wysyłania wiadomości do interesujących je kandydatów. Same, nienarażone na liściki z podtekstami, decydują o tym, którego mężczyznę dosłownie „dodać do koszyka”. Właściciele serwisu nie ukrywają, że mówią o potencjalnych partnerach jak o towarze. – W kontekście AdopteUnMec używamy słownictwa, jakiego używa się, mówiąc o supermarkecie – deklaruje Thomas Pawlowski, dyrektor marketingu.

## Zarejestruj się na Romku

Zupełnie inny charakter ma portal GayRomeo.com (w Polsce pieśczołliwie nazywany Romkiem), czyli największy i najbardziej dynamiczny na świecie serwis społecznościowy dla gejów, mężczyzn trans- i biseksualnych, założony w Niemczech w 2002 r. – Swoją profil na GayRomeo założyłem kilka lat temu, żeby znaleźć chłopaka – mówi Krystian, grafik komputerowy z Warszawy. – Kiedy się tam pierwszy raz zalogowałem, myślałem, że zwariuję – tylu tam było gejów! Ale potem się okazało, że ten potencjalny raj ma swoje mroczne strony jednorazowych spotkań na seks, a nie wymarzonej miłości, której tam nie znalazłem. Poza tym przeszkadzało mi, że podaje się tam mnóstwo bardzo intymnych informacji i to było już odarcie z wszelkiej tajemnicy, która przecież jest najciekawsza, kiedy poznajemy drugą osobę.

W Europie GayRomeo.com ma ponad 800 tys. użytkowników, z czego w Polsce na portalu zarejestrowało się ich ponad 16 tys. – Życie powinno być bogate w doświadczenia i chcemy to od-



PHILIPPE HUYNH-MINH/FORUM





zwierciadła tu, w naszej społeczności – deklarują właściciele portalu, którym po piętach depta już Grindr – najnowszą i coraz bardziej popularną formą poznawania gejów on-line. Grindr jest aplikacją na smartfony i tablety, która opiera się na systemie lokalizacji GPS. Polega, krótko mówiąc, na tym, że zakładamy sobie profil, klikamy w opcję „nearby”, czyli „w pobliżu”, i w naszym telefonie pojawiają się potencjalni kandydaci na randkę w najbliższej okolicy. Na jeszcze innych zasadach opiera się także gejowski Buttmagazine.com. Kry-  
stian: – To jest portal dla artystowskiej hipsterki. Zarejestrowani tam faceci są zwykle fotografami, projektantami, grafikami, dziennikarzami, artystami. Butt

We Francji rozgłos zdobyła akcja serwisu Zaadoptuj Mężczyznę, w ramach której w przenośnym „butiku z mężczyznami” przez cztery dni panie mogły oceniać i wybierać prezentujących swoje zalety panów.

Marta i Tomek Baszakowie (z prawej) poznali się na portalu Przeznaczeni.pl. Dziś są już małżeństwem.

jest pięknie zaprojektowany, dowcipnie zrobiony, awangardowy. Zupełnie inny świat.

### Znajdź pokrewną twarz

Jeśli dopasowanie pod względem upodobań czy orientacji seksualnej komuś nie wystarcza, to zawsze może poszukać drugiej połówki na podstawie naukowej analizy DNA lub rysów twarzy. Serwis GenePartner proponuje badanie kodu genetycznego ze śliny za jedyne 249 dol., które pomoże dobrać idealnego partnera na życie. Badanie bazuje na rzekomym odkryciu, że im bardziej różnią się u mężczyzny i kobiety antygeny leukocytarne (HLA), tym większy pociąg, który do siebie odczuwają.

Kiedy szukaliśmy pokrewnej duszy, dziś należy szukać pokrewnej twarzy. Tak przynajmniej twierdzą właściciele portalu FindYourFaceMate.com, powołując się z kolei na naukowe podstawy swoich twierdzeń. Wystarczy wgrać tu swoje zdjęcie, a system wyszuka najlepszego dla nas kandydata na żonę czy męża. Wszystko opiera się na zasadzie, że podobają nam się ludzie o podobnych rysach twarzy. Ale czy identyczny uśmiech lub bliźniacze oczy wystarczą, aby się pokochać? Tak uważają 43 tys. użytkowników serwisu.

### Randki po pięćdziesiątce

Rosnącym powodzeniem cieszą się serwisy dla samotnych rodziców z dziećmi, szukających szczęścia w miłości, np. na stronie Zakochanyrodzic.pl. Osoby takie chcą znaleźć partnera, który zaakceptuje ich dziecko z poprzedniego związku. Twórcy serwisu Mylovelyparent.com poszli o krok dalej, bo ofertę skierowali do dzieci osób żyjących w samotności. Znajdują się na nim profile ludzi po pięćdziesiątce, a zakładają je i prowadzą dzieci czy wnuki, chcące zapewnić bliskim w dojrzałym wieku miłe towarzystwo. Mówi się, że potrzeba jest matką wynalazków. Tu dosłownie samotna mama 35-letniego Brytyjczyka zainspirowała go do założenia tego serwisu.

W Polsce największym serwisem randkowym dla seniorów jest Razem-50plus.pl, gdzie zarejestrowało się ponad 17 tys. osób, między innymi Jadwiga Bugajska z Ostrołęki. Ma 62 lata i ogromną ochotę ponownie się zakochać. – Mój mąż niestety zginął w wypadku samochodowym i w wieku 36 lat zostałam wdową. 10 lat nie mogłam wyjść z żałoby. Syn namówił mnie, abym zapisała się na portal dla samotnych seniorów. Po 10 miesiącach członkostwa nie spotkałam jeszcze idealnego mężczyzny, ale poznałam wiele pokrewnych dusz, mam nowych przyjaciół. Kilka razy umawiałam się na spotkania z mężczyznami, ale nic z tego nie wyszło. Okazywało się np., że niektórzy mieli żony albo liczyli na pomoc materialną. Najczęściej na żywo panowie wyglądają o wiele mniej korzystnie niż na zdjęciach – na profil wkładają zdjęcia sprzed kilku-kilkunastu lat. Później twierdzą, że wstydzą się łysiny i dużego brzucha. A ja ponad wszystko cenię uczciwość. Liczę, że jeszcze spotkam wielką miłość – mówi pani Jadwiga.

Kłamać, szczególnie na randce, nawet wirtualnej, trzeba umieć albo należy znaleźć e-randkowego ghostwritera, którego oferuje Virtualdatingassistants.com. Najbardziej zajęci single płacą nawet 600 dol. miesięcznie wirtualnym asystentom randkowym, którzy czuwają nad ich profilami i rozwijają strategię pozyskania odpowiedniego partnera. W zamian firma z Atlanty gwarantuje co najmniej dwie udane randki w miesiącu. Kwota może i niebagatelna, ale i tak sporo niższa niż usługi tradycyjnych biur matrymonialnych.

### Casual dating

Zupełnie inne cele przyświecają osobom bez zobowiązań i w młodym wieku. Z badań Megapanel PBI/Gemius wynika, że w Polsce na stabilnym, wysokim poziomie utrzymuje się liczba osób zalogowanych na stronach takich jak C-date.pl, gdzie można poznać partnera, który zgodzi się na nie-

zobowiązujący seks. Tu proces rejestracji przebiega zgoła inaczej niż na stronach służących poznaniu kogoś na dłużej. Zamiast zawodu, wiary czy ulubionego miejsca na wakacje należy wpisać preferencje seksualne, ulubione pozycje w łóżku, fantazje erotyczne czy używane seksgadżety. Przykładowy anons? „Przyjeżdżam do Krakowa służbowo na dwa dni. Poszukuję Pani chętnej na spotkanie – szczupła, brunetka, do lat 25” – od tego typu ogłoszeń roi się w polskim Internecie. Wtajemniczeni wiedzą, gdzie ich szukać, by zagwarantować sobie dyskretny skok w bok. Granica pomiędzy ogłoszeniami agencji towarzyskich, ofertami sponsoringu, a „casual dating” jest dość płynna.

Bartek, lat 30, handlowiec z firmy odzieżowej, większość życia spędza w trasie. W tygodniu bywa nawet w trzech różnych miastach. Ma dziewczynę, ale nie wiąże z nią przyszłości. – Jestem w najlepszym wieku, aby się wyszumieć. Na żeniączkę czas przyjdzie tuż przed czterdziestką. Teraz korzystam z życia, a jest to możliwe dzięki ogłoszeniom w Internecie. Ogłaszam, gdzie będę, i w ośmiu przypadkach na 10 trafiam na superdziewczynę, która spędza ze mną noc w hotelu – mówi mężczyzna. Na pytanie, czy płaci swo-

im kochankom, odpowiada, że to zależy od umowy – większość pań szuka tylko przygody, ale niektóre chcą np. 200 zł. Więcej nigdy nie zapłacił, bo szuka zwykłych kobiet, nie prostytutek.

### Randkowanie w przyszłości

W serii futurologicznych tekstów w magazynie „Forbes” dotyczących życia w 2020 r. specjaliści od informatyki przewidują, że do tego czasu wszystkie rytuały zapoznawania partnerów przeniosą się do świata wirtualnego, a osoba, z którą się umówimy na randkę, będzie miała wgląd w historię naszych minionych związków. Dowie się, jakie mamy zainteresowania i w jakim towarzystwie się obracamy. To oznaczałoby upublicznienie sfery, która do tej pory w europejskim kręgu kulturowym była całkowicie prywatna. Dodatkowo wiele osób stawiałoby wszystkim sympatiom wysokie wymagania, z myślą o przyszłych partnerach. Wegetarianin flirtujący na portalu dla rzeźników? Jeden taki incydent w „historii randkowej” oznaczałby kres marzeń o idealnym małżonku. Jesteśmy być może ostatnim pokoleniem, które może bezkarnie logować się na dowolnym serwisie randkowym. →

→ współpraca Mike Urbaniak

### Sproflowane portale randkowe

Na **Jdate** partnerów szukają wyznawcy judaizmu. Fani wampirów mogą znaleźć chętnego do ugryzienia w szyję na **Vampirepassions.com**, a użytkownicy produktów z logo Apple zapisują się na **Cupidtino.com**. Kto jeszcze ma szansę na trafienie strzałą e-amora?

Z lekko przekrwionymi oczami śmiało można zajrzeć na **420dating.com**, portal dla użytkowników marihuany. Czekają tu na nas użytkownicy o nickach Hippyprincess czy Daysleeper.

Piękno to rzecz względna, brzydota również. Kto jednak uważa, że uroda nie grzeszy, może się zapisać na serwis **Theuglybugball.com**, gdzie ma szansę na romans z nieładnymi osobami z USA, Kanady, Wielkiej Brytanii, Irlandii i Afryki Płd.

Na drugim biegunie znajdziemy serwis dla najpiękniejszych. Przeżyć na **Darwindating.com** mają szansę tylko osoby poniżej 35. roku życia, ale wyłącznie takie, których fotografia zostanie zaakceptowana przez innych przystojniaków i ślicznotki z serwisu.

Arthur C. Clarke to twój ulubiony pisarz, a w bezsenne noce namiętnie oglądasz „Gwiazdne Wojny” czy „Star Trek”? Na **Trekpassions.com** nawiążesz romans z innej galaktyki! Spotkasz tu fanów literatury i filmów science fiction.

Masz słabość do złych kobiet? Zaloguj się na **Womenbehindbars.com**, gdzie Amerykanki odsiadujące wyrok szukają partnerów. Chętni do ożenku ze zresocjalizowaną kobietą muszą zapłacić 5 dol. opłaty rejestracyjnej i później 3 dol. za każdy przejrany profil.

Czytasz ten tekst o godz. 22, popijając kawę za biurkiem w pracy? Kliknij w serwis **Jobsingles.de**. Znajdziesz tu singli pogrupowanych według zawodów o niestandardowym czy nienormowanym czasie pracy, jak rolnicy, policjanci, kucharze, dziennikarze czy hotelarze.

Największy wybór wilków morskich zaprasza na pokład. Na **Seacaptaindate.com** osoby związane z morzem i żegluga mogą poszukać swojej kotwicy.

Wielu lekarzy i wiele pielęgniarek szuka pracy za zachodnią granicą. W Niemczech mogą znaleźć nie tylko dostatnie życie, ale również miłość. Na **Doctor-dating.de** czeka wiele samotnych serc, wymagających profesjonalnej opieki medycznej.

Miłości można poszukać pomiędzy walką z gnomami a obchodami Festiwalu Ognia. Dla fanów gier internetowych z gatunku MMORPG również powstały serwisy ułatwiające poznanie, np. **Gamingpassions.com** czy **Dateagamer.co.uk**.

Chcesz zmienić bieg życia uczuciowego, ale nie masz na to czasu, bo wciąż biegasz, grasz w koszykówkę i jeździsz na nartach? Zajrzyj na **Sportrandka.pl**.

Oczekujesz wysokiej kultury na pierwszej randce? Dla osób kochających sztukę powstał serwis **Lovearts.com**. Dla teatromanów – **Theatrebuddies.us**. Dla zwolenników muzyki poważnej – **Classicalmusiclover.co.uk**.

„Życie jest krótkie. Nawiąż romans” – atrakcyjna kobieta z obrączką na palcu reklamuje kontrowersyjny serwis randkowy **Ashleymadison.com**. Większość z jego 16 mln członków jest w stałych związkach, a w Internecie szuka jedynie przygody.



ARCHIWUM PRYWATNE



ANNA GWOZDOWSKA

# Lodowata księżniczka

Konserwatystka **Park Geun-hye**, jako pierwsza kobieta w historii Korei Południowej, obejmie 25 lutego urząd prezydenta tego kraju.



Jest atrakcyjną, zawsze modnie ubraną 60-latką. Mówi płynnie po francusku. Studiowała za granicą, co w jej pokoleniu należało do rzadkości. Koreańczycy są bowiem mocno przywiązani do konfucjańskiego modelu społecznego, w którym kobiety zajmują się domem, a ich życie jest podporządkowane mężczyznom: ojcu, mężowi i synom. Dlatego, szczególnie w czasach młodości Park, wykształcenie zdobywały wyłącznie kobiety z najbogatszych domów. Właśnie z takiej rodziny pochodzi przyszła pani prezydent – jest córką generała Park Cheong-hui, byłego dyktatora Korei Południowej.

## Żelazna dama

W lutym Park po raz drugi wprowadzi się do Błękitnego Domu – siedziby koreańskiej głowy państwa. Jak to możliwe? Ponad 30 lat temu zamieszkała tam po śmierci matki, którą zabił północnokoreański zamachowiec. Park studiowała wówczas w Paryżu, jednak zdecydowała się wrócić i, jak wspomina, skończyły się wtedy jej marzenia o zwykłym życiu. Przez pięć lat pełniła funkcję pierwszej damy u boku ojca. Kiedy w 1979 r. zastrzelono także generała, Park odsunęła się od polityki i skupiła na pracy w fundacji założonej przez rodziców. Jednak w 1998 r., kiedy w Azji szalał kryzys finansowy – w Korei upadło wówczas 14 banków – Park przerwała milczenie i dostała się z ramienia Wielkiej Partii Narodowej (dziś Saenuri) do parlamentu.

Kilka lat temu znów przeżyła osobisty dramat. W czasie spotkania z wyborcami stała się celem ataku kryminalisty, który poważnie raniał ją w twarz. Nie złażała się i kontynuowała polityczną karierę. Trudno się więc dziwić, że Park cieszy się wśród swoich zwolenników sławą twardej wojowniczkii. A czasy są trudne. Po latach dynamicznego wzrostu koreański tygrys wyraźnie zwalnia. PKB Korei Południowej rośnie już tylko na poziomie 1 proc. rocznie, a gospodarka, oparta wyłącznie na eksporcie, w czasach światowego kryzysu jest za-

grożona recesją. Dlatego Park przyznaje, że wzoruje się na europejskich żelaznych damach: Angeli Merkel i Margaret Thatcher. Jej wyborcy wierzą, że przyszła pani prezydent poradzi sobie z kryzysem nie gorzej niż one.

## Korea jak rodzina

Park Geun-hye mogłaby uchodzić za wzór azjatyckiej feministki. Do 22. roku życia mieszkała i studiowała w Paryżu. Nigdy nie wyszła za mąż i nie ma dzieci, co notabene spędza sen z powiek koreańskim specjalistom od protokołu dyplomatycznego. Głowią się nad tym, kto powinien towarzyszyć żonom prezydentów odwiedzających Koreę. Media spekulują, że ten obowiązek spadnie najprawdopodobniej na małżonkę koreańskiego premiera. Pewne jest, że stworzone przez ojca Park biuro do ob-

**Pierwsza koreańska pani prezydent nigdy nie wyszła za mąż i nie ma dzieci. Jest córką byłego dyktatora Korei, co wytykają jej polityczni przeciwnicy. Park wzoruje się jednak na żelaznych damach: Angeli Merkel i Margaret Thatcher.**

sługi pierwszej damy przez następne pięć lat nie będzie miało nic do roboty. Nowoczesność Park to jednak tylko pozory. W rzeczywistości kultywuje ona tradycyjne, konfucjańskie wartości, a z zalecanej kobietom w tej kulturze skłonności do poświęceń uczyniła wręcz przesłanie prezydenckiej kampanii. „Nie mam rodziny. To wy nią jesteście” – brzmiało jedno z wyborczych haseł Park.

– Bardzo umiejętnie wykorzystwała niezamężność i bezdzietność – mówi „Przekrojowi” dr Kinga Dygulska-Jam-

ro, ekspert Centrum Studiów Polska – Azja. – Deklarowała, że właśnie dlatego może się całkowicie poświęcić Korei, a w jej otoczeniu nie będzie nepotyzmu i korupcyjnych skandali.

Za jej sprawą w koreańskiej polityce pojawi się być może więcej kobiet. Mimo że sama karierę w dużej mierze zawdzięcza pochodzeniu, będzie z pewnością wzorem dla większości rodaczek, które wciąż zarabiają znacznie mniej niż mężczyźni i rzadko awansują. Zaledwie 3 proc. Koreanek spójnie na wyższych, kierowniczych stanowiskach. Starsi Koreańczycy pamiętają też czasy, kiedy kobiety podawały posiłek mężowi i synom, a same jadły na końcu. – Aż tak konserwatywna Korea już nie jest, bo coraz więcej Koreanek wychodzi za mąż po trzydziestce i nie chce rodzić dzieci, dramatycznie spada też dzietność – mówi dr Dygulska-Jamro. – Mimo to wybór Park Geun-hye powinien pozytywnie wpłynąć na życie kobiet i to nie tylko w Korei. To przecież pierwsza pani prezydent w całej północno-wschodniej Azji!

Jednak to nie płeć piękna zdecydowała o zwycięstwie Park w grudniowych wyborach. Przewagę nad liberalnym rywalem, choć nieznaczną, zapewnił jej wyborcy powyżej 50. roku życia, którzy pamiętają, że jej ojciec wyciągnął po wojnie Koreę z biedy. Liczą, że Park, podobnie jak ojciec, będzie sprawnie zarządzać gospodarką. Przy bardzo wysokiej frekwencji (75 proc. – najwyższej od 1987 r.) Park poparły dwie trzecie starszych Koreańczyków.

Legenda generała kładzie się jednak cieniem na przyszłej prezydenturze jego córki. Park Cheong-hui to postać niejednoznaczna. Zdobył władzę w wyniku przewrotu wojskowego w 1961 r. Był żarliwym antykomunistą, co w czasach zimnej wojny nie mogło dziwić, ale wielu Koreańczyków pamięta mu przede wszystkim brutalną rozprawę z opozycją. – Pani prezydent będzie bardzo trudno przekonać dawnych przeciwników reżimu ojca, że naprawdę chce zaleczyć rany przeszłości – tłumaczy na łamach dziennika „Korean





CHUNG SUNG-JUN/GETTY IMAGES/FPM

leż im pracę. Wyczuwając nieprzychylny nastroje wśród 20- i 30-latków, prezydent elekt zapowiedziała, że chce uczynić z Korei krainę technologicznych start-upów (Park jest z zawodu inżynierem elektronikiem), co zapewni według niej wzrost zatrudnienia. Obiecuje też, że będzie wspierać małe biznesy, choć do tej pory na pomoc państwa mogły liczyć tzw. czebole, czyli wielkie koncerny, takie jak Samsung czy Hyundai. Młodzi Koreańczycy są jednak nieufni. Dziennik „Korea Herald” cytuje 25-letnią studentkę z Seulu, Park Ji-soo, która o starszych wiekiem pasażerach w metrze mówiła następująco: „Co najmniej połowa z nich ma więcej niż 50 lat. Pomyślałam sobie, że to są właśnie ludzie, którzy wybrali córkę dyktatora na prezydenta. Poczulałam, że stoję przed ścianą, która blokuje jakikolwiek ruch naprzód”.

Internet jest pełen gorzkich opinii wyrażanych przez młodych Koreańczyków na temat pokolenia dziadków. Na portalu Daum.net ukazał się np. studencki apel o zniesienie darmowych przejazdów dla seniorów, którzy według sygnatariuszy i tak kojarzą pomoc socjalną z odrzucaniem przez nich komunizmem. W ciągu dwóch dni pod apelem podpisało się 10 tys. internautów.

Co ciekawe, w następnych wyborach młodzi Koreańczycy będą mieli jeszcze mniejsze szanse, żeby przegłosować rodziców i dziadków. Koreańskie społeczeństwo bardzo szybko się starzeje. Niektórzy eksperci proponują nawet obniżyć wiek uprawniający do głosowania. To według nich jedyny sposób, żeby uniknąć w przyszłości międzypokoleniowego konfliktu.

Na razie młodzi Koreańczycy mogą się pocieszać zupełnie innym sukcesem. 35-letni raper Psy, którego wideoklip „Gangnam Style” ma już ponad miliard odsłon na YouTube, trafił, według sondażu przeprowadzonego przez CNN, do ósemki najbardziej intrygujących postaci świata 2012 r. Pani prezydent elekt o takiej popularności nie może nawet marzyć. ☞

Herald” Lee Cheol-hee, szef think tanku Dumon Political Strategy Institute.

Park przeprosiła wprawdzie rodzinę ofiar dyktatora, ale przyznała jednocześnie, że wojskowy przewrót, który wyniósł ojca do władzy, był potrzebny.

### Schowaj babci dowód

Młodzi Koreańczycy mówią o niej „córka dyktatora” i wstydzą się za rodziców i dziadków, których głosy wprowadzają niedługo do Błękitnego Domu. Dla tego 65 proc. wyborców w wieku 20–30 lat zagłosowało na Moon Jae-Ina, liberała, byłego dysydenta i syna uchodźcy z Korei Północnej. W kampanii Moon obiecywał rozbudowę systemu opieki socjalnej, piąty achillesowej Korei Południowej, czym o dziwo zjednał sobie nie starszych, ale młodszych Koreańczyków zerkających z zazdrością na zachodnie społeczeństwa. Zapowiadał też próbę dogadania się z Koreą Północną. Park była w tej sprawie znacznie ostrożniejsza i taką postawą przypieczętowała swoje zwycięstwo. Wykluczyła bowiem jakikolwiek inwestycje na komunistycznej Północy, jeśli Phenian definitywnie nie zarzuci

Park Geun-hye wygrała ze swoim liberalnym rywalem niewielką przewagą głosów. Zwycięstwo zawdzięcza wyborcom powyżej 50. roku życia. Młodzi jej nie ufają.

programu budowy arsenału nuklearnego. Starszym Koreańczykom, którzy pamiętają zimną wojnę i komunistyczne zagrożenie, podoba się pragmatyzm Park. Jej postawę dostrzega też oczywiście Phenian. Park nie wzbudza w Korei Północnej entuzjazmu. Mówi się tam o niej „lodowata księżniczka”. Tamtejsza agencja informacyjna wspomniała wprawdzie o wyborach u południowych sąsiadów, pominęła jednak... nazwisko zwyciężczyny.

Grudniowe wybory utrwaliły nowy, choć rysujący się już od jakiegoś czasu polityczny podział: do tej pory w Korei Południowej mówiono o konserwatywnym wschodzie i liberalnym zachodzie, ale od 19 grudnia jej mieszkańcy definiują poglądy polityczne według nowego kryterium – wieku.

Młodzi Koreańczycy narzekają na zachowawczość starych, a starsze pokolenie oskarża 20-latków o historyczną ignorancję (bo nie rozumieją komunistycznego zagrożenia) i brak odpowiedzialności za państwo. Międzypokoleniową przepaść powiększa też kryzys, który szczególnie dotyka tam młodych – spadają ich płace i coraz trudniej zna-

## Agnieszka Drotkiewicz Gotować i opatrywać rany



MICHAŁ KORTYA

Szczerze mówiąc, chciałam to zrobić od 2000 r. Od kiedy zobaczyłam film „Wszystko o mojej matce” Almodóvara. Pamiętają państwo tę scenę, w której Agrado zostaje napadnięta oraz pobita, i następną, kiedy Manuela opatruje jej rany i przygotowuje wyszukane śniadanie? No właśnie. Chciałam być taka jak Manuela. Umieć gotować i opatrywać rany.

„Zastanawiam się, czy powinniśmy traktować obowiązek gotowania jako imperatyw moralny” – pisze znany amerykański kucharz Anthony Bourdain w tekście pt. „Cnota”. Zaraz potem dodaje, że tak: „Zdolność do sprawnego nakarmienia samego siebie i kilku innych osób powinna być wpajana każdemu mężczyźnie i kobiecie jako elementarna umiejętność”.

Cóż, co do kuchni – od lat staram się odrabiać lekcje. Ale pierwsza pomoc? Czy to ja zamykałam oczy, kiedy widziałam na filmie krew i z każdego mojego kalendarza przepisywałam do następnego, w kategorii priorytety: „kurs PCK”? Raczej tak.

„Schemat pozwala skutecznie działać pomimo stresu” – to pierwsza rzecz, jaką zanotowałam na kursie pierwszej pomocy. Spędziłam na nim pierwszy weekend 2013 r. Nie chodziło mi już tak bardzo o to, żeby być jak kobieta z filmu Almodóvara. Zeszłego lata byłam świadkiem – na całe szczęście w końcu niegroźnego – wypadku. Pozostało mi jednak wspomnienie tego, że nikt z jego świadków nie wiedział, co robić, i nasze działania były szlochającą szamotaniną uwłaczającą swoją niezbornością dorosłym ludziom. Uderzyła mnie wtedy dysproporcja pomiędzy różnymi rodzajami inteligencji oraz ten zatrważająco niski iloraz inteligencji praktycznej w obliczu zagrożenia. Obudzona w środku nocy pewnie nie pomyślę kolejności wydania książek Michela Houellebecqa (inna w Polsce, inna we Francji). Ale czy będę wiedziała, co robić najpierw – wzywać karetkę, sprawdzać oddech czy przewracać poszkodowanego na bok, żeby się nie zadławił?

**Uderza mnie dysproporcja między różnymi rodzajami inteligencji oraz ten zatrważająco niski iloraz inteligencji praktycznej w obliczu zagrożenia.**

Autorka tworzy powieści i wywiady. Ostatnio opublikowała zbiór rozmów „Jeszcze dzisiaj nie usiadłam” (wyd. Czarne).

Zeszyt ćwiczeń podstawowego kursu pierwszej pomocy ma 14 stron. Może się wydawać, że to bardzo mało. Może się wydawać, że zasady udzielania pierwszej pomocy (m.in. nie poruszaj poszkodowanym bez potrzeby, nie przenoś bez potrzeby, zapewnij komfort psychiczny, nie podawaj żadnych leków) są banalne i można je wydedukować samą inteligencją. Ale nie można. Wystarczy, że masz powtórzyć proste ułożenie poszkodowanego w pozycji bezpiecznej po pokazie instruktorki i jeśli nie masz tej umiejętności przeciwiczonej, jeśli nie masz jej w palcach, to możesz co najwyżej (będąc mną) powiedzieć nieprzytomnemu, że bez żadnej wątpliwości debiut powieściowy Houellebecqa nosi tytuł „Poszerzenie pola walki”. Ale to ciężko by nawet podciągnąć pod punkt „zapewnij poszkodowanemu komfort psychiczny”.

Anthony Bourdain w cytowanym tekście pisze, że każdy człowiek powinien umieć zrobić omlet – „proces przyrządzania omleta to nie tylko technika, ale również metoda doskonalenia osobowości. Zdobywając umiejętność przyrządzania omleta, człowiek siłą rzeczy uczy się wrażliwości, rozpoznając, co się dzieje na patelni, i właściwie na to reagując”.

Wrażliwość na to, co się dzieje, umiejętność reakcji, podstawy wiedzy. Może się wydawać, że 14 stron zeszytu ćwiczeń i 16 godzin lekcyjnych kursu to bardzo mało. Ale teraz przynajmniej wiem, że najpierw ocenia się stan bezpieczeństwa na miejscu zdarzenia, potem stan poszkodowanego, a potem woła się o pomoc (ciąg dalszy na stronie piątej). Polecam każdemu, bez względu na to, czy chciał być kiedyś raczej jak Agrado niż jak Manuela, i nawet jeśli nie lubi Houellebecqa. Ani jeśli nie jest pracownikiem na firmowym szkoleniu (ja nie byłam). ☞

[www.kursypck.pl](http://www.kursypck.pl)

Anthony Bourdain, „O, kuchnia! Kill grill 3”, przeł. Wioletta Lamot, WAB 2012.



OLGA ŚWIĘCICKA, ZDJĘCIA DAREK GOLIK

# AAA Niewolnika zatrudnię

Parzą kawę, siedzą po godzinach i się frustrują. Staż to dziś praca jak każda inna, tyle że na ogół bezpłatna. Bez praktyki nie ma nawet co myśleć o zatrudnieniu, a i ono zwykle stoi pod znakiem zapytania.

**K**iedy zaczynałem staż, myślałem, że może tym razem się uda i się zaczepię. W rzeczywistości jednak kolejne darmowe praktyki były tylko wymówką przed światem, oczekiwaniami rodziców i presją osiągnięcia sukcesu – opowiada Łukasz Kasperek, który w swoim prawie 30-letnim życiu zdążył odbyć sześć staży. Każdy zaczynał z nadzieją i szybko kończył w poczuciu bezsensu. Stażysta w kryzysie jest bezcenny – pracuje wytrwale i zwykle za darmo.

– Dla mnie stażowanie to białe niewolnictwo – mówi Łukasz. – W redakcjach, w których praktykowałem, czułem się jak zbędny element. Mogłem przyjść, mogłem zostać w domu. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Nie było ani programu, ani opiekuna, a zadania, które dostawałem, zwykle były poniżej moich kwalifikacji. Miałem poczucie, że robię to, czego innym po prostu robić się nie chce – dodaje. Poczucie bezsensu wzmagał fakt, że Łukasz na wszystkie praktyki dostawał się z polecenia. – Staże załatwiałem po znajomości. Często więc szedłem na nie bez większego przekonania.

Z jednej strony było mi głupio, bo nie lubię kumoterstwa, z drugiej szkoda było mi marnować kolejną szansę. W efekcie trudno było mi się zaangażować i znaleźć motywację, bo od początku czułem, że jestem nikomu niepotrzebny – zwierza się Łukasz.

Motywacja to podstawowy element stażu. Bez niej kilkumiesięczne darmowe praktyki szybko zamieniają się w koszmar. Pracować za darmo nie jest łatwo. Kiedy więc wynagrodzenie przestaje być tzw. marchewką, motywacji trzeba szukać gdzie indziej. Dla Michała Wąsowskiego przynętą okazał się prestiż. W wieku 19 lat dostał się na staż w tygodniku „Wprost”, gdzie zaczął dziennikarską karierę. – Rodzice wychowali mnie w duchu, że jeśli nie zrobię czegoś sam, to nikt inny za mnie tego nie zrobi. Od dziecka powtarzali mi, że dorosłość to nie tylko przyjemności. Idąc na staż do „Wprost”, miałem poczucie, że czeka mnie ciężki czas. Wiedziałem jednak, że bez tego nic nie osiągnę – mówi Michał.

Z podobnego założenia wyszedł Rafał Słomka, który wygrał konkurs „Grasz o staż”, który od kilku lat organizuje



„Gazeta Wyborcza”. – Żeby dostać się na praktyki, musiałem przejść dwuetapową rekrutację – opowiada Rafał. – Najpierw rozwiązałem zadania konkursowe, a potem odbyłem rozmowę kwalifikacyjną w stowarzyszeniu, w którym miałem odbyć praktyki. Fakt, że był to konkurs, wiele dla mnie znaczył. Żeby go wygrać, nie wystarczyło wysłać CV, trzeba było wykazać się determinacją. Choć moja kariera potoczyła się zupełnie in-

W swoim prawie 30-letnim życiu Łukasz Kasperek odbył sześć staży.

czej, nie żałuję, że wziąłem udział w konkursie. Moi przyszli pracodawcy zawsze zwracali uwagę na ten fakt i doceniali, że potrafiłem zawalczyć o własną przyszłość – tłumaczy Rafał.

## Dla papierka zrobię wszystko

Przymus rzeczywiście potrafi być złym doradcą. Zuzanna z Krakowa w ramach studiów dziennikarskich musiała odbyć obowiązkowe praktyki. – W czerwcu

zorientowałam się, że do października powinienam znaleźć jakieś zajęcie. Czasu było mało, więc szukałam na chybił trafił. Postanowiłam spróbować szczęścia w reklamie. Umówiłam się na rozmowę z pierwszą agencją, która odpisała mi na zgłoszenie. Z ich strony internetowej wynikało, że jest to fajne, kameralne miejsce, które ma na koncie sporo ciekawych projektów. Na rozmowę z przyszłym szefem umówiłam się w kawiarni.

Było południe, a on zamówił sobie piwo. Mnie też usilnie namawiał do picia alkoholu. Podczas rozmowy chętniej mówił o moim wyglądzie niż samych praktykach, ale ponieważ czas mnie gonił, zdecydowałam się na staż. Okazało się, że pracować będę zdalnie. Raz w tygodniu miałam omawiać postępy w pracy z moim szefem u niego w domu. Zadania, które dostawałam, nijak się miały do profilu agencji. Musiałam chociażby







**Michał Wąsowski:**  
– Rodzice wychowali mnie w duchu, że jeśli nie zrobię czegoś sam, to nikt inny tego za mnie nie zrobi.

obrabiać w Photoshopie prywatne zdjęcia właściciela i szukać mu domu na wakacje – mówi.

– Najgorsze jednak było to, że po kilku tygodniach pracy szef zaczął mnie nACHODZIĆ. Wysyłał mi SMS-y, dzwonił na Skype, pisał na Gadu-Gadu rzeczy zupełnie niezwiązane z pracą. Pytał o chłopaka, chciał wiedzieć, w co jestem ubrana, i opowiadał mi o swoich kłopotach w związku. Z pracy nie mogłam zrezygnować, bo potrzebowałam papierka na uczelnię, ale te trzy miesiące to był koszmar. Jeszcze przez dwa lata po zakończeniu współpracy dostawałam od niego dwuznaczne propozycje. Dopiero kiedy postraszyłam go sądem zamilkł – opowiada Zuzanna.

Jej przypadek nie jest odosobniony. Na niedawno utworzonym portalu NieParzęKawy.pl można przeczytać sporo podobnych historii. Portal powstał w celu ostrzeżenia przyszłych praktykantów przed nieuczciwymi pracodawcami. Zuzanna do tej pory nie wie, czy agencja, dla której pracowała, w rzeczywistości istnieje. Choć szef wielokrotnie mówił jej o współpracownikach, ona nigdy ich nie poznała. Nie widziała też biura i nie miała kontaktu z żadnym klientem. Po trzech miesiącach darmowego stażu nie tylko niczego się nie nauczyła, ale i nabrała lęku przed szukaniem kolejnej pracy. Oczywiście oprócz historii o pracodawcach, którzy wykorzystują stażystów albo po prostu ich ignorują, można znaleźć też pozytywne przykłady. Zwykle jednak najlepiej wypadają te praktyki, o które trzeba choć trochę się postarać. Obowiązkowe staże w państwowych instytucjach na ogół kończą się rozczarowaniem.

### Tania siła robocza

Klara odbyła płatne praktyki w Berlinie w ramach programu wymiany studenckiej Erasmus. – Pieniądze za staż dostawałam z Unii Europejskiej. Wydawało mi się, że w takiej sytuacji znalezienie pracodawcy, który przyjmie mnie na praktyki, będzie bardzo proste. W rzeczywistości okazało się zupełnie inaczej – opowiada. – Przyjmująca mnie insty-



tuja była zobowiązana do przygotowania programu stażu. Dla wielu firm był owarunek nie do pokonania. Po długich poszukiwaniach udało mi się znaleźć miejsce w Instytucie Polskim w Berlinie. Zopisu wnioskowałam, że praktyki będą spełnieniem moich marzeń. Niestety, stało się zupełnie inaczej. Ponieważ instytucja nie ponosiła żadnych kosztów mojego pobytu, nikt się ze mną nie liczył. Większość czasu spędziłam, siedząc tępo przed komputerem i odliczając godziny. Angażowano mnie jedynie do prac, które nie wymagały żadnych kwalifikacji, takich jak adresowanie kopert czy chodzenie na pocztę. Kiedy proponowałam, że mogę zrobić coś ambitniejszego, spotykałam się ze wzruszeniem ramion – mówi Klara.

Oczywiście jakość stażu nie zależy tylko od pracodawcy, ale w dużej mierze od samego praktykanta. Łukasz otwarcie przyznaje, że zabieganie o pracę nie jest jego mocną stroną. Będąc na stażu, przyjmuje taktikę niewychylania się. Zupełnie inaczej swoją szansę potraktował Michał. – Wiedziałem, że od tego stażu zależy moja kariera, dlatego postanowiłem się mu poświęcić. Przez prakty-

ki ucierpiało moje studenckie życie, ale nie żałuję tej decyzji. Zdobyłem mnóstwo zawodowych kontaktów, poznałem dziennikarski warsztat, a moja praca była doceniana. Po kilku miesiącach darmowego stażu dostałem propozycję zatrudnienia – tłumaczy. Podobnie wyglądało to w przypadku Rafała, który pomagał w organizacji Letniej Szkoły Wyszehradzkiej w Willi Decjusza. – Kilka miesięcy po skończeniu praktyk znów zostałem zaproszony do projektu. Moje zaangażowanie zdecydowanie się opłaciło – mówi.

### Wyczekane marzenia

Determinacją wykazała się również Dominika Dekiert, która zeszłego lata odbyła praktyki w dziale marketingu w Starym Browarze w Poznaniu. – Przez kilka lat aktywnie brałam udział w festiwalu Art and Fashion, który organizowany jest jesienią w Browarze – opowiada. – Od początku ta inicjatywa bardzo mi się podobała i marzyłam o tym, żeby kiedyś pracować przy jej organizacji. Przez kilka kolejnych sezonów zagadywałam szefową marketingu i proponowałam jej pomoc. W końcu zaoferowała mi staż. Początkowo byłam spanikowana. Właśnie zda-

**Rafał Słomka wygrał konkurs „Grasz o staż”.** Pracodawcy zawsze zwracali uwagę na ten punkt w jego CV.

łam maturę i o marketingu nie miałam większego pojęcia. Postanowiłam jednak zaryzykować. Na początku było ciężko, ale już po miesiącu czułam się jak pełnoprawny pracownik. Oczywiście nadal niewiele wiedziałam, ale nie bałam się do tego przyznać – deklaruje Dominika.

Na portalu NieParzęKawy.pl staż ocenia się w sześciu kategoriach. Oprócz takich oczywistych jak zadania, atmosfera w pracy czy możliwości kariery na pracodawcę patrzy się również pod kątem szacunku, jaki okazuje praktykantowi. Co ciekawe, w większości wypełnianych ankiet to właśnie ta kategoria oceniana jest najniżej. – Dla rozwijającego stażu jestem w stanie wiele poświęcić, ale nigdy nie dam sobą pomiatać. Nie może być tak, że my tylko z siebie dajemy, nie dostając w zamian nic. Czasem pochwała czy dobre słowo wystarczy, by znaleźć w sobie siłę do ciężkiej pracy – mówi Michał. Do podobnych wniosków doszedł Łukasz, który w swoim życiu zaparzył już niejedną kawę. – Nie oczekuję wiele od stażu. Chciałabym mieć po prostu jasno określone cele, opiekuna i poczucie, że praktyka jest jakoś zaplanowana w czasie. Bez tego trudno o motywację i dobrą pracę – żali się.

Oczywiście nie można mieć złudzeń. To, czy pracodawca będzie nas poważał, zależy tylko od nas. W czasach, gdy praktyki stały się dla wielu jedyną możliwością znalezienia zatrudnienia, duża część firm poczuła się bezkarna. Stażystów traktują jak niewolników, których zmienia się, kiedy tylko wyczerpią im się baterie albo zaczną się buntować. Wśród młodych ludzi krąży opowieści o instytucjach, które za pomocą praktykantów łatają dziury w budżecie. Mamią pracą, by po trzech miesiącach harówki wyrzucić bez skrupułów i przyjąć kolejnych „młodych, zdolnych i zdeterminowanych”. – To prawda, że to, czego się nauczyłem, to moje – mówi Łukasz. – Wolałbym jednak zdobywać doświadczenie w innych warunkach. Nie mogę narzekać, bo układ jest dobrowolny, ale czasem mam już dość. W końcu kto powiedział, że staż to jedyna droga, żeby osiągnąć sukces – dodaje.



ANNA KOWALCZYK

# Więcej niż zielona wyspa

Jesteśmy na **szóstym miejscu na świecie** pod względem tempa zwiększania dobrobytu. Bogacimy się więc szybciej niż Chińczycy czy Hindusi. Nie do wiary, prawda?

Gdyby spróbować graficznie przedstawić to, co dzieje się z naszym bogactwem w ostatnich pięciu latach, Polska na mapie świata świeciłaby zielonym fluorescencyjnym światłem, a na jej zarys powinny padać konfetti i serpentyny. Bo choć pod względem PKB na mieszkańca, w zależności od rankingu, otwieramy bądź zamykamy pierwszą czterdziestkę, to jeśli wziąć pod uwagę szerszą definicję bogactwa i uwzględnić inne składniki niż tylko dochód na głowę mieszkańca, przeskoczmy o dobre 10 oczek wyżej. I będzie to wynik bliższy prawdy.

## Co to jest „bogactwo narodów”?

To pytanie stare jak sama ekonomia. Zadawał je sobie już jej ojciec, szkocki myśliciel Adam Smith. Jego „Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów” są uznawane za pierwszą próbę naukowej analizy zjawisk zachodzących w gospodarce, a data ich wydania (rok 1776) jest umownie przyjmowana za datę narodzin tego, co dziś nazywamy ekonomią. Praca Smitha, z dzisiejszego punktu widzenia, pełna jest uogólnień i uproszczeń, jednak pytanie o to, co sprawia, że jedne narody (dziś powiedzielibyśmy raczej społeczeństwa) są zamożniejsze od innych, pozostaje kluczowym problemem teorii i praktyki w ekonomii. Za najbardziej obiektywne, a jednocześnie

niezwykle ułomne narzędzie pomiaru bogactwa uznaje się statystykę, a wśród niezliczonych miar statystycznych – poziom produktu krajowego brutto.

Mityczne PKB, o którym niechybnie usłyszemy zawsze, gdy tylko ktoś zabierze się do mówienia o poziomie życia czy rozwoju gospodarczego, to tak naprawdę sumaryczna wartość dóbr i usług wytworzonych na terenie danego kraju. Jego wyliczanie jest dość skomplikowane, a przede wszystkim praco- i czasochłonne, dlatego w każdym kraju angażuje setki (a często tysiące) ludzi przez okrągły rok. I mimo że od dziesięcioleci ekonomiści zdają sobie sprawę, że to miara, mówiąc najogólniej, niedoskonała, z braku lepszej wszyscy się nią posługują. Bo wiedza, choćby bardzo zgrubna, o poziomie i rozkładzie zamożności jest po prostu niezastąpiona. Na jej podstawie ustala się budżety, kieruje wydatki na inwestycje, pozyskuje międzynarodową pomoc finansową, wreszcie – projektuje strategię i plany rozwoju na lata. Dlatego nieustannie na nowo podejmowane są próby stworzenia narzędzia, które uwzględni inne wymiary dobrobytu niż tylko PKB per capita.

Już przed ponad 20 laty pakistański ekonomista Mahbub ul Haq wymyślił Wskaźnik Rozwoju Społecznego (Human Development Index), który poza dochodem na głowę bierze pod uwagę także średnią oczekiwaną długość

życia i przeciętną liczbę lat edukacji. Od 1993 r. ONZ posługuje się tą miarą do opisywania zróżnicowania poziomu dobrobytu na świecie. Światowe Forum Gospodarcze opracowało jeszcze bardziej skomplikowaną metodę badania tego, w której części świata żyje się najlepiej. W corocznym Globalnym Raportcie Konkurencyjności porównuje społeczeństwa także pod względem m.in. sprawności działania instytucji (pojmowanej nie tylko jako urzędy czy firmy, ale szerzej – jako „reguły gry” w państwie), poziomu infrastruktury czy innowacyjności przedsiębiorstw. To miara skierowana bardziej do biznesu i pokazująca, czy opłaca się w danym kraju pracować, inwestować, otwierać firmy. Co więcej, zupełnie na serio próbuje się konstruować także rozmaite indeksy narodowego szczęścia – wychodząc ze, skądinąd niegłupiego, założenia, że największym sukcesem każdej gospodarki nie jest pomnażanie bogactwa ludzi, ale maksymalizowanie ich zadowolenia z tego, jak żyją. Ostatnio pojawił się nowy pomysł na to, jak mierzyć dobrobyt.

## Well-being zamiast wealth, czyli SEDA

Z propozycją nowego sposobu pomiaru bogactwa, który posłużyłby rządowi i innym decydentom za podstawę do opracowywania długo- i krótkoterminowych planów rozwoju, wystąpiła amerykańska

firma doradcza Boston Consulting Group. Pod koniec ubiegłego roku zaproponowała wskaźnik SEDA. Sustainable Economy Development Assessment, czyli Ocena Poziomu Zrównoważonego Rozwoju, poza PKB na mieszkańca uwzględnia także równość dochodów, liczbę ludzi bez pracy, poziom opieki zdrowotnej i edukacji, stan środowiska naturalnego, sprawność instytucji, jakość infrastruktury, stopień rozwoju społeczeństwa obywatelskiego i stabilność ekonomiczną (w tym dynamikę wzrostu gospodarczego czy stałość cen). SEDA zestawia ze sobą ogromną liczbę danych, gromadzonych m.in. przez ONZ, Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz

Walutowy czy Światową Organizację Zdrowia, i stara się uzyskać esencję tego, czym jest dobrobyt. Kluczowe dla tej koncepcji jest słowo „zrównoważony” w nazwie, bo podkreśla, że o prawdziwym dobrobycie nie może być mowy dopóty, dopóki zaniedbane są inne ważne obszary wpływające na jakość życia, choćby PKB sięgało gwiazd.

– Nasz wskaźnik odpowiada na zapotrzebowanie zgłaszane przez wielu wybitnych ekonomistów, w tym noblistów Josepha Stiglitz’a czy Amartyę Sena, by wreszcie naprawdę holistycznie mierzyć zamożność społeczeństw – mówi „Przekrojowi” współautor metody Douglas Beal. I doprecyzowuje: – Stworzyli-

To, co w czasach PRL było oznaką dobrobytu, dziś nikomu nie imponuje. Polska jest krajem, w którym jakość życia rośnie bardzo szybko.

śmy zestaw najważniejszych składników dobrobytu, dzięki czemu lepiej rozumiemy, co sprawia, że jedne społeczeństwa są bogatsze niż inne. Bo pieniądze to naprawdę nie wszystko.

## Polska tygrysem nie tylko Europy

Na szczycie rankingu, co nie dziwi, znalazły się bogate kraje Europy Zachodniej, w których w parze z wysokim PKB idzie poziom życia mieszkańców. Listę otwiera Norwegia, za nią są Szwajcaria, Szwecja, Islandia, Finlandia, Holandia, Austria, Niemcy, Luksemburg i Belgia. Jak duży potrafi być rozdźwięk między dochodem na mieszkańca a faktycznym dobrobytem, pokazuje przykład Stanów





Zjednoczonych. Największa (czytaj: pod względem PKB najbogatsza gospodarka świata) ledwie załapała się do pierwszej dwudziestki krajów o najwyższym poziomie dobrobytu (dokładnie 19. miejsce). Głównie za sprawą ogromnych nierówności społecznych, a także z powodu wciąż utrudnionego dostępu do opieki medycznej. Z dala od szczytu rankingu pozostają także kraje, które zbijają kokosy na eksploatacji własnych bogactw naturalnych, ciesząc się wysokim średnim dochodem na mieszkańca. Katar, Arabia Saudyjska czy Kuwejt, choć bogate, nie nauczyły się jeszcze, jak przetwarzać wealth (bogactwo) w well-being (pomysłność, dobrobyt) swoich obywateli.

Z kolei całkiem dobrze idzie to Polsce. W pierwszej edycji rankingu SEDA znalazła się na 33. pozycji (na 150 państw), czyli znacznie powyżej poziomu, który wynikałby tylko z naszego PKB per capita. Zawdzięczamy to głównie stosunkowo wysokim wynikom w każdym niemal wymiarze dobrobytu. Podobnie jak inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej odbiegamy jedynie pod względem poziomu zatrudnienia. Według autorów analizy to stopa bezrobocia przekraczająca już 13 proc., a wśród młodych zbliżająca się nawet do 30 proc., jest nam kulą u nogi.

Co jednak znacznie bardziej ekscytujące, Polska jest jednym z krajów, w których poziom życia obywateli poprawia się najszybciej. Ustępujemy tylko Brazylii, Angoli, Albanii, Kambodży i Urugwajowi, a wyprzedzamy tak dynamicznie rozwijające się gospodarki jak Indie czy Chiny. W przypadku tych ostatnich ocenę globalnego dobrobytu zaburza problem nieprzezwyciężania wolności obywatelskich, łamanie praw człowieka, który utrudnia Chińczykom cieszenie się z obiektywnie dużego i szybkiego wzrostu dochodów.

Oczywiście towarzystwo państw, w których poziom życia większości mieszkańców pozostawia, mówiąc delikatnie, wiele do życzenia, może nas niepokoić. Jednocześnie warto pamiętać, że oznacza ono, iż wciąż jesteśmy wśród tych, którym w najbliższej przyszłości najpewniej będzie się poprawiać.

Bez wielkiej przesady i w oparciu o twarde dane można powiedzieć, że Polska w ostatnich latach wykonała prawdziwy skok cywilizacyjny. W minionym pięcioleciu średni dochód na mieszkańca urósł o 25 proc. (sic!), w sposób odczuwalny poprawił się też stan infrastruktury. I mowa tu nie tylko o drogach czy stadionach,

że nasza polityka jest przewidywalna, a nasza gospodarka stabilna. Choć ostatnio stale trąbi się o kryzysie i resnącej dziurze budżetowej, a politycy nie pozwalają o sobie zapomnieć, to ani bankructwo, ani hiperinflacja, która zamieni nasze pieniądze w bezwartościową makulaturę, ani przewrót polityczny na razie Polsce nie grożą. Czujemy



Za 20 lat Polska znajdzie się wśród 20 proc. państw świata cieszących się największym dobrobytem.

ale też np. o dostępie do Internetu czy telefonii komórkowej. W tym okresie liczba użytkowników sieci wzrosła z 45 do 65 proc., a liczba komórek na 100 mieszkańców o prawie 20 proc. Choć nadal, w porównaniu z Europą Zachodnią, pozostajemy w tyle, to pokazuje, jak szybko doganiamy konkurencję. Udaje się nam przy tym kształcić ludzi za darmo na przyzwoitym poziomie, dostęp do opieki medycznej (mimo naszych wiecznych utyskiwań) jest znacznie lepszy niż średnio na świecie, a poziom korupcji w porównaniu z resztą globu nie jest wysoki i z roku na rok spada. Do tego możemy się cieszyć z faktu,

że jesteśmy bezpieczni. Mamy więc czas i ochotę inwestować w rozwój. I to procentuje.

### Co na to nasi ekonomiści?

Polska jako jeden z krajów bogacących się najszybciej ekonomistów nie dziwi. – Awans w rankingach rozwoju gospodarczego zawdzięczamy jednak głównie relatywnie szybkiemu wzrostowi PKB na tle krajów rozwiniętych, które na początku globalnego kryzysu znalazły się w głębokiej recesji – mówi „Przekroju” dr Jakub Borowski, ekonomista ze Szkoły Głównej Handlowej i członek Rady Gospodarczej przy premierze. – Oczekuję, że w najbliższych

latach „efekt doganiania” będzie wolniejszy, ale nadal dochody i wydatki Polaków będą nieznacznie rosły w porównaniu z krajami rozwiniętymi. W 2013 r. nie odczujemy jednak znaczącej poprawy jakości życia – dodaje.

Rankingowy skok Polski ekonomiści tłumaczą też „efektem bazy”, czyli poziomem, od którego się odbijamy, a także

utrzymać wysokie tempo wzrostu poziomu życia – zgadza się Douglas Beal z Boston Consulting Group. – Od jakości sieci transportowej, telekomunikacyjnej czy energetycznej zależy mnóstwo innych składników dobrobytu – począwszy od perspektyw dla firm i inwestycji, a skończywszy na poziomie opieki medycznej czy edukacji – dodaje.

owocna współpraca, a bez współpracy nie ma mowy o rozwoju.

### Kiedy już będzie „jak na Zachodzie”?

Różne rankingi rozwoju i dobrobytu każdy może interpretować po swojemu. Tak samo SEDA. Entuzjaści będą się cieszyć, że Polska dogania najzamożniejsze



skalą wsparcia, jaką w ostatnich latach otrzymaliśmy, przede wszystkim od Unii Europejskiej. – Jakość życia bez wątpienia rośnie w Polsce – przyznaje główny ekonomista Polskiego Banku Przedsiębiorczości Ignacy Morawski, dodając przy tym, że naprawdę skalę gospodarczego sukcesu będziemy mogli ocenić dopiero, kiedy wyczerpie się europejska kropelka, odpowiedzialna chociażby za poprawę stanu infrastruktury.

– Jeśli za 10 lat Polska nadal będzie powiększać dobrobyt obywateli w takim tempie, będę zadowolony. Rzeczywiście, dalszy rozwój infrastruktury jest w tej chwili kluczowy, jeśli Polska chce

A to te dwa ostatnie czynniki nadal uznawane są za krytyczne dla dalszego wzrostu poziomu życia. Inną przeszkodą na polskiej drodze do bycia drugą Norwegią jest znacznie niższy niż w krajach z czołówek rankingów kapitał zaufania społecznego. Zdaniem doktora Jakuba Krysią, psychologa międzykulturowego ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej, Polaków hamuje i ogranicza właśnie podejrzliwość. – Nie wierzymy w system, w którym żyjemy, nie ufamy instytucjom ani sobie nawzajem. Jeżeli mamy się dalej rozwijać, musimy sobie wreszcie zaufać – przekonuje. Bo bez zaufania nie jest możliwa

kraje świata w iście sprinterskim tempie. Malkontenci zwrócą uwagę na to, że dystans do tych najbogatszych jest wciąż ogromny, a razem z nami ścigają się kraje, dla których dobrobyt to bieżąca woda i prąd w każdym domu. Nie ulega wątpliwości, że chcemy i będziemy się porównywać głównie z tymi lepiej rozwiniętymi. Zapytałam więc współautora metody, kiedy dogonimy tych najbogatszych. Douglas Beal odpowiedział: – Zgodnie z prognozami SEDA Polska za mniej więcej 20 lat znajdzie się wśród 20 proc. państw cieszących się największym dobrobytem. Ale to tylko prognoza. Wszystko jest w waszych rękach! ☺

Jesteśmy coraz bogatsi i szczęśliwsi. To efekt „bazy”, czyli poziomu życia, od którego odbiliśmy się w 1989 roku.





JIMMY ANDERSON/GETTY IMAGES/FPM

# Prawo do samoobrony

Grudniowa masakra w szkole w Sandy Hook wywołała nową debatę na temat ograniczenia dostępu do posiadania broni. Jednak Amerykanie nadal nie chcą dać się rozbroić. **Marek Wałkuski** w najnowszej książce „*Wątkowanie Ameryki*”, której fragmenty publikujemy poniżej, tłumaczy dlaczego.

**K**iedy po kolejnych tragicznych strzelaninach rozmawiam ze znajomymi z Polski, zawsze słyszę to samo pytanie: „Kiedy wreszcie Ameryka zakaże posiadania broni albo przynajmniej znacznie poważną dyskusję na ten temat?”. Odpowiedź na to pytanie brzmi: „Prawdopodobnie nigdy”. Amerykanie są skłonni zaakceptować łagodne restrykcje dotyczące broni, ale absolutnie nie dadzą się rozbroić. Jed-

nym z powodów jest wiara w prawo do samoobrony i przekonanie, że posiadanie broni to jedno z podstawowych praw obywatelskich.

Twórcy amerykańskiego państwa umieścili w konstytucji niejednoznaczny zapis dotyczący prawa do posiadania broni. Zawarty jest on w drugiej poprawce, która brzmi następująco: „Dobrze zorganizowana milicja niezbędna do zapewnienia bezpieczeństwa wolnemu

W USA pistolet nie jest symbolem zła. Amerykanie są przekonani, że broń odegrała pozytywną rolę w historii ich kraju i że jest im nadal potrzebna.

stanowi, prawo narodu do posiadania i noszenia broni nie może być ograniczone”. Przez ponad 200 lat w Stanach Zjednoczonych toczył się spór, czy zapis ten gwarantuje obywatelowi prawo do posiadania broni, czy nie. Jedni interpretowali drugą poprawkę jako prawo poszczególnych stanów do tworzenia własnych oddziałów paramilitarnych (milicji) oraz gwarancję, że prawo to nie zostanie ograniczone przez rząd federalny. Inni

twierdzili, że zapis ten oznacza indywidualne prawo do posiadania broni przez każdego obywatela – podobnie jak wolność słowa czy religii. Różnica jest zasadnicza, przy pierwszej bowiem interpretacji (brak indywidualnego prawa) władze stanowe lub lokalne mogłyby zakazać posiadania broni na swoim terytorium. Przy drugiej interpretacji (indywidualne prawo) nikt nie może wprowadzić zakazu posiadania broni ani nadmiernych ograniczeń w tym względzie. Dopiero w 2007 r. amerykański Sąd Najwyższy przychylił się do drugiej interpretacji, co zresztą było zgodne z przekonaniem większości Amerykanów. Od tej chwili żadna władza na żadnym obszarze USA nie może zakazać praworządnemu obywatelowi posiadania broni ani wprowadzać daleko idących restrykcji. Jeśli gdziekolwiek takie restrykcje obowiązywały, jak np. w stolicy USA, automatycznie stały się nielegalne.

Mieszkańcy USA nie sprzeciwiają się pewnym ograniczeniom dotyczącym broni, jeśli celem tych ograniczeń jest utrudnienie zdobywania broni osobom potencjalnie niebezpiecznym. 90 proc. Amerykanów uważa, że należy uszczelnić system rejestracji osób psychicznie chorych i narkomanów, który wykorzystywany jest do sprawdzania przeszłości nabywców broni. Kontrowersji nie budzi też zakaz sprzedaży jej osobom wpisanym na rządową listę podejrzanych o związki z terroryzmem. Ponad 80 proc. popiera też wprowadzenie bezwzględnie obowiązku sprawdzenia przeszłości kupującego, nawet jeśli sprzedającym jest osoba prywatna (obecnie taki obowiązek mają tylko sklepy z bronią). Po strzelaninie w Tucson w Arizonie w styczniu 2011 r., gdy chory psychicznie mężczyzna otworzył ogień do uczestników wiecu politycznego, zabijając jedną serią z karabinu półautomatycznego sześć osób i raniąc 13, niemal dwie trzecie Amerykanów poparło wprowadzenie zakazu sprzedaży magazynków o dużej pojemności. Mniej więcej tyle samo osób nie chce, aby na rynku dostępna była broń ofensywna typu kalasznikow lub pistolet szturmowy TEC-9. Jednak dalej idące propozycje

ograniczenia dostępu do broni spotykają się ze zdecydowanym oporem.

Ponad 80 proc. Amerykanów sprzeciwia się propozycji wprowadzenia zakazu sprzedaży pistoletów i nie zmienia poglądów w tej sprawie nawet po głośnych strzelaninach. Po masakrze w Tucson tylko 18 proc. ankietowanych stwierdziło,



Nawet po strzelaninie w kinie, w której James Holmes (na zdjęciu) zabił 12 osób, Amerykanie zaakceptują tylko łagodne restrykcje dotyczące broni.

że surowsze prawo dotyczące sprzedaży i posiadania broni zapobiegłoby tragedii.

Jednym z powodów, dla których Amerykanie zgadzają się, by broń była w ich kraju łatwo dostępna, jest fakt, że nie kojarzy im się ona wyłącznie z tragediami i masakrami. W amerykańskiej kulturze pistolet, strzelba czy karabin niekoniecznie są uosobieniem zła. Wręcz przeciwnie – Amerykanie są przekonani, że broń odegrała pozytywną rolę w historii ich kraju i że nadal jest im potrzebna. Są oswojeni z bronią, nie wywołuje ona u nich negatywnych skojarzeń. Naukowcy i publicyści mówią o tzw. amerykańskiej kulturze broni. (...)

## Z karabinu w papieros

Annie Oakley była pierwszą kobietą w USA, która zasłynęła swoimi umiejętnościami strzeleckimi. Urodziła się w 1860 r. w biednej rodzinie kwaków z Ohio. Gdy miała pięć lat, jej 66-letni ojciec zmarł na zapalenie płuc, pozostawiając żonę z sześciorgiem dzieci.

W wieku siedmiu lat Annie nauczyła się strzelać z rodzinnego muzzleloadera i zaczęła przynosić do domu upolowane przez siebie zajęce, wiewiórki i kuropatwy. W kolejnych latach tak udoskonalała umiejętności strzeleckie, że zaczęła sprzedawać upolowaną zwierzynę restauracjom i hotelom w południowym Ohio. W 1881 r. w rejon ten przybył z pokazem strzeleckim imigrant z Irlandii Frank Butler. Właściciel hotelu w Cincinnati Jack Frost namówił Annie, by stanęła do pojedynku sportowego z Butlerem, który stawiał 100 dol., że nikt go nie pokona. Butler i Oakley strzelali do żywych ptaków. W 25. rundzie Butler spuścił, przegrywając pojedynek z 21-letnią rywalką. Oakley zrobiła na Butlerze takie wrażenie, że zaczął zabiegać o jej względy i rok później wzięli ślub. Przez kilka lat mieszkali w Cincinnati, później dołączyli do strzeleckiego showmana wszech czasów Buffalo Billa. Wraz z jego trupą przemierzyli wzdłuż i wszerz Stany Zjednoczone i występowali na dworach europejskich monarchów, w tym przed brytyjską królową Wiktoria. (...) Annie Oakley biła rekordy strzeleckie do 64. roku życia. Występując na pokazach Buffalo Billa, zyskała przydomek Mała Pani Strzał w Dziesiątkę, miała bowiem zaledwie 150 cm wzrostu. Annie głęboko wierzyła, że kobiety powinny umieć strzelać, by skutecznie korzystać z prawa do samoobrony. Apelując do kobiet, by uczyły się strzelać, odwoływała się do idei równouprawnienia. Zwracała uwagę na fakt, że pistolet zwiększa szanse osoby słabszej fizycznie w starciu z większym i silniejszym przeciwnikiem i że kobieta z bronią nie potrzebuje mężczyzny do ochrony, bo może obronić się sama. Oakley nauczyła posługiwać się bronią 15 tys. kobiet, a w wydawanej w Cincinnati gazecie zamieściła instrukcję, jak chować pistolet pod kapeluszem. Pożalany rewolwer Smith & Wesson, który należał do Annie Oakley, jest najcenniejszym eksponatem Narodowego Muzeum Broni (ang. National Firearms Museum) w Fairfax pod Waszyngtonem. Poza pistoletem Oakley znajduje się w nim 2700 zabytkowych rewolwe-



rów, strzelb i karabinów. Podobne muzea znajdują się w wielu miastach i miasteczkach na terytorium całych Stanów Zjednoczonych. Dlaczego takie muzea w ogóle powstały? Bo broń jest głęboko zakorzeniona w amerykańskiej historii i kulturze. Miliony Amerykanów spędzają wolny czas na strzelnicach albo na polowaniu. Broń jest wszechobecna w literaturze i filmie. Bez broni palnej nie byłoby filmów gangsterskich i westernów. Słownictwo związane z bronią przeniknęło nawet do języka potocznego. Amerykanie posługują się dziesiątkami metafor strzeleckich. Gruba ryba to u nich „big shot” (z ang. potężny strzał), ambitne cele to „shooting for the moon” (z ang. strzelanie do księżyca), a osoba bezpośrednia to „straight shooter” (z ang. bezpośredni strzelec). Być wiernym swoim przekonaniom to „stick to your guns” (z ang. trzymać się swoich pistoletów), a „long shot” (strzelać z daleka) oznacza niewielkie szanse.

### Kultura broni

(...) Broń w USA stała się bardziej powszechna dopiero w drugiej połowie XIX w., głównie dzięki obniżeniu jej ceny za sprawą masowej produkcji rewolwerów przez Samuela Colta.

W kolonialnej Ameryce ważnym elementem gospodarki było myślistwo, które stało się popularne m.in. dlatego, że na „nowym kontynencie” każdy mógł polować, podczas gdy w Europie prawo to było zarezerwowane dla arystokracji. Na nowo zajmowanych terenach dziką zwierzynę zabijano dla pożywienia, a rozwijający się rynek skór stał się dla wielu Amerykanów źródłem pokaźnych dochodów. Z czasem myślistwo traciło swój praktyczny charakter. Przetrwało jednak jako sport i rekreacja. Obecnie około 14 mln Amerykanów chodzi na polowania. Dzięki temu w USA istnieje rynek broni i wyposażenia myśliwskiego wart 20 mld dol., a w produkcji i usługach związanych z myślistwem pracuje ponad 700 tys. osób. Jedną z najpopularniejszych sieci sklepów sportowych, Dick's, ma ogromny i dobrze wyposażony dział myśliwski, znacznie większy od działu wędkarskiego. Strzelby i sztu-

cery leżą na półkach 2000 popularnych amerykańskich hipermarketów Wal-Mart. Kiedy w 2004 r. kandydat demokratów na prezydenta John Kerry chciał zademonstrować, że nie jest przeciwnikiem broni, udał się w towarzystwie kamerzystów i fotoreporterów na polowanie na kaczki.

Myślistwo i etos kresowy są filarami zjawiska zwanego „kulturą broni”. Określenie to stworzył konserwatywny historyk Richard Hofstadter, by podkreślić, że broń jest częścią dziedzictwa narodowego Stanów Zjednoczonych oraz że jest dla niej miejsce we współczesnym społeczeństwie amerykańskim. Ważny-

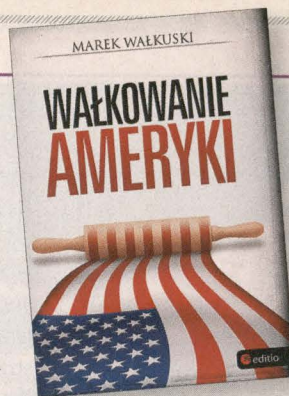
**Mieszkańcy Dzikiego Zachodu mówili: „Bóg stworzył ludzi, a pułkownik Samuel Colt, producent rewolwerów, wprowadził między nimi równość”.**

mi elementami kultury broni są odpowiedzialność i bezpieczeństwo posługiwania się pistoletami czy strzelbami. (...)

### Ideologia pistoletu

Istnieje wiele powodów, dla których Amerykanie są przywiązani do broni. Poza względami praktycznymi, zamiłowaniem do strzelania i czynnikami kulturowymi broń i prawo do jej posiadania wiążą się także z amerykańskimi wartościami – przede wszystkim równością.

W wielu krajach funkcjonuje idea równości, ale w różnych społeczeństwach jest ona różnie interpretowana. Może oznaczać zrównywanie sytuacji ekonomicznej poprzez redystrybucję dochodów albo jednakowy dostęp do darmowej służby zdrowia. W Stanach Zjednoczonych ideał równości odnosi się przede wszystkim do statusu i oznacza odrzucenie klasowości. Tytuły, urodzenie, przynależność do elity mają tu mniejsze znaczenie niż w innych krajach. Amerykański ideał równości znalazł odzwierciedlenie w archetypie bohatera Dzikiego Zachodu – kowboja. W od-



„Walkowanie Ameryki”  
Marka Wałkuskiego,  
wyd. Helion/Editio.pl

różnieniu od europejskiego rycerza czy japońskiego samuraja nie jest on przedstawicielem klasy wyższej, ale zwykłym Amerykaninem z sześciostrzałowym coltem u boku – pistoletem, który został okrzyknięty „wielkim wyrównywaczem” (ang. great equalizer) i stał się symbolem

równości. Po pierwsze dlatego, że pozwalał słabszemu człowiekowi pokonać silniejszego (siła fizyczna miała mniejsze znaczenie), a po drugie – ponieważ dzięki masowej produkcji i niskiej cenie stał się ogólnodostępny. Jak mówili mieszkańcy Dzikiego Zachodu: „Bóg stworzył ludzi, a pułkownik Samuel Colt wprowadził między nimi równość”.  
Broń jest także elementem amerykańskiego indywidualizmu. Od początku istnienia kraju Amerykanie musieli polegać na samych sobie i tradycja ta przetrwała do dziś – szczególnie na prowincji. Mieszkający tam ludzie nie ufają państwu i chętnie biorą sprawy w swoje ręce, również w kwestii bezpieczeństwa. Użycie broni przeciwko osobie, która popełnia lub zamierza popełnić poważne przestępstwo, jest legalne we wszystkich 50 stanach. Wszędzie też obywatel może aresztować przestępcę przyłapanego na gorącym uczynku lub uciekającego z miejsca zbrodni. Według Davida Koppela z konserwatywnego ośrodka Independence Institute fakt, że kodeksy karne w Stanach Zjednoczonych dają obywatelom daleko idące prawo użycia broni, wynika z amerykańskiej kultury prawnej, która opiera się na nieufności wobec państwa.

Nieufność wobec państwa nie oznacza, że Amerykanie przypisują państwu złe intencje. Nikt w Stanach Zjednoczonych nie sugeruje, że policja czy prokuratura chcą zaszkodzić obywatelom albo stać się sojusznikami przestępców. Mieszkańcy USA nie wierzą jednak, że instytucje państwowe mogą zapewnić im całkowite bezpieczeństwo. Zresztą nie trzeba być Amerykaninem, żeby zorientować się, że policja nie jest w stanie pilnować każdego domu czy samochodu i że najczęściej przyjeżdża na miejsce przestępstwa już po fakcie. Jednak o ile mieszkańcy wielu krajów uznają, że taka

jest natura rzeczy, o tyle Amerykanie nie godzą się z tym i uważają, że skoro państwo nie może zagwarantować obywatelom pełnej ochrony, to powinno pozwolić im bronić się samym. A skuteczna obrona nie jest możliwa bez broni palnej, bo tylko ona zrównuje szanse potencjalnej ofiary w konfrontacji z przestępcą. (...)

Amerykanie (w przeciwieństwie do Europejczyków – przyp. red.) znacznie większą wagę przywiązują do praw jednostki. Uważają, że państwo nie ma moralnego prawa do pozbawiania obywatela możliwości ochrony. Co ma zrobić mieszkający na odludziu farmer z Kansas, do którego domu włamuje się dwóch uzbrojonych kryminalistów? Dzwonić po policję, której najbliższy posterunek znajduje się pół godziny jazdy samochodem stąd, a bandytom zaproponować, by tymczasem napili się gorącej herbaty? Jak wytłumaczyć bezbronnej kobiecie, która pracuje w niebezpiecznej dzielnicy, że jeśli zostanie zgwałcona, to stanie się tak w imię szeroko rozumianego dobra społecznego? Właśnie na tym polega zasadnicza różnica pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a większością krajów europejskich.

Strzelanina w szkole w Sandy Hook wstrząsnęła Amerykanami, ale i tak nie zrezygnują oni z prawa do broni, bo wyrównuje ich szanse w konfrontacji z przestępcą.

Europejczycy zaakceptowali argument, że w imię grupowego interesu państwo może ograniczyć ich prawo do samoobrony. Większość Amerykanów takie rozumowanie odrzuca. Co więcej, prawo do samoobrony jest w USA stopniowo rozszerzane.

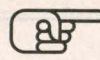
W ciągu ostatniej dekady kilkanaście stanów wprowadziło do swoich kodeksów karnych zasadę nieoddawania pola (ang. Stand-your-ground), która przez przeciwników nazywana jest zasadą „strzelaj, a potem zadawaj pytania”. Mówi ona, że osoba, która czuje się zagrożona, nie musi podejmować próby wycofania się w celu uniknięcia rozlewu krwi i może zastrzelić napastnika. Wcześniej w niektórych amerykańskich stanach obowiązek wycofania się (duty to retreat) był zapisany w kodeksach karnych, a użycie siły mogącej pozbawić życia napastnika było dopuszczalne tylko wtedy, gdy wycofanie się zwiększało zagrożenie zaatakowanej osoby. Część stanów nie miała żadnych szczegółowych regulacji w tej kwestii, co dawało możliwość oskarżenia osoby działającej w samoobronie o zastosowanie wobec napastnika nieproporcjonalnej

siły. W ostatnim czasie wiele stanów rozszerzyło też prawo do samoobrony, zezwalając na zastrzelenie napastnika nie tylko wtedy, gdy grozi nam śmiercią, ale również gdy włamuje się lub rabuje. Już niemal w całych USA obowiązują przepisy zezwalające na noszenie ukrytej broni w miejscach publicznych. Kolejne stany wprowadzają też „doktrynę zamku”, która mówi, że w swoim domu obywatel objęty jest szczególną ochroną przed napaścią i może zabić intruza, gdy tylko ma „uzasadnione przekonanie” („uzasadnione podejrzenie” nie wystarczy), że napastnik zamierza spowodować śmierć lub poważne obrażenia osób przebywających w danym miejscu. Jest to dość luźny standard, niemal zawsze prowadzący do uniewinnienia kogoś, kto zastrzelił włamywacza. Co więcej, w niektórych stanach osoba przebywająca we własnym domu może zabić każdego, kto wtargnął na jej teren, i nie musi nawet udowodniać, że obawiała się o swoje bezpieczeństwo. Być może dlatego większość Amerykanów nie stawia wokół swoich posiadłości ogrodzeń, jak to się dzieje w wielu innych krajach świata. ☐



JOSHUA LOTT/GETTY IMAGES/FPM





STACH SZABLŃWSKI

# Kto się boi banana, czyli Natalia w Brooklynie

„Ameryka nie jest na to gotowa” – powiedział legendarny galerzysta Leo Castelli, kiedy ikona polskiej neoawangardy **Natalia LL** pokazała mu swoje prace. Był rok 1977, artystka przedarła się właśnie przez żelazną kurtynę i przybyła ze środkowoeuropejskich ostępów do Nowego Jorku.



**C**zy Ameryka rzeczywiście nie była gotowa na Natalię? Czy może Natalia nie była gotowa na Amerykę? Co tak naprawdę zdarzyło się wówczas w Nowym Jorku? Odpowiedzi na te pytania poszukuje Karol Radziszewski. Artysta, którego w czasie amerykańskiej eskapady Natalii LL nie było jeszcze na świecie, podąża jej tropem za ocean i rozpoczyna dochodzenie. Ślady prowadzą do legendarnych gigantów amerykańskiej awangardy, a także w kierunku drugiej fali feminizmu, rewolucji seksualnej, heroicznej epoki walki o prawa gejów oraz międzynarodowego spisku męskich szowinistów przeciw kobietom w sztuce. Karol wciela się w detektywa, ale jednak przede wszystkim jest artystą, więc rezultaty swojego śledztwa przedstawia w formie wystawy, pod zaczerpniętym z Leo Castellego tytułem „America Is Not Ready for This”.

bierze udział w gejowskich demonstracjach, a trzeba pamiętać, że w 1977 r. bardziej przypominały one akcje miejskiej partyzantki niż wesole Parady Równości.

Dlaczego jednak w ogóle Karol Radziszewski poszedł tropem Natalii LL i czemu mamy tym śladem podążać wraz z nim? Rzecz w tym, że w latach 70. Natalia LL wyszła przed szereg, w całej komunistycznej Europie Środkowej trudno byłoby znaleźć drugą artystkę, która równie śmiało posługiwałaby się erotyką jako narzędziem krytycznym; jej prace wchodziły w dźwięczny rezonans z radykalną światową sztuką feministyczną. Przekleństwo artystycznych pionierów ze Wschodu polegało na tym, że Zachód zwykle nie miał pojęcia ani o ich istnieniu, ani ich odkryciach. Z Natalią mogło być inaczej. W odróżnieniu od większości świetnych artystów z za żelaznej kurtyny,

**W latach 70. Natalia LL wyszła przed szereg, w całej komunistycznej Europie Środkowej trudno byłoby znaleźć drugą artystkę, która równie śmiało posługiwałaby się erotyką jako narzędziem krytycznym. Jej prace wchodziły w dźwięczny rezonans z radykalną światową sztuką feministyczną.**

## New York, New York

Wystawa jest kapitalna, co jest tym bardziej imponujące, że rozpoczynając dochodzenie, Karol dysponował za ledwie kilkoma poszlakami. Koronnym dowodem w sprawie był banan – rekwizyt, którego Natalia LL użyła w swojej legendarnej erotycznej pracy „Sztuka konsumpcyjna” i który linkował jej twórczość do najbardziej zaawansowanej nowojorskiej sztuki, z Andym Warholem na czele. Poza tym była garść zdjęć przedstawiających Natalię w towarzystwie supergwiazd amerykańskiej awangardy, by wspomnieć Hansa Haacke’a, Josepha Kossutha czy Carolee Schneemann. I były wreszcie fotografie, na których polska artystka

których międzynarodowa historia sztuki odkrywa dopiero teraz, Natalia LL pojawiła się we właściwym miejscu we właściwym czasie ponad trzy dekadę temu. W 1977 r. znalazła się w pępku świata sztuki i poznała wielu z najważniejszych mieszkańców tego pępka. Wiały pomysły dla niej wiatry; strategie konceptualne, performance, seksualność, ciało i płęć kulturowa, którymi zajmowała się Natalia LL, były wówczas tematami rozgrzewającymi Nowy Jork. A jednak nic z tego nie wyszło... Karol Radziszewski przeczuwał, że poprzez nowojorski epizod Natalii LL można dobrać się do wielu ciekawych spraw. Jak robi się historię sztuki? Jakie są mechanizmy artystycznego sukcesu? Czy

Karol Radziszewski rozpoczął artystyczne śledztwo w sprawie pobytu Natalii LL w Nowym Jorku. Kluczową poszlaką w tym dochodzeniu był banan – fetysz sztuki Natalii z lat 70.

## Osoby dramatu

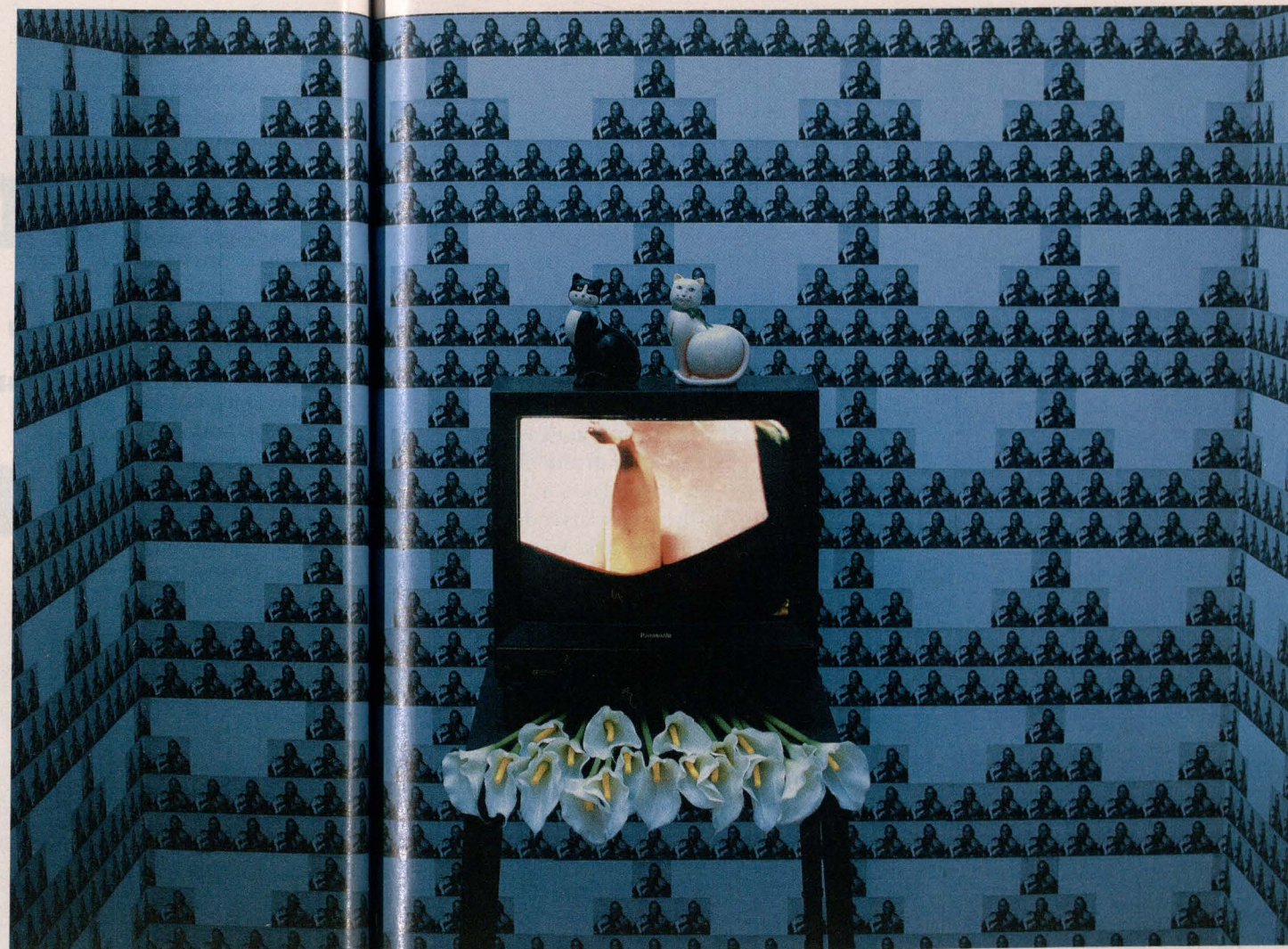
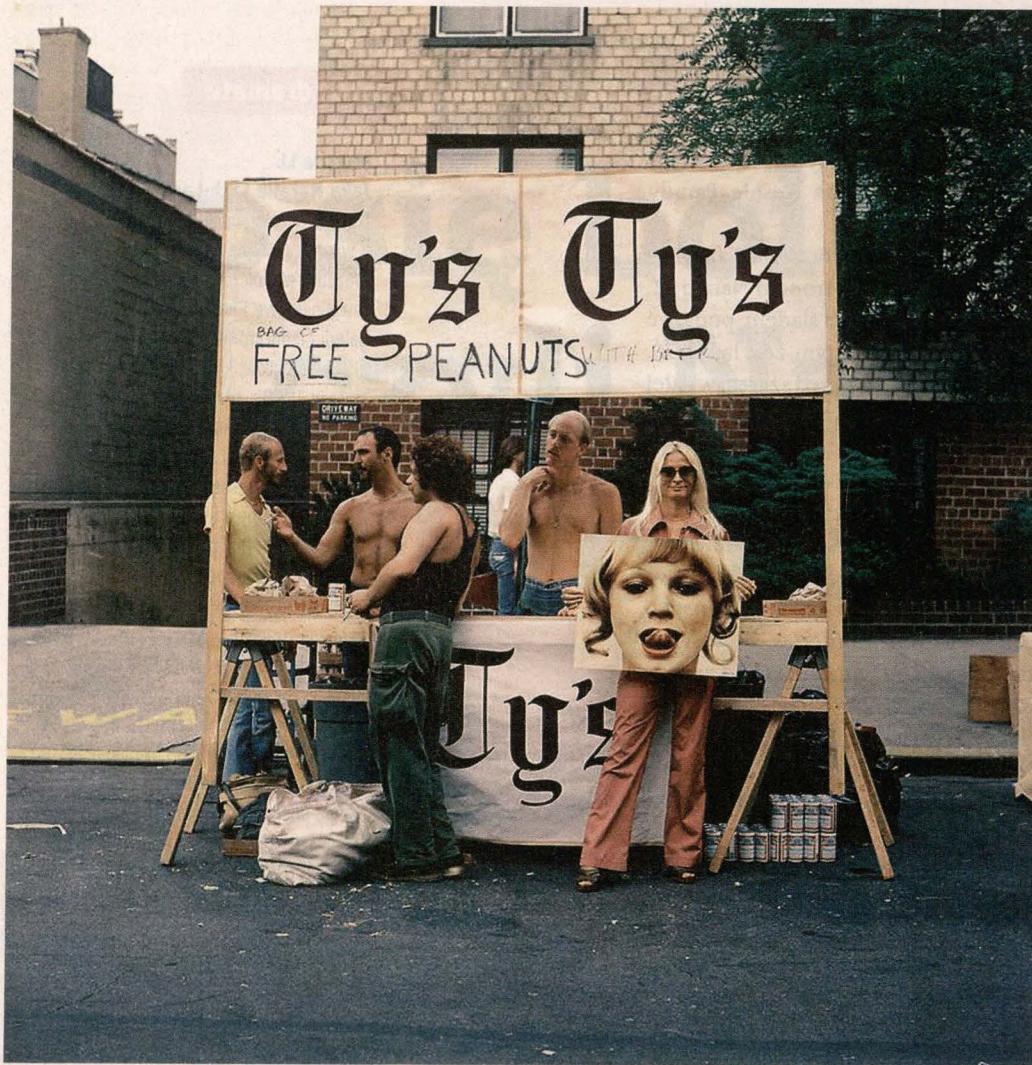
### Natalia LL (aka Natalia Lach-Lachowicz)

Główna heroina opowieści. Razem z wystawą Karola Radziszewskiego Muzeum Współczesne Wrocław pokazuje retrospektywę Permafo, niezależnej galerii i laboratorium neoawangardowych eksperymentów, które Natalia LL utworzyła w 1970 r. razem ze Zbigniewem Dłubakiem, Antonim Dzieduszyckim oraz mężem Andrzejem Lachowiczem. Gdyby szukać w ówczesnej Polsce krewniaków Andy’ego Warhola i jego ekipy z Factory, to odnaleźlibyśmy ich właśnie w szczególnym koktajlu popu i konceptualizmu, który mieszano w Permafo. Sama Natalia była zaś zupełnie wyjątkowa. Inspirowana pismami de Sade’a i Bataille’a badała artystyczny potencjał erotyki, pornografii i sadomasochizmu w czasach, w których polska sztuka starała się być idealnie bezpieczna i w temacie seksualności mogła pochwalić się ścią harcerską niewinnością. „Sztuka konsumpcyjna”, cykl filmów i fotografii, w których Natalia LL każe lalkowatym blond modelkom w niedwuznaczny sposób jeść banany i kiełbaski oraz ocierać sobie wydatne usta ze spływającego z nich białego kisielu, należą dziś do ikon polskiego feminizmu artystycznego. W 1976 r. erotyczna praca Natalii trafiła na okładkę kultowego włoskiego magazynu „Flash Art”. Artystka zdawała się być u progu światowej kariery. W 1977 r. dostała od Fundacji Kościuszkowskiej stypendium i znalazła się w Nowym Jorku.

### Karol Radziszewski

Człowiek instytucja, ba, człowiek orkiestra: współtwórca kolektywu Latająca Galeria Szu Szu, malarz, muralista, performer, instalator, filmowiec, artysta laureat (m.in. Paszportu „Polityki” i I nagrody w konkursie Samsung Art Master) oraz, last but not least, wydawca i naczelny „DIK Fagazine”, jednego w Polsce pisma o współczesnej kulturze wizualnej oglądanej przez pryzmat wrażliwości gejowskiej. Karol jest autorem pierwszego jednoznacznie artystycznego coming outu w historii sztuki polskiej;





## Osoby dramatu

w 2005 r. w prywatnym mieszkaniu pokazał wystawę „Pedaty”, od tego czasu funkcjonuje jako czołowy gejowski artysta w Polsce, „Michał Witkowski naszych sztuk wizualnych”. Karol nie próbuje zdzierać z siebie tej etykiety, co nie zmienia faktu, że – jak każda etykieta – i ta upraszcza oraz sypcza sprawę. Nie mieści się w niej na przykład dialog, jaki od lat Radziszewski prowadzi z historią polskiej neoawangardy, powtarzając i wypróbując gesty jej najśłynniejszych przedstawicieli. Jedną z takich prac była akcja „Spróbuj tego” z 2006 r., podczas której Karol jadł banany w sposób nieodparcie kojarzący się z wcześniejszą o 30 lat pracą Natalii LL.

## Carolee Schneemann

W słynnej akcji „Interior Scroll” („Wewnętrzny zwój”) czytała w galerii nago manifest feministyczny, wyciągając jego zwinęty tekst z własnej waginy. Żywa legenda sztuki krytycznej, nowojorska performerka, która w latach 70. znajdowała się w awangardzie II fali feminizmu. Spośród odnalezionych przez Karola Radziszewskiego świadków to ona najlepiej pamięta spotkanie z Natalią LL w 1977 r.

## Douglas Crimp

Wpływy krytyk, tegi historyk sztuki, legenda lewicowego magazynu „October”, weteran wojen kulturowych i zmagania o prawa gejów z lat 70. i 80.

## A.A. Bronson

Artysta, kurator i wydawca, współtwórca kolektywu General Idea, który znalazł się w awangardzie amerykańskiego konceptualizmu, oraz naczelny „File Magazine”, który w latach 70. należał do najbardziej „wyczesanych” amerykańskich pism artystycznych.

## Marina Abramović

Wiecznie młoda „babcia sztuki performance’u”, obdarzona nadludzka siłą woli radykalna jugosłowiańska performerka, niewahająca się przelewać w imię sztuki własnej krwi. Kiedy Natalia LL przyjechała do Nowego Jorku, Mariny Abramović jeszcze tam nie było. „Babcia performance’u”

Permafo, kolektyw, który współtworzyła w latach 70. Natalia LL, mieszała pop, konceptualizm i zmysłowość w sposób bliski Warholowskiej Factory.

TOMASZ PALCZOS/FOTONOVA/EAST NEWS

artysta z Polski przybywający do Nowego Jorku był prowincjuszem usiłującym wspinać się na szklaną górę, na szczycie której jaśniała światowa stolica sztuki? Czy jest takim prowincjuszem dziś?

Czas nie sprzyjał Karolowi, Natalia LL była w Nowym Jorku raptem trzy miesiące, minęło 35 lat. Wielu bohaterów tamtych dni już nie żyje, w pamięci innych zatarło się wspomnienie o dziewczynie z Polski, która jadła banany; do Nowego Jorku przybywają przecież hordy artystów z całego świata i każdy ma coś do pokazania. Artysta detektyw nie ustawał jednak w wysiłkach, wysłał dziesiątki e-maili, nagabywał, dopytywał i drążył, zacie-

Podczas pobytu w Nowym Jorku Natalia LL spontanicznie pojawiła się wraz ze swoimi pracami na przetaczających się wówczas przez miasto demonstracjach gejowskich.

piając każdego, komu Natalia LL mogła wejść wówczas w drogę. Na wystawie Karol przedstawia raport z tego dochodzenia, dokumenty, fotografie i, przede wszystkim, wciągający film. Wielu słynnych artystów i galerzystów odmówiło spotkania, wymawiając się brakiem czasu lub złą pamięcią. Inni zgodzili się wystąpić przed kamerą; z ich opowieści wyłania się niejednoznaczny i wielowymiarowy obraz, w którego tle majaczą wojny kulturowe i konfrontacja polskiej artystki z amerykańskim mitem.

## Czy Ameryka była gotowa?

W filmie Karola Natalia LL wspomina wizytę w galerii Leo Castellego, który

w poprzedniej dekadzie wylansował popartystów z Warholem na czele i był w tym czasie potęgą w Nowym Jorku. Supergalerzysta oglądał prace Natalii LL w obstawie dwóch asystentów, ale ostatecznie wymiękł. „Niestety, u nas taka sztuka nie przejdzie. Jest za bardzo erotyczna, a my nie jesteśmy jeszcze na takim etapie” – miał według artystki powiedzieć Castelli.

Krytyk Douglas Crimp ma wątpliwości: – Świat sztuki rzeczywiście był pruderyjny. Ale erotyzm związany z ssaniem banana nie wydaje mi się przekraczać ówczesnych granic – mówi Radziszewskiemu słynny krytyk.

Performerka Marina Abramović nie owija za to w bawełnę. W odróż-

nieniu od innych bohaterów filmu Radziszewskiego nie siada przed kamerą; Karol wmontował do dokumentu zapis z rozmowy z performerką na Skypie. „Myślę, że to była wielka ściema ze strony Castellego. W tym czasie pracował z bardzo prowokacyjnymi artystami. Mówimy o czasach Chrisa Burdena, Vito Acconciego, Giny Pane. Może w ten sposób chciał jej powiedzieć, że jej sztuka jest nie tyle za bardzo, ile za mało prowokująca?” – śmieje się Marina.

Rzeczywiście, Gina Pane cięła się brzytwą, Chris Burden kazał strzelać do siebie w galerii z ostrej amunicji, a Vito Acconci godzinami onanizował się w galerii u stóp publiczności;

w latach 70., złotej dekadzie sztuki ciała, najbardziej radykalnych performerów trudno było przeliczyć w konkurencji ekstremalnych gestów.

„Ameryka nie była gotowa? – obrusza się Marina Abramović. – To raczej galerie komercyjne mogły nie być na coś gotowe! Istniały jednak inne, alternatywne obiegi. Tam działa się prawdziwa sztuka! Jeżeli Natalia się poddała, bo komercyjne galerie nie chciały pokazywać sztuki, to znaczy, że za słabo o nią walczyła. Wyobrażenie Natalii, że przyjedzie na trzy miesiące do NYC i rozpocznie współpracę z najważniejszą galerzystą tamtych czasów, wydaje się luksusowe”.





Natalia LL, „Sztuka konsumpcyjna” (1972). Artystka postuluje się erotyką, ze śmiałością niemającą precedensu w polskiej sztuce konceptualnej.



Natalia LL przed swoją bananową ofensywą – na spotkaniu awangardowej grupy 061 w Toruniu.

„Czy ludzie ją tu znali? – dziwi się A.A. Bronson. – Amerykanie? O nie. Wtedy Amerykanie znali tylko Amerykanów”.

Bronsonowi wtóruje Douglas Crimp: „W latach 70. Amerykanie mieli obsesję na punkcie tworzenia czegoś amerykańskiego w sztuce. W gruncie rzeczy pragnęli się odsunąć od Europy i w rezultacie nawet słynni zachodnioeuropejscy twórcy nie byli w Stanach znani tak dobrze, jak powinni. Natalia LL nie dość, że miała kiepskie, wschodnioeuropejskie pochodzenie, to na domiar złego była jeszcze kobietą”.

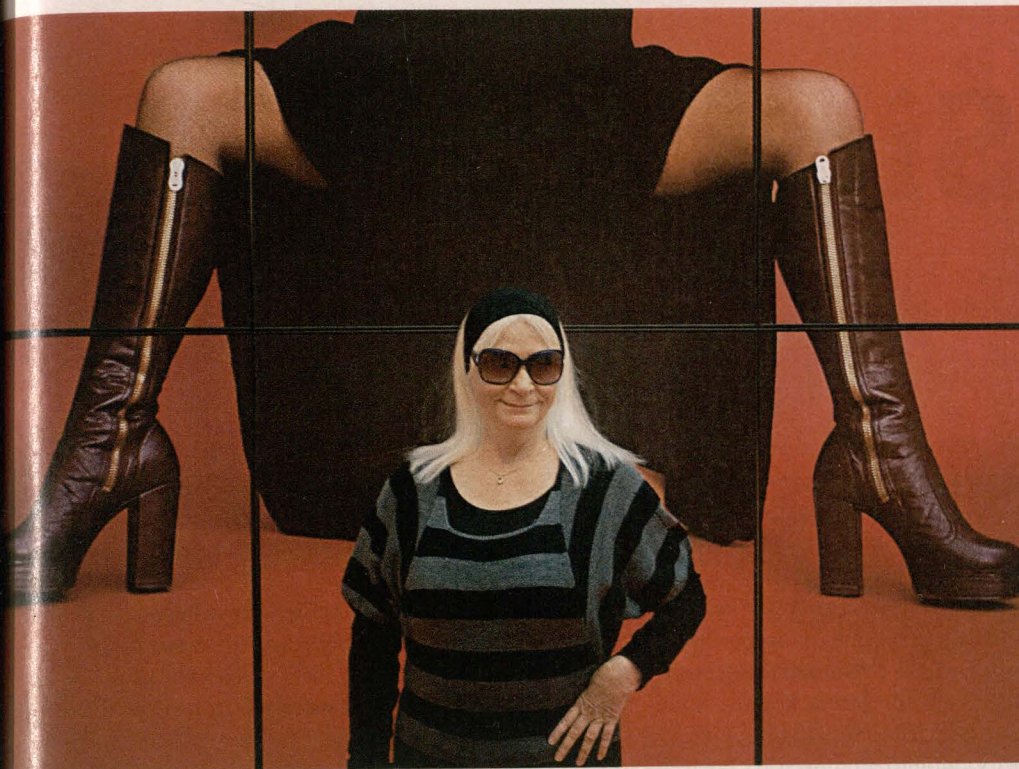
Jak wspomina A.A. Bronson: „Lata 70. były niewiarygodne; w sztuce w ogóle nie było kobiet. W tamtych czasach powiedzenie, że jest się gejem, równało się wyzerowaniu szans na karierę, ale nawet teraz łatwiej jest być queer niż kobietą w świecie sztuki. Bycie mężczyzną to jednak wielki atut”.

Carolee Schneemann nie ma wątpliwości, że Natalia, jak każda artystka, miała przeciw sobie spisek grupy trzymającej władzę w sztuce, czyli mężczyźni: „Jeżeli chcieli cię przelecieć, tracili zainteresowanie twoimi pracami. Jak atrakcyjna kobieta mogłaby zrobić coś poważnego? Artystek amerykańskich również nie traktowano poważnie”.

Vito Acconci zastanawia się, czy może Natalia nie pojawiła się jednak w Nowym Jorku za późno: „Wiesz, czasy się już zmieniały. To tak jak z muzyką: wczesne lata 70. to były długie piosenki, pojedynczy głos. Ale pod koniec dekady chodziło już o piosenki krótkie, zbiorowy wokal, punk”.

### Banan

Mario Montez w ogóle nie mówi o Natalii LL, ponieważ nie ma o niej pojęcia. Opowiada za to, jak w 1964 r. przyszedł do Factory Warhola na zdjęcia próbne, usiadł przed kamerą i wyciągnął z torebki banana. Tak powstał pierwszy z dwóch filmów pt. „Mario Banana”. Wkrótce potem Warhol zaczął pokazywać banany na obrazach,



TOMASZ PACZOS/FOTONOVA/EAST NEWS

owoc trafił też na okładkę płyty „Velvet Underground”.

„Wygląda na to, że przez przypadek zainicjowałem cały bananowy trend w sztuce” – śmieje się Montez w filmie Radziszewskiego. Czy Natalia i jej faliczne banany ze „Sztuki konsumpcyjnej” do tego nurtu należały? A może banan jedzony we Wrocławiu epoki Edwarda Gierka miał jednak zupełnie inny smak niż owoce, którymi raczyła się świta Warhola w Factory? Radziszewski mierzy szerokość przepaści, która dzieliła sztukę Wschodu i Zachodu pomimo tego, że po obu stronach żelaznej kurtyny artystom chodziło mniej więcej o to samo. Jaki płynie moral z tej opowieści? Czy, jak chce wykuta z nierdzewnej stali Abramović, Natalia LL była turystką, która pukała do niewłaściwych drzwi i nie miała dość determinacji, żeby pazurami i zębami wczepić się w nowojorski bruk? Czy może raczej, jak sugerują Schneemann czy Acconci, artystka z Polski, wschodnia Europejka i do tego kobieta, była jedną z rzeszy Innych, których System

Natalia LL dziś. W tle jej sadomasochistyczny „Aksamitny terror” z 1970 r.

bez żenady wycina z listy zaproszonych do odgrywania pierwszoplanowych ról w historii sztuki? Najmniej emocji nowojorska eskapada wywołuje w samej Natalii; w filmie Radziszewskiego mówi, że w gruncie rzeczy niczego od Ameryki nie oczekiwała; jechała tam zderzyć się z pewnym mitem, a znalazła normalne życie – i wróciła do domu. Pikanterii całej historii dodaje fakt, że nawet jeżeli Ameryka nie była gotowa na Natalię LL, to taką gotowością mógł pochwalić się przyszły gierkowski PRL, w którym „Sztuka konsumpcyjna” i inne prowokacyjne projekty artystki na temat seksualności, pożądania i przyjemności były jednak wystawiane. Radziszewski nie wyciąga więc ze swej opowieści żadnego jednoznacznego morału – zamiast tego, w ostatniej scenie, na pożegnanie zjada wraz z Natalią LL po bananie. 🍌

**Karol Radziszewski, „America Is Not Ready for This”**  
Muzeum Współczesne Wrocław, do 4 lutego 2013 r.  
[www.muzeumwspolczesne.pl](http://www.muzeumwspolczesne.pl)

### Osoby dramatu

trafiła tam znacznie później, ale za to, w odróżnieniu od polskiej artystki, wgrzyła się w Wielkie Jabłko aż do ogryzka. W 2010 r. zrobiła wielką retrospektywę w nowojorskim MoMA, uwiecznioną w przebojowym filmie Matthew Akersa „Artystka obecna” – zdobyła sławę, wielkie pieniądze i status celebrytki rozchwytywanej przez projektantów mody.

#### Vito Acconci

Kolejna postać żywcem wyjęta z kart podręczników historii sztuki; performer z Brooklynu, wirtuoz sztuki ciała, autor legendarnej akcji Seedbed z 1971 r.; podczas tego klasycznego performance'u, Acconci tkwił pod podłogą galerii Sonnabend i masturbował się przez osiem godzin dziennie, opowiadając jednocześnie swoje seksualne fantazje na temat chodzących nad nim widzów.

#### Mario Montez

Rodem z Portoryko, ale od zawsze w nowojorskim undergroundzie. Przyjaciel i członek świty samego Jacka Smitha oraz aktor wielu jego filmów, a później jeden z Superstars Andy'ego Warhola, u którego wystąpił w kilkunastu projektach filmowych. Jednym z nich był oczywiście „Mario Banana” z 1964 r. – film, w którym Montez znacząco zjada banana, zapowiadając poniekąd obsceniczną „Sztukę konsumpcyjną” Natalii LL.

#### Antonio Homem

Dyrektor Sonnabend Gallery, w latach 70. jednej z najważniejszych scen sztuki radykalnej w Nowym Jorku.

#### Lucy Lippard

Aktywistka, kuratorka, krytyczka, jedna z osób, która kładła kamienie węgielne pod gmach teorii feministycznej w latach 70. Lippard wysłała Natalii LL manifest feministyczny jeszcze przed przyjazdem tej drugiej do Nowego Jorku; niestety, dokument utonął podczas apokaliptycznej powodzi, która zalała Wrocław w 1997 r. Lippard nie wzięła udziału w filmie Karola Radziszewskiego, tłumacząc, że ma 75 lat, spotkała w życiu armię osób i nie potrafi sobie przypomnieć kontaktów z Natalią LL.



AGNIESZKA KOWALSKA

# Ulica Sigalina?

Dlaczego **Józef Sigalin** – pierwszy naczelny architekt Warszawy, współtwórca Biura Odbudowy Stolicy – nie ma własnej ulicy w Warszawie?

**T**o nie najszcześniejszy czas na postawienie takiego pytania. Nawet zwolennicy nadania ulicy imienia Sigalina zastrzegają, że nie należy tego robić teraz, gdy SLD wyskoczył z propozycją ronda Gierka, z której śmieje się pół Polski. Ale czy w ogóle dzieło architektoniczne da się w tym przypadku oderwać od kontekstu, w jakim powstawało?

Michał Borowski, w latach 2003–2006 naczelny architekt Warszawy, wspomina: – Mój ojciec, Natan Borowski, ukończył Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej w drugiej połowie lat 30., razem z wieloma architektami, którzy później mieli znaczenie w odbudowie i budowie nowej stolicy. Jednak ojciec, po studiach w szkole Bauhausu, nie był w stanie współpracować z nową władzą, nie akceptował socrealistycznej architektury – PKiN, MDM. Zajmował się głównie szachami, odnosząc duże sukcesy. Zostałem przez rodziców wychowany w przekonaniu, że dla tzw. porządnym ludzi był jednak wybór. Ojciec znał Sigalina i nie wyrażał się o nim zbyt pochlebnie, dlatego też nie widzę powodu, by go gloryfikować.

Nawet Andrzej Skalimowski, młody historyk, który pisze doktorat o Sigalinie i przygotował o nim wystawę w Muzeum Politechniki Warszawskiej, jest ostrożny. – Jego wkład w odbudowę Warszawy jest niepodważalny, jego upór i konsekwencja godne uznania. Jednak pamiętajmy, że forsując jednych architektów, blokował pozostałych. Pisząc o nim, staram się zachować

równowagę, co nie jest proste, bo była to postać naprawdę fascynująca.

## Nocą przychodziła w snach Warszawa

Przed wojną nazwisko Sigalin kojarzyło się z Kefirem Sigalina, którego recepturę przywiozła z Kaukazu do Warszawy w 1863 r. babka Józefa, Klaudia. Architekci łączyli je wówczas nie z Józefem, który dopiero studiował na Politechnice Warszawskiej, a z dwójką jego braci: Romanem i Grzegorzem (wraz z Jerzym Gelbardem prowadzili biuro architektoniczne, tworzyli charakterystyczne kamienice z wykuszami, m.in. w al. Róż). Grzegorz jeszcze przed wojną na zaproszenie Stalina wyjechał budować nową Moskwę, gdzie na podstawie donosu został później rozstrzelany. Roman, zmobilizowany w 1939 r., jako polski oficer zginął w Charkowie.

Mama i siostra, z którymi Sigalin był bardzo związany, zginęły w warszawskim getcie, 22 lipca zażyły cyjanek w drodze do Treblinki. Tak więc radosne święto PRL-u, kiedy oddawano do użytku wszystkie ważne inwestycje, które nadzorował architekt – Pałac Kultury i Nauki, MDM, Trasę W-Z – nie wiązało się dla niego z miłymi wspomnieniami.

Wściekłość na hitlerowców była z pewnością jednym z powodów, dla których Sigalin powołany w Lublinie przez Komitet Wyzwolenia Narodowego 17 stycznia 1945 r. do grupy operacyjnej „Warszawa”, z takim zapałem zabrał się do pracy. Był też za stolicą bardzo stęskniony. Na Wschodzie, w czasie wojny, nie dochodziły do niego żadne

wieści. „Wieczorami było trudniej; wliczanie wszystkich sklepów na Marszałkowskiej od Królewskiej do Świętokrzyskiej, potem do Złotej, Wspólnej, placu Zbawiciela. Potem przystanie na Wiśle. Wszystkie po kolei posesje, płoty, fabryki i drzewa na Wolskiej, Ogród Saski i Łazienki. »A pamiętasz placyk na tyłach Uniwersytetu? A pamiętasz? «. (...) Pamiętaliśmy wszystko. Nocą przychodziła w snach Warszawa» – wspominał w książce „Nad Wisłą wstaje warszawski dzień...”. Wydane w 1963 r. fragmenty prywatnego archiwum są dość patetyczne, napisane w duchu propagandowym. Ale ten fragment, gdy architektki z grupy operacyjnej „Warszawa” jadą samochodem przez zburzoną stolicę, nawet największemu twardzielowi zakręci łzę w oku.

## Dla robotników te pałace

Szli przez Śródmieście i spisywali raport – co stoi, co wypalone, co w gruzach. Przeganiali z mieszkań szabrowników („szkoda tych książek, rozkradną”). Sigalin zanotował: „Wąwóz Nowego Świata. Straszny widok. Tu nie ma nic. Złowrogi jar. Pojedynczy ludzie, żeby zejść autu z drogi, wspinają się na zbocza – zwaly dawnych pałaców. Niemojewski mówi, że tu właśnie trzeba będzie zacząć. »Najprzód Nowy Świat i Krakowskie«”.

SARP nalegał, by stolicę pozostawić w Warszawie, bo to z pewnością przyspieszy proces odbudowy. Sigalin pisał: „Wokół cmentarza – cmentarz getta. Wokół cmentarza getta – cmentarz Warszawy. To jest prawda, o któ-

Wystawę w Muzeum Politechniki Warszawskiej, ul. Nowowiejska 24, można oglądać do końca stycznia, poniedziałek–piątek w godz. 8.30–15.30. Wstęp wolny.



rej zapomnieć nie wolno, ale którą żyć – zwłaszcza młode pokolenie – nie może”.

Spotykając się już wówczas z zarzutami niszczenia resztek przedwojennej tkanki miasta, przekonywał, że jest to proces „uzdrowienia organizmu miasta z jego przedwojennych niedostatków i schorzeń”. – Przyświecały mu Corbusierowskie przedwojenne ideały – żeby było jasno, żeby domy były suche, niezagrzybione, żeby ludzie mieli jakąś infrastrukturę, tereny zielone. Nie ma więc takiego prostego przełożenia, że przed wojną w Warszawie było cudnie, a potem marnie – przekonuje córka Sigalina, malarka Weronika Naszarkowska-Multanowska.

Z dumą pisał, że buduje Warszawę socjalistyczną: „Miasto młode, pełne oddechu, przestrzeni, nowoczesne”.

1947 rok – Józef Sigalin pokazuje Bolesławowi Bierutowi makietę Trasy W-Z, która na pierwszych planach nazywana była Trasą Bohaterów Starówki.

Rozważał, co by było, gdyby została wciąż stolicą państwa kapitalistycznego (na pewno konieczna by była „ogłędniejsza dyspozycja terenami, które trzeba by przecież wszystkie wykupywać”). Oddając do użytku MDM, powtarzał propagandowe hasła: „Dla nich te pałace. Robotnicy wchodzą do Śródmieścia”.

Był świadomy, że wziął na siebie zadanie ponad siły, ale zgodził się najpierw przyjąć stanowisko zastępcy kierownika Biura Odbudowy Stolicy, a w 1951 r. naczelnego architekta miasta. Wszystko trzeba było ogarnąć naraz: komunikację samochodową, miejską, kolejową, mosty, mieszkania i odbudowę zabytkowych ikon.

Uważał się bardziej za urbanistę niż architekta, stąd ten rozmach projektowania. Pół miasta – to była jego skala.

Słabo rysował, ale dobrał sobie znakomity zespół: Zygmunt Stępiński, Stanisław Jankowski, Jan Knothe.

## Jest ryzyko, jest krytyka

W 1956 r., gdy umarli już Stalin i Bierut, a socrealizm się wypalił, łatwiej było dyskutować o brzydkiej architekturze niż o katowniach UB. A Sigalin, który był symbolem tych wielkomiejskich założeń stalinizmu, był idealnym koźłem ofiarnym. Posypała się na niego fala krytyki – za warunki mieszkaniowe na Mariensztacie, za zbyt mało robotniczy MDM. Sigalin pisał: „Jest krytyka, ale kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi”. Na zjeździe architektów, podczas którego złożył urząd naczelnego architekta, szczerze przyznawał się do błędów. Napisał z żalem, że myślał, iż w tych trudnych czasach, gdy walił



w bęben, wszyscy szli za nim, a tymczasem, gdy rozejrzał się wokół, nie było przy nim nikogo. Co ciekawe, ci architekci, którzy go najżarliwiej krytykowali, z Jerzym Hryniewieckim na czele, napisali w „Życiu Warszawy” list w jego obronie. Uznali, że atak na Sigalina był niewspółmierny.

Wrócił w blasku chwały na budowę Trasy Łazienkowskiej. Tak jak wcześniej chodził po placach budowy z Bierutem, tak potem robił to z Gierkiem. Gomułka, który nie lubił zbytnio Warszawy (twierdził na przykład, że odbudowa Zamku Królewskiego byłaby fanaberią, i tego nie zrobił), kazał przerwać prace nad Trasą Łazienkowską. Stawiał na transport publiczny, uważał, że rozwój komunikacji samochodowej to nie u nas, raczej na Zachodzie. Polecił też zniszczyć dokumentację trasy. Sigalin schował jeden egzemplarz i kiedy przyszedł Gierek ze swoją propagandą sukcesu, od razu można było przystąpić do prac. Dlatego trasa po czterech latach rządów Gierka, w 1974 r., była już gotowa.

– Dokonania Sigalina, co do których pozytywnej oceny nie powinno być wątpliwości, przypadły właśnie na okres po 1956 r. Mam tu na myśli przede wszystkim trasy mostowe, takie jak Trasa Starzyńskiego z mostem Gdańskim czy Trasa Łazienkowska. Po październikowej „odwilży” Sigalin mógł skupić się wyłącznie na sprawach fachowych i organizacji inwestycji, w czym był absolutnie niedościgniony – uważa Andrzej Skalimowski.

Pod koniec życia (zmarł w 1983 r. w wieku 72 lat), jak wielu mu podobnych, jeszcze przedwojennych komunistów, był rozgoryczony i rozczarowany. Wierzył w słuszność socjalistycznego systemu, a partia nie była mu do tej wiary potrzebna. Mimo to jej członkiem pozostał do końca życia.

Nie przeszedł na emeryturę, bo nie mógł żyć bez pracy. W pracowni Świder Bis opracowywał pomysł, żeby pociągnąć Świder wzdłuż Wisły i wygospodarować w ten sposób tereny rekreacyjne dla Warszawy.



JAKUB OSTALOWSKI



PAP

Pałac Kultury i Nauki, MDM – wielkie realizacje, które nadzorował Józef Sigalin. Pisat: „Nie chcemy pudeł odartych z piękna”.

Gdy lekarze zdiagnozowali u niego raka, usłyszał, że ma przed sobą góra cztery tygodnie życia. Pisał wówczas książkę „Z archiwum architekta”. I dopóki nie skończył, żył – 2,5 roku. Dziś to niezastąpione źródło powojennych dziejów Warszawy.

### Ludzka strona człowieka Bieruta

– Do tej pory Sigalin, jeżeli w ogóle funkcjonował w świadomości warszawiaków, to raczej jako demiurg, „czło-



wiek Bieruta” od architektury, którym oczywiście był. Nikt jednak, pracując nawet po kilkanaście godzin na dobę, nie jest robotem. Chciałem go pokazać również od tej mniej znanej, ludzkiej strony – tłumaczy Skalimowski.

Na wystawie w Muzeum Politechniki zgromadził mnóstwo niepokazywanych dotąd rodzinnych pamiątek, zdjęć, dokumentów. Są tu fotel z Biura Naczelnego Architekta w pałacu Pod Blachą (wcześniej mieściła się tu pra-



SEWERYNI SODYS



cownia W-Z, której Sigalin był szefem); sworzeń z mostu Poniatowskiego, który zabrał sobie na pamiątkę (był sentymentalnym człowiekiem); jest jego marynarka (podobno nie bardzo przywiązywał wagę do strojów, na szczęście miał przyjaciela we Francji, który przysłał mu marynarki).

Córka Weronika Naszarkowska-Multanowska wspomina, że gdy była dzieckiem, tata często zabierał ją do biura. Mogła odkręcać wielkie koło szafy pan-

Józef Sigalin na placach budów, od lewej: z Bierutem i czeskim ministrem na budowie Trasy W-Z w 1948 r. oraz w trakcie budowy mostu Gdańskiego w 1958 r.

cernej, w której Sigalin trzymał... kije, które na pamiątkę przywoził z Tatr. Wspinaczka to była jego wielka pasja. Był też zapalonym sportowcem (przed wojną tenisowym mistrzem Warszawy). Spacerowali dużo po Warszawie, oglądali neony: mrugającą Krówkę przy barze mlecznym na Kruczej, piłkę spadającą z dachu na placu Konstytucji. – Na budowy też mnie zabierał. Trasy W-Z nie pamiętam, bo to jeszcze nie za mojego życia. Ale mosty Gdański i Starzyńskiego, plac Zawiszy – już tak. A potem była Trasa Łazienkowska. Byłam pierwszą osobą, która weszła na kładkę nad trasą, na wysokości Jazdowa. Patrzyliśmy w dół, nic tam jeszcze nie jechało. W ogóle początkowo jeździło tam pięć samochodów na krzyż, oni naprawdę byli wizjonerami, planując skalę tych arterii.

Weronika Naszarkowska-Multanowska zapamiętała też, jak ojciec czytał jej na głos książki – zarówno w dzieciństwie, jak i później. I że dyskutował o nich zaciekle ze znajomymi w czytelnym klubie, który założyli. Zapytana o to, jak taki przedwojenny facet odnalazł się w tych schamiałych czasach PRL-u, odpowiada: – Podobnie jak teraz – przyjaciół gromadzi się tak, żeby człowiek dobrze się czuł, można sobie stworzyć taką enklawę. I dodaje: – Najważniejsze jest dla mnie, że ani w polskich, ani w moskiewskich archiwach nie znaleziono śladów współpracy ojca ze Służbą Bezpieczeństwa.

### Co z tą ulicą?

Grzegorz Piątek, historyk architektury, współtwórca fundacji Centrum Architektury: – Był zbyt uwikłany w najciemniejszą stronę PRL-u, czyli bierutowski aparat władzy, by ktoś mógł go dziś zaproponować na patrona ulicy. Po „odwilży” nadal intensywnie pracował, ale już nie na pierwszym planie, a polityka przesłaniała jego zasługi dla odbudowy. A przecież sprawa nie jest jednoznaczna, bo nigdy nie zmienimy tego, że najważniejszy etap odbudowy Warszawy przypadł na najbardziej brutalny okres w powojennej historii Polski.

Michał Borowski nie daje się przekonać: – Jeżeli poważni ludzie proponują, żeby rok 2013 był Rokiem Gierka, to brak tylko jeszcze ulicy Rudniewa, a najlepiej placu Rudniewa zamiast placu Defilad.

Martyna Obarska, autorka książki „MDM. Między utopią a codziennością”: – Własnych ulic nie mają Syrkusowie, Brukalscy, Nowicki. Wydaje mi się, że o architektach najlepiej przypominają ich realizacje, jestem przeciwniczką tego typu upamiętniania ważnych postaci jak przemianowywanie ulic.

Aż trudno uwierzyć, że doktorat Andrzeja Skalimowskiego, pisany pod kierunkiem prof. Tomasza Szaroty, będzie pierwszą publikacją o Józefie Sigalinie. – Chciałbym, żeby stała się ona pretekstem do bardziej wnikliwej dyskusji o tamtych czasach. Bo dzisiejsza moda na socrealizm, ciekawa i pożyteczna, jest jednak niezwykle powierzchowna i zmierza w niebezpiecznym kierunku. Zachwycając się założeniami wielkomijskimi epoki stalinowskiej należy pamiętać, że na zapleczu placu Konstytucji, przy ul. Koszykowej, stoi dawny gmach UB, z którego okna na IV piętrze w 1949 r. wyrzucono studenta architektury Jana Rodowicza „Anodę”.

Czy Sigalin powinien mieć swoją ulicę w Warszawie? – Uważam, że powinien, skoro ma ją nawet Awionetka RWD. Może nie główną arterią, ale jakąś kameralną uliczkę albo skwer na pewno – mówi Andrzej Skalimowski. – Przeglądając w Archiwum Miasta Stołecznego Warszawy tych 1300 teczek dokumentów, które Sigalin przekazał jeszcze za życia, uświadomiłem sobie skalę zaangażowania tego człowieka w powojenną odbudowę miasta. Dobrze, że Bierut miał akurat Sigalina. Warszawa mogła dostać dużo gorszego naczelnego architekta.

W 2011 r. UNESCO wpisało Archiwum Biura Odbudowy Stolicy na listę najważniejszych obiektów w dziejach ludzkości.

Autorka jest dziennikarką „Gazety Wyborczej”.



MONIKA BRZYWCZY

# Wybiera Magda Berus

Pochodzi ze Śląska, słucha polskiego hip-hopu, niechętnie imprezuje, w wolnych chwilach czyta i je. Poznajcie **wschodzącą gwiazdę polskiego kina.**

**W**łaśnie debiutuje na ekranach kin główną rolą w filmie „Bejbi blues”. Rok temu wygrała casting do filmu Katarzyny Rosłaniec. Wybrano ją spośród kilku tysięcy młodych dziewczyn. Za chwilę zobaczymy ją w „Nieulotnych” Jacka Boruchy, z którymi 17 stycznia jedzie na festiwal Sundance, gdzie film będzie miał światową premierę. Jest naturzczykiem, nie ma za sobą szkoły aktorskiej, a mimo to media już zapowiadają, że przed nią duża kariera sceniczna. Ona sama, jeśli chodzi o planowanie przyszłości, jest ostrożna. Chciałaby studiować aktorstwo za granicą – w Los Angeles lub Nowym Jorku. Ale też czeka i obserwuje, co wydarzy się w najbliższym czasie w Polsce. Przyznaje, że życie samo płynnie prowadzi ją ku kolejnym wyzwaniom.

## 1 Modeling

Od 16. roku życia podróżowała zawodowo. Mieszkałam w wielu miejscach, miesiąc w Londynie, potem w Paryżu, w Japonii pięć tygodni. Styczność z innymi kulturami to superważne doświadczenie, które rozbudziło we mnie głód i ciekawość świata. Spotkania z ludźmi, takie chwilowe zderzenia też były cenne. Miałam szansę podpatrywać w działaniu wielu utalentowanych artystów: fotografów, projektantów, scenografów, choreografów... Na pewno mnie to w dużym stopniu ukształtowało. Nauczyło też odpowiedzialności za siebie. Poza tym sama praca, czasem po 16 godzin, to była niezła szkoła życia.

## 2 Polski hip-hop

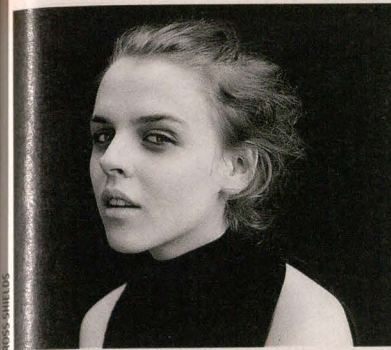
Od zawsze mam do niego sentyment, szczególnie do Paktofoniki. Poza tym cenię Łonę, Webbera, Fisza, Ostrego, ostatnią płytę Pokahontaz... Dawniej bywałam na ich koncertach – niezapomniany występ Fiszka w klubie Mega w Zabrzu, świetny, super-energia! Ale w muzyce nie ograniczam się do jednej stylistyki. Od zawsze na zawsze jestem fanką Michaela Jacksona! Uwielbiam Marię Peszek, czekam na każdy kolejny jej album. Sięgam też po mniej oczywiste brzmienia, zespołów takich jak Cocorosie, Royksopp, Die Antwoord... Cały czas szukam. Jeśli coś mnie porusza i dotyka, to przygarniam.



MARIAN ZUBRZYCKI



EAST NEWS/ALBUM



**Magda Berus** – Pochodzi z Rudy Śląskiej. Ma 19 lat. Modelka. Aktorka. Zagrała w filmach „Bejbi blues” Katarzyny Rosłaniec oraz „Nieulotne” Jacka Boruchy. Studiuje kulturoznawstwo w warszawskiej SWPS.

## 3 Miłość i nienawiść

Wcześniej miałam kontakt jedynie z kinem mainstreamowym. Kiedy Kasia (Rosłaniec – przyp. red.) powierzyła mi główną rolę w filmie, wprowadziła mnie w świat kina niszowego, ambitnego. Stała się moim przewodnikiem. Byłam tym totalnie oszołomiona i nienasycona. Pierwsze filmy, które mnie wtedy naprawdę zachwyciły, to „Fish Tank”, „Rusałka”, „Siostry Magdalenki”, „Nienawiść”, filmy Kieślowskiego. Ostatnio bardzo poruszyła mnie „Miłość” Hanekego.

## 4 Mózg geniusza

Uwielbiam czytać, czasem trzy książki jednocześnie. Zawsze tak było. Bardzo cenię literaturę z pogranicza filozofii i psychologii, np. Erica Fromma, który w fascynujący sposób przekłada czysto naukową psychologię w treść przystępną dla każdego. Ostatnio zachwyciła mnie książka „Śmiertelni nieśmiertelni” Kena Wilbera, zresztą nie pierwsza tego autora, ale też wsiąkam w biografie: „Steve Jobs” autorstwa Waltera Isaacsona, teraz jego „Einstein” ...

## 5 Moda na jedzenie

Kiedyś nie gotowałam wcale, a ostatnio zdarza mi się to coraz częściej. Wiem, że to teraz modne, bo wszyscy kochają kuchnię, ale nic nie poradzę, mnie to relaksuje. Sama przede wszystkim piekę ciasta, o ile tylko jest piekarnik, ale chwilowo mieszkam w tak małym mieszkaniu, że niestety tego sprzętu nie posiadam. Niedawno przeprowadziłam się do Warszawy. Uwielbiam wycieczki po stołecznych restauracjach i odkrywanie fajnych, dla mnie nowych miejsc. Mój numer jeden i dwa to Delikatesy TR i nowa restauracja Why Thai na Wiejskiej.

## 6 Śląsk

Przyznam, że go nie doceniałam. Właściwie od zawsze marzyłam, by wyrwać się stamtąd, choćby do Warszawy. W dzieciństwie odwiedzałam moją rodzinę i marzyłam, żeby tu zamieszkać. Nie zgadzałam się na śląską rzeczywistość. Oglądając Katowice z okien tramwaju, miałam wrażenie, że tam czas się zatrzymał w innej epoce. Nie było fajnych miejsc, panował marazm. To się powoli zmienia, ale ja rzadziej tam bywam. A z oddali patrzę na Śląsk inaczej. Czulej.

## 7 Górnik Zabrze

Kiedyś byłam wiernym kibicem czy kibicką. Chodziłam z tatą na każdy mecz. Dziś już minął mi ten futbolowy fanatyzm. ☹️

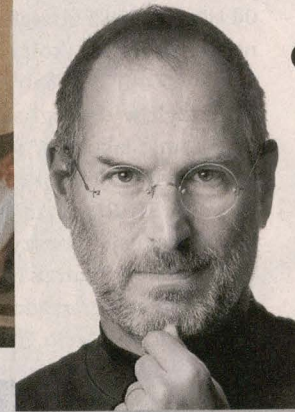


6



Steve Jobs by Walter Isaacson

4



ZBYSZKO SIEMASZKO/FORUM

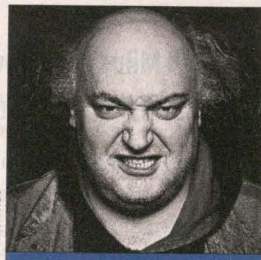


GETTY IMAGES/PPM



Maciej Nowak

# Zamienię glany na huntersy



ARTUR KOT

W tym sezonie modny jest płacz krytyczny. Paweł Sztarbowski płakał na „Mieście snu” Krystiana Lupy. Roman Pawłowski i Mike Urbaniak płakali, słuchając płyty Stanisławy Celińskiej. Sam Pawłowski zrosił łzami teatr Studio na „Wichrowych Wzgórzach”. W tej sytuacji ja też popłakałem sobie na „Courtney Love”, ostatnim spektaklu Strzępki/Demirskiego w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Już sam jego tytuł brzmi niczym klasyczne melodramaty: „Manon Lescaut” czy „Adrianna Lecouvreur”. W dodatku Monika Strzępka w wywiadzie przedpremierowym na pytanie, czy jest to opowieść autobiograficzna, odpowiada: „Do pewnego stopnia tak (...) jednym z powodów były sytuacje (...), w których traktowano nas nierówno (...). Ujmując to najkrócej, mówiło się o nas: jest taki wybitny dramaturg i durna cipa, która uparła się, żeby mu zniszczyć życie”. Żeby była jasność: tym od durnej cipy był niżej podpisany. A jedna ze scen wrocławskiego spektaklu wykazuje dużą zbieżność z sytuacją w klubie Pewex w Warszawie, gdzie wybitny dramaturg w obronie durnej cipy wylał mi na głowę cooler pełen topniejącego lodu. I poprawił jeszcze kuflem piwa. A ja się cieszyłem: – O proszę, jaki dzielny ten Pawełek, umie walczyć o swoją damę.

**Gdy na koniec cudowna Katarzyna Strączek w roli Courtney Love genialnie przypomina „I’m Dying, I’m Dying Please”, po wielu policzkach splywają łzy.**

Autor jest teatrologiem, szefem Instytutu Teatralnego, smakoszem, autorem barwnych recenzji kulinarnych. U nas pisze o premierach teatralnych.

średniej pławi się w ich sławie, legendzie i bezkompromisowości.

Od kilku spektakli Strzępka i Demirski stają się sumieniem swojego pokolenia. W „Położnicach Szpitala św. Zofii” w Teatrze Rozrywki w Chorzowie rozpirzyli w drzazgi sen o rodzeniu po ludzku. W „W imię Jakuba S.” w warszawskim Teatrze Dramatycznym zdemaskowali szlachecko-inteligentką bujdcę III RP, czym sprowokowali ogólnonarodową dyskusję o naszych chłopskich korzeniach. W „Firmie” w Teatrze Nowym w Poznaniu skreślili prawdziwy obraz rządzącej od 20 lat ideologii prywatyzacji. W „Dario Fo przesłał instrukcje” w Komunie Warszawa ukazali bezradność wywrotowych loków, fryzowanych na łbach bywalców Charlotte i Między Nami. W „Courtney Love” rozprawiają się z kolei z rockandrollową mitologią dzisiejszych 30- i 40-latków. Z tą całą nostalgią za glanami i pogowaniem w Jarocinie, za Hirkiem, Niedźwiedziem, Sierockim i Leszczem, za Rozgłośnią Harcerską, za kawałkami, które wyje się w braterskim uścisku, gdy browarek doda odwagi wyłysiałem uczestnikom programów lojalnościowych i wrogom szwajcarskiego franka.

Mimo że to kolejny spektakl Strzępki/Demirskiego będący chłusnięciem piwa wprost w twarz publiczności, ona to kocha. Przed rozpoczęciem przedstawienia przed Sceną na Świebodzkim stoi zbity tłum walczących o wejściówki nawet na poduchy i miejsca stojące. Kolejne covery Nirwany i Hole, grane i śpiewane na żywo przez aktorów Teatru Polskiego, nagradzane są owacjami. Gdy na koniec cudowna Katarzyna Strączek w roli Courtney Love genialnie przypomina, „I’m Dying, I’m Dying Please”, oczy wielu potnieją, a niektórzy nerwowo szukają w kieszeniach zapalniczek. Zaraz, chwileczkę, proszę państwa, to jest jednak teatr. Tutaj panują surowe przepisy p.poż. Płakać za to możecie sobie do woli.

Więcej o spektaklu „Courtney Love” w reż. Moniki Strzępki w programie WSZYSTKO O KULTURZE (20.01 o godz. 23.05, TVP 2).



„Courtney Love”, reżyseria i światła Monika Strzępka, dramaturgia Paweł Demirski, Teatr Polski we Wrocławiu, premiera 30.12.2012 r.





JAN MIROSLAW

# Niewolnictwo na dwa sposoby

Krwawe spaghetti **Tarantino** kontra lekcja historii **Spielberga**.

**K**ażdy film Quentina Tarantino przynosi obietnicę jatki – na ekranie i poza nim. Nie inaczej jest w przypadku „Django”, który pod względem kontrowersji szybko dogonił poprzednie dzieło reżysera, „Bękarty wojny”. Po wesołym polowaniu na nazistów w Europie mistrz filmowej szarży wziął na tapetę najboleśniejszy temat historii Ameryki. Akcję „Django” osadził w 1858 r., dwa lata przed wybuchem wojny secesyjnej, w szczytowej fazie rozkwitu niewolnictwa. Historię uwolnionego niewolnika (Jamie Foxx), który wraz z niemieckim łowcą nagród (Christoph Waltz) zabija złych białych,

WESTERN

„Django”,

reż. Quentin

Tarantino

USA, 2012, 165 min,

dystr. UIP

👍👍👍👍

DRAMAT

„Lincoln”,

reż. Steven

Spielberg

USA, 2012, 150 min,

dystr. Imperial

- Cinepix

👍👍👍

by w końcu wyruszyć po swoją ukochaną (Kerry Washington) trzymaną przez najokrutniejszego plantatora na Południu (Leonardo DiCaprio), opowiedział w konwencji spaghetti westernu, składając hołd swojemu ulubionemu reżyserowi Sergiowi Leone. Musiał wiedzieć, że taki zabieg nie spotka się z aprobatą. „Niewolnictwo to nie był spaghetti western Sergia Leone. To był holokaust. Moi przodkowie byli niewolnikami, porwanymi w Afryce. Czczę ich pamiętać” – wypalił na Twitterze Spike Lee, bez wątpienia najważniejszy czarny reżyser w Hollywood. Twórca „Malcolma X” i „25. godziny” nie po raz pierwszy

zresztą oburza się na Tarantino. Po premierze „Jackie Brown” zarzucał mu, że jako biały stanowczo nadużywa w swoich filmach słowa „czarnuch” i wysługuje się „Murzynem do wynajęcia” – Samuelem L. Jacksonem. 15 lat temu Tarantino odpowiadał, że wyrósł na niskobudżetowych filmach dla czarnej widowni z lat 70., a jego styl jest manifestacją artystycznej wolności. Dziś dodaje, że „nie będzie tracić czasu” na komentowanie słów Lee, który nawet nie widział filmu. My widzieliśmy i wiemy, że atak na „Django” jest całkowicie nietrafiony. Choć utrzymany w absurdalnym, pastiszowym tonie film w żaden sposób nie umniejsza cierpienia czarnych ani nie czyni pamięci o epoce bardziej strawną. Tak jak poprzednie filmy Tarantino „Django” w śmiały sposób testuje granice tabu i dobrego smaku, nie pozostawiając jednak żadnej wątpliwości, że czarnymi charakterami są biali. Mimo to wielu przedstawicieli czarnej społeczności pozostaje nieprzekonanych: „Dlaczego Hollywood nie chce sfinansować realistycznego filmu o zagładzie, jaką było niewolnictwo, a finansuje parodię

na temat niewolnictwa?” – zastanawia się na łamach „Daily Beast” wpływowy komentator Tavis Smiley. Być może nerwy czarnej społeczności, z podejrzliwością traktującej rozrywkowe ujęcie drażliwego tematu, ukołby poważny, historyczny fresk, będący afroamerykańskim odpowiednikiem „Listy Schindlera”? Tak się szczęśliwie składa, że król Hollywood i twórca „Listy...” Steven Spielberg podjął wyzwanie i filmował bestsellerową biografię prezydenta, który zakończył haniebną erę niewoli w Ameryce. Jego „Lincoln” to film, któremu braku powagi zarzucić nie sposób. Zamiast rozróby ukazuje polityczną batalię w Izbie Reprezentantów, którą prezydent Abraham Lincoln (Daniel Day-Lewis) musiał stoczyć z przeciwnikami zmian w konstytucji. Scenariusz Tony’ego Kushnera („Anioły w Ameryce”) oferuje mnóstwo historycznych detali, pokazując, jak stronnicy „uczciwego Abe’a” posługiwali się polityczną korupcją w dobrej sprawie. Spielberg posuwa się zresztą do manipulacji, bo chcąc postawić swojemu bohaterowi filmowy pomnik, przemilcza fakt, że Lincoln nie od początku był za abolicją. Całkowicie ignoruje również wkład Fredericka Douglassa, czarnego działacza, któremu historycy przypisują przekonanie prezydenta. Ostatecznie „Lincoln” okazuje się bardziej filmem o mechanizmach władzy – partyjniactwie, targach, przywództwie – niż o samym znoszeniu niewolnictwa. Tak rozumieją go amerykańscy krytycy, znajdując odniesienia do bieżącej sceny politycznej w Waszyngtonie, gdzie charyzmatyczny prezydent musi rozgrywać dwa radykalnie skłócone obozy. Dzisiejsze analogie wzmacniają szanse „Lincolna” (12 nominacji!) na oscarowe złoto, nie tak bowiem nie działa na Akademię, jak połączenie dobrych intencji, gwiazdorskiej obsady, bogatych dekoracji i patosu. „Django”, z pięcioma nominacjami, nie pozostaje bez szans na nagrodę. Ostateczny wynik poznamy podczas ceremonii 24 lutego, tymczasem nogami zagłusują polscy widzowie: „Django” pojawi się na naszych ekranach już 18 stycznia, zaś Lincoln 1 lutego. 📺

Dorota Chrobak o filmach



MATERIAŁY PRASOWE (3)

reż. Rich Moore

USA, 2012, 101 min,

dystr. Disney

👍👍👍👍

ANIMACJA

Ralph Demolka

Ralph, specjalista od demolki i czarny charakter w grze wideo, pewnego dnia mówi: „Stop!”. W gruncie rzeczy jest miłym, fajnym gościem i ma szczerze dosyć złych emocji, które wywołuje – zarówno wśród innych postaci ze swojej gry, jak i dzieciaków, które w nią grają. Kino rodzinne niemal doskonałe: dla dzieci – mądra opowieść o trudzie budowania prawdziwej przyjaźni, dla oka – oszałamiający, niemal psychodeliczny popis możliwości, jakie daje współczesna animacja, dla dorosłych – wzruszający hołd złożony Pacmanowi i innym arcade games, które pamiętamy z dzieciństwa (ech...). I – co w filmach dla dzieci niezwykle istotne – utrzymana równowaga między formą i treścią. Brawo!



reż. Ben Lewin

USA, 2012, 95 min,

dystr. Imperial

Cinopix

👍👍👍

DRAMAT

Sesje

Oparta na faktach historia cierpiącego na polio dziennikarza i poety Marka O'Briena, który w wieku 38 lat postanowił – z pomocą zawodowej instruktorki – wejść w świat seksu. Czuły i pełen taktu obraz połączenia seksualności z niepełnosprawnością poparty oscarowym koncertem gry aktorskiej w wykonaniu Helen Hunt i Johna Hawkesa. Ale filmowego orgazmu nie przynosi. W dziele tak zdominowanym przez cielesność i fizjologię przydałaby się – dla równowagi – szersza perspektywa czy bardziej uniwersalny (nomen omen) wymiar całej opowieści. A tak otrzymujemy ciepłą, ale w sumie dość oczywistą historię o godności i nieoczekiwanej (oraz nie przez wszystkich chcianej) intymności.

Katarzyna Nowakowska o serialach

## Retro brytole

Dramat kostiumowy to nie moja filiżanka herbaty, ale serialowe podróże w czasie najchętniej odbywam w towarzystwie angielskich dżentelmenów.

Brytol potrafi bowiem sprawić, że kostium nie przyćmiewa dramatu. I do oglądania jest coś więcej niż wystylizowane wnętrza i fetyszystyczne w swej urodzie stroje, co jest moim zdaniem grzechem wielu retroseriali, by wymienić tylko „Mad Menów”.

Wyspiarze wyczuwając koniunkturę, zapoczątkowaną bodaj przez „Downton Abbey”, produkują ostatnio coraz więcej historycznych seriali. Na HBO leci osadzony w czasach I wojny światowej „Koniec defilady” z Benedictem Cumberbatchem w roli głównej (jakim świetnym byłby Sherlockiem, gdyby go nie uwspółcześniać na siłę). TVP1 rozpoczęła emisję „Szpiegów w Warszawie”, których akcja rozgrywa się dla odmiany u progu II wojny światowej, a główną rolę gra David Tennant (ten to się już napodróżował w czasie jako „Doktor Who” – kultowy serial SF można śledzić na BBC Entertainment). Żadna ze stacji (Czy FOX mnie słyszy?) nie zadeklarowała jeszcze, że pokaże drugi sezon „Czasu prawdy” o kulisach telewizji w latach 50. z Benem Whishawem, Dominikiem Westem i Romolą Garai. Aktorka zagrała także w wiktoriańskim romansie na podstawie powieści „Szkarłatny płatek i biały”. Z kolei miłośnicy retrokryminałów w rodzaju kanadyjskiego „Detektywa Murdocha” (Ale Kino+) nie pogardzą zapewne najnowszym hitem BBC One „Ripper Street” – klasycznym proceduralnym serialem policyjnym dla niepoznaki przeniesionym w czasach Kuby Rozpruwacza. Bo kostium to tylko tak dla picu. I o to chodzi.

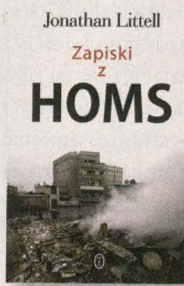




# Pocztówki z miasta rzezi

Jonathan Littell znów szokuje. „Zapiskami z Homs” próbuje wstrząsnąć sumieniem Zachodu, obojętnego na masakry w Syrii.

Amerikanin żydowskiego pochodzenia piszący po francusku, urodzony w Nowym Jorku, wychowany nad Sekwaną, a obecnie mieszkający w Barcelonie. Potomek emigrantów o nazwisku Lidsky, którzy pod koniec XIX w. uciekli z polskich ziem w zaborze rosyjskim przed pogromami po zamachu na cara Aleksandra II. Ten 46-letni kosmopolita jest dziś jedną z najbardziej prominentnych postaci na giełdzie literackiej. Międzynarodową sławę zdobył wydaną przed siedmiu laty monumentalną powieścią „Łaska we”, epopeją II wojny światowej, opowiedzianą z perspektywy Maximiliana Auego, fikcyjnego esesmana służącego



Jonathan Littell  
Zapiski  
z  
**HOMS**  
Wydawnictwo Literackie 2013, 33 zł

w formacjach dokonujących rzezi Żydów, Cyganów, bolszewików i innych wrogów Hitlera. Rozgłos przyniosły mu też naturalistyczne reportaże o Czeczenii i Sudanie, dzieciach porwanych przez Armię Bożego Oporu Josepha Kony'ego w Ugandzie oraz o krwawej wojnie gangów w Ciudad Juárez w Meksyku. Gatunkowy ciężar zła poznawał od środka, nie tylko jako zachodni dziennikarz, otoczony opieką przez ludzi, o których pisał. Littell był na pierwszej linii frontu, pracował w organizacjach humanitarnych pomagających ofiarom konfliktów zbrojnych w Europie i Afryce.

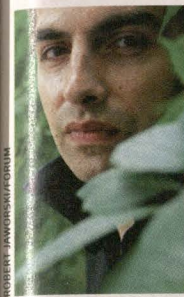
W opublikowanych właśnie nakładem Wydawnictwa Literackiego „Za-

piskach z Homs” podejmuje kolejną próbę zrozumienia świata zdominowanego przez zło totalne. Powiedział, że podczas nielegalnego pobytu w Syrii (Littell przebywał w tytułowym mieście w styczniu ubiegłego roku) zobaczył „przemoc absolutną, codzienną”, która nie oszczędza nikogo. Warto pamiętać, że już po wyjeździe pisarza reżim Assada dokonał kilku makabrycznych pacyfikacji Homs, będącego bastionem rebeliantów.

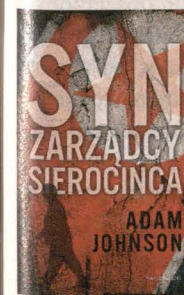
Wojna jest u Littella piekłem, w którego ogniu wszyscy się spalają, choć nie płoną jednakowo. Pisarz się nie autocenzuruje, nie szczędzi czytelnikowi obrazów zbrodni i represji dokonywanych przez reżim, nie przemilcza też okrucieństw obciążających sumienia powstańców, z którymi sympatyzuje. Relacjonuje linę shabihy, członka rządowej, alawickiej milicji, którego dokonali mieszkańcy dzielnicy Homs (ociekające krwią nagie ciało mężczyzny, ze zmiażdżoną głową, obwożono na ciężarówce, wokół której kłębił się tłum krzyczący: „Allah akbar”). Piśmi o zacytowaniu bojowników dżihadyzmem, który tłumaczy wieloletnim zniewoleniem i chytrą propagandą reżimu, manipulującego niewykształconymi masami.

Diagnoza przemocy w „Zapiskach z Homs” jest taka sama, jak w „Łaskawych”. I tu, i tam do erupcji zła doszło w wyniku przekroczenia norm oraz złamania przez totalitarny reżim wszelkich tabu.

Littell jest w swoich diagnozach nie tylko radykalny, ale i bezczelnie autokrytyczny. Twierdzi, że pisanie o wojnie to bułka z masłem. Przebieg konfliktu, akty przemocy mają „z grubsza te same parametry”, relacjonowanie nie jest więc czasochłonne i szybko pozwala na rutynę. Jest w tym kokieteria, ale i sporo prawdy, o czym można się przekonać codziennie, czytając gazetowe newsy. → Cezary Polak



„Wolne”,  
Remigiusz Grzela  
Krytyka Polityczna  
2012, 34,90 zł



„Syn zarządcy  
sierocińca”, Adam  
Johnson,  
tłum. Grażyna  
Smosna, Świat  
Książki, Warszawa  
2013, 39,90 zł

## Wolność jest kobietą

„Przygotowuję się do wywiadów jak do reportażu” – powiedziała Teresa Torañska w kwietniu 2011 r. Remigiuszowi Grzeli. Porwał się on na wywiad z mistrzynią gatunku. A także na rozmowy z Hanną Krall, Julią Hartwig, Agnieszką Holland i innymi silnymi kobietami, którym, wbrew życiowym zawirowaniom, udało się osiągnąć sukces. Tytułowe „wolne” zwyciężyły zawodowo i emocjonalnie. Przewalczyły w sobie wojenne traumy, wspomnienia rodzinnych tragedii, uzależnienia, neurozy. Przetrzywały. Jak Teresa Nawrot, aktorka Jerzego Grotowskiego, która rozbrajająco szczerze opowiada o tyranii i mizoginizmie wielkiego reżysera teatralnego, o samotności w tłumie artystów, o swoim toksycznym związku z Ryszardem Cieślakiem. Jak Alina Świdowska, również aktorka i córka Adiny Błady-Szwajgier, lekarki z warszawskiego getta, która w dorosłym życiu bez przerwy mierzy się z figurą legendarnej matki. A jak z konfrontacji z charyzmą swoich bohaterki wychodzi Grzela? Raczej zwycięsko, również dlatego, że przed „wolnymi” nigdy nie pada na kolana. Jest dociekliwy, taktowny, przygotowany. Zdaje się, że odrobił zadaną mu lekcję. → Hanna Rydlewska

## Reżim wyobrażony

Tytułowy syn zarządcy sierocińca to Puk Chun To, którego dość przypadkowa kariera szpiegowska zaprowadzi aż do Teksasu. Zanim wyjedzie za granicę, będzie pracował jako porywacz ludzi z japońskich i południowokoreańskich plaż, a później agent wywiadu na zrujnowanym kutrze, łowiącym krewetki dla samego Kim Dzong Ila. Brzmi to jak recenzja solidnej literatury faktu, ale „Syn zarządcy sierocińca” autorstwa amerykańskiego pisarza Adama Johnsona to niezwykle wciągająca powieść. Bo choć w Korei Północnej Johnson gościł zaledwie raz, udało mu się sugestywnie skreślić historie zwykłych Koreańczyków. → Marcin Kube

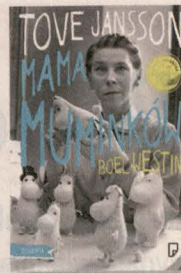
## Pomiędzy biegunami

Wszyscy znamy „Muminki”, lecz nie wszyscy wiemy, że ich autorka była przede wszystkim malarką i graficzką, która z trudem dzieliła czas pomiędzy malowanie i pisanie. I zawsze dla którejś z dziedzin było go za mało. Silna skandynawska osobowość, która kochała swoją rodzinę (podobno to rodzice pisarki, również artyści, byli pierwowzorami Taty i Mamy Muminków), a jednocześnie ciągle miała ochotę



EAST NEWS

uciekać w samotność, zaszyć się na jakiejś bezludnej wyspie u wybrzeży Finlandii. W młodości romansowała z mężczyznami, w drugiej połowie życia zakochała się w innej wyjątkowej kobiecie i związała z nią. Bogato ilustrowana, opatrzona solidnymi przypisami drobiazgową biografia liczy 500 stron. To zachwycające kompendium wiedzy o życiu wybitnej artystki. Główny mankament? Narracyjne mielizny. Na szczęście nieliczne. → Antonina Ulatowska



„Tove Jansson.  
Mama Muminków”,  
Boel Westin,  
tłum. Bogumiła  
Ratajczak, Marginesy  
2012, 49,90 zł

REKLAMA



Prenumerata w [egazety.pl](http://egazety.pl) to:

- najbogatsza oferta na rynku – ponad 370 tytułów
- atrakcyjne ceny
- wygoda korzystania

Zarejestruj się na [www.egazety.pl](http://www.egazety.pl)  
i testuj za darmo.  
Przy większej liczbie prenumerat skontaktuj się  
z [egazety@egazety.pl](mailto:egazety@egazety.pl), ☎ +48 22 379 16 90

PRENUMERATA  
**2013**

**eGazety.pl**  
prasa bez granic



PIOTR MIECZNIKOWSKI

# Wodecki zamiast metalu

Formacja Baaba w towarzystwie Gaby Kulki wydała właśnie świetną EP-kę „Piastelsi”. Przywraca blask zapomnianym polskim piosenkom z lat 60.

Wszystko zaczęło się dwa razy. Pierwszy raz, kiedy warszawska formacja Dzikusy wystąpiła wiosną 1964 r. na giełdzie piosenki w stołecznej kawiarni Domu Mody Polskiej przy ul. Konopnickiej, nazywanej też Piwnicą u Ewy. Drugi, kiedy w roku 2011 zespół Baaba z towarzyszeniem Gaby Kulki i Michała „Bunia” Skroka wykonał „Piastelsów” na festiwalu Niewinni Czarodzieje. Dzikusy nagrały „Piastelsów” specjalnie dla Programu Trzeciego, ale ostatecznie zespół podzielił los większości bigbitowych składów z tamtych czasów i dziś

niewiele o nich wiemy, podobnie jak o grupach Błękitni, Czarne Koty, Kolorowe Koty czy Czerwone Tarcze. Próżno szukać na falach eteru takich hitów jak „Bij komara big-beat” czy „Niefortunny podrywacz”. Ale, wracając do przyszłości, kolejny występ Baaby z Gabą i Buniem, tym razem w Krakowie, zaowocował ideą nagrania tego materiału i wydania go w dwóch najbardziej ulubionych obecnie formatach zespołu, czyli jako MP3 i na winylu. Baaba: „W sumie zrobiliśmy coś bez sensu, wzięliśmy na warsztat numery sprzed 35 lat, zaaranżowaliśmy je wiernie, po czym nagraliśmy jeszcze w technologii z tamtych lat. Nagrywaliśmy u Maćka Cieślaka, w studiu bez komputera – wszystko na taśmę, analogowo, bez większej edycji, instrumenty na setkę, chórki do jednego mikrofonu. Do tłoczni nagranie też trafi na taśmę, z pominięciem komputera”. Każdy, kto

ma świadomość, jak się dziś nagrywa płyty, przyzna, że to mocno niestandardowe podejście. Ale w końcu jaka jest Baaba, każdy wie.

Obok „Piastelsów” zespół nagrał też „Znajdziesz mnie znowu” z repertuaru Zbigniewa Wodeckiego i grupy Partita oraz dwie kompozycje ze znakomitej, całkowicie zapomnianej płyty „Rytmy metalowców”, „Spwotkam ciebie” grupy Stawarsi i „Metalowcy” formacji Porum. Album ten, jak głosi opis, powstał staraniem Związku Zawodowego Metalowców i pewnie dlatego nie sposób znaleźć jakichkolwiek konkretnych informacji o poszczególnych wykonawcach. Wiadomo, jak było, prawda? W repertuarze Baaby „Metalowcy” znaleźli się oczywiście à propos płyty z coverami Iron Maiden. Granie koncertów jako Baaba Kulka w jakimś sensie też miało wpływ na repertuar minialbumu i kształt współpracy między zespołem a zaproszonymi gośćmi. Baaba: „Ponieważ nasz basista Piotr Zabrodzki w pewnym momencie zdecydował, że już nie chce grać Iron Maiden ani innego metalu rycerskiego, te numery po części dały nam pretekst do dalszego wspólnego grania w składzie poszerzonym o Gabrielę i Bunia. Myśleliśmy o wydaniu dwóch singielków, po piosence na stronę, ostatecznie stanęło na EP-ce. Na winylu i w formie plików do ściągnięcia z netu”.

Materiał jest już dostępny jako pliki MP3, winyl pojawi się niebawem. Tymczasem zespół prezentuje go w wersji live: „Gramy zawartość EP-ki, kilka tematów z klasycznych polskich seriali telewizyjnych, numery z płyt Baaby specjalnie zaaranżowane, do tego homeopatyczna dawka Iron Maiden (jeden utwór). Ale lista się zmienia, w Elblągu pojawiła się durowa wersja „Takiego tanga” Budki. Do końca stycznia Baaba, Gaba i Bunio pojawiają się jeszcze w Warszawie, Krakowie, Dębicy i Lublinie. ☞

ANGELIKA KUCIŃSKA

## Artysta nieznany

Największy talent od czasu Jacksona. Tak o nim mówią. I choć ciężko mierzyć się z rewolucyjnym dorobkiem człowieka, który rozgrzył algorytm na przebój, **Abel Tesfaye** znany jako **The Weeknd** już po swoim zmienia muzykę i rynek fonograficzny.

Po pierwsze – z czym kojarzy się r'n'b? Wróc. Nieważne z czym, bo Tesfaye za nic ma utarte schematy i przeciąga gatunek na ciemną stronę mocy. W dekadencjach tekstach o autodestrukcji i nielegalnych przyjemnościach jest nieprzyzwoicie szczery. Ale to jedyny moment, kiedy mówi za dużo. Nie udziela wywiadów, a z fanami i mediami komunikuje się wyłącznie przez lakoniczne posty na Twitterze. I dopiero w ubiegłym roku pojechał w pierwszą regularną trasę koncertową, bo wcześniej na scenę wychodził jedynie sporadycznie.

Wiadomo o nim niewiele. Ma 23 lata, pochodzi z Kanady i podobno zanim zaczął robić muzykę, pracował w odzieżowej sieciówce. Dwa lata temu opublikował pierwsze nagrania jako The Weeknd, prowokując zamieszanie wśród blogerów i w redakcji „New York Timesa”. Wtedy jesz-

cze współpracował z producentem Jeremym Rose'em – rozstali się w niewyjaśnionych okolicznościach. I nawet gdy Rose opowiadał później, że pomysłu na posępne, hipnotyczne r'n'b był jego, a za swoją pracę nie dostał nawet centa, Tesfaye milczał. Składające się na wydany właśnie w Polsce album „Trilogy” płyty rozdał za darmo. Jedną z części pobrało 8 mln osób, a strategię Tesfaye uznano za świadectwo progresywnego myślenia o przemyśle muzycznym. Bo zarobił, nie sprzedając nawet pół piosenki. Wytwórnie były się o kontrakt, promotorzy proponowali koncerty za kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Dziś nagrywa z Drakiem i remiksuje Lady GaGę. Mimo sukcesu wciąż pozostaje

programowo enigmatyczny. I nawet jeśli to tylko marketingowa strategia, w tym milczeniu jest metoda. W końcu w dwa lata wydał trzy zjawiskowo świetne płyty. Trzeba więcej? ☞



Płyty ocenia Angelika Kucińska

FOLK

### Odkrywanie Ameryki

Wygląda, jakby pół życia przeżył w podrzędnych amerykańskich knajpach. Ale za poważną brodą i zagranicznym pseudonimem ukrywa się Piotr Brzeziński, młody songwriter z niewielkiego Wołowa.

I z Wołowa do Minnesoty okazuje się być zaskakująco blisko. Pełnometrażowy debiut Brzezińskiego aka Petera Johna Bircha brzmi skrajnie amerykańsko. To recykling muzycznej tradycji, klasycznego folku i alternatywnego country, kluczowych płyt Boba Dylana i Neila Younga przefiltrowanych przez muzykę bardów młodszego pokolenia, Bonniego „Prince'a” Billy'ego czy Justina Vernoma. Brzeziński, mimo młodego wieku i ograniczonego doświadczenia, sprawnie i konsekwentnie porusza się w ramach obranej estetyki. Zarówno na poziomie oszczędnego brzmienia, jak i udanych, przemysłowych kompozycji. Czuję folk, ma go w genach. Nieślubne dziecko Dylana i Joni Mitchell?



Peter John Birch, „When the Sun's Risin' Over the Town”, Borówka Music ☞☞☞☞

ALTERNATYWA

### Flegma roku

Mogliby wreszcie nagrać coś słabego. To irytujące, że Yo La Tengo wszystko wychodzi. Irytujące i imponujące jednocześnie. Bo przez niemal 30 lat obecności na scenie nagrywali i płyty hałaśliwe, i smutne, i eksperymentalne, i przebojowe. Za każdym razem z tak samo znakomitą efektem.

„Fade”, 13. płyta Amerykanów, to ich mistrzostwo świata w kategorii plastycznych aranżacji i ładnych piosenek. Cudowna flegma sentymentalnych gitar. Rozmyte, z premedytacją filigranowe brzmienie skonfrontowane z angażującymi, błyskotliwymi melodiami. Niewymuszone, proste teksty („Prawie każdego dnia robię się mądrzejszy”). Konkurencji będzie głupio, jeśli się okaże, że płyta roku wyszła już w styczniu.



Yo La Tengo, „Fade”, Matador ☞☞☞☞☞



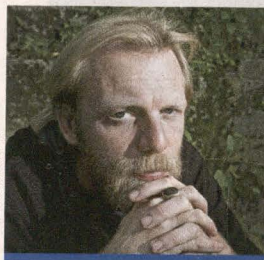


Max Cegielski

## I ty zostaniesz starcem

Starość zaczyna się wtedy, kiedy zaczynamy dociekać: „O co chodzi młodzieży?”. Przedtem sami nią jesteśmy i nie zadajemy głupich pytań. Jeśli nie mamy pod ręką w domu dorastającego nastolatka, produkcji własnej, którego moglibyśmy zaciągnąć pod mikroskop, pytanie doskwiera bardziej, choć staje się też retoryczne. Po przejściu do starszaków nikogo tak naprawdę nie interesuje, co sądzą młodzi, ale warto się trochę poużalać, pomarudzić, powiedzieć „za moich czasów”, „kiedy ja byłem w tym wieku” albo nawet „za Piłsudskiego...”. Gdyby ktoś na serio zapytał: „O co im chodzi?”, musiałby rozbić namiot antropologa pośród dzikich plemion gimbazy. Niestety, nie da się, ponieważ młodzież nie wpuszcza w swoje zakłętą rewiry, jest lepsza od ochroniarzy w selekcji na bramce. Agencjom badania rynku odmawia odpowiedzi na „ankietę, która zajmie ci tylko kilka minut”, tak jak my, albo co gorsza z nudów klika i robi sobie potem jaja, psując obrazy społeczeństwa. Nawet jeśli się uda wejść w bliski kontakt trzeciego stopnia z „egzemplifikacją” zjawiska, to fizyka kwantowa rozciąga swoje zasady także na rojowiska atomów w wieku od 18. do 30. roku życia. Wtedy zaś, zgodnie z zasadą nieoznaczoności Heisenberga (czytelnik wzdycha, ponieważ na fejsiku takich słów się nie używa, ale na wiki jest prosty opis), obiekt zmienia się w trakcie badania. Pozuje do zdjęcia i grymasi albo wychodzi z kadru i ostrości. W Paryżu A.D. 1968 nie ufano nikomu po czterdziestce, ja kiedyś nie wierzyłem nikomu po trzydziestce, dziś lepiej nie ufać nikomu, a szczególnie dziennikarzom.

Aby nie popaść w problemy bohaterów Houellebecqa, pozostaje czytanie komentarzy w necie. Doświadczeni (a więc starzy) krytycy ze zrozumieniem usiłują podejść do filmu „Bejbi Blues”, ale wychodzi im jak w „Gazecie Wyborczej”, że „prawda psychologiczna została poświęcona dla mocnego efektu, a nastolatki traktowane są jak eksponaty w gabinecie osobliwości”. Jednak na YouTube i Facebooku, gdzie przecież toczy się „prawdziwe życie” (bo ono jest zawsze „gdzie indziej”), najwyraźniej tak właśnie chcą być traktowani. Poprzedni film reżyserki Katarzyny Rosłaniec, „Galerianki”, obejrza-



MARCIN KALINSKI/PAP

**Na miejscu pokolenia „bejbi blues” nie wychodziłbym z domu i fejsika, a jeśli już, to tylko po to, żeby kupić jakieś dragi i potaćzyć.**

Autor jest dziennikarzem i pisarzem. Ostatnio opublikował „Mozajkę. Śladami Rechowiczów”.

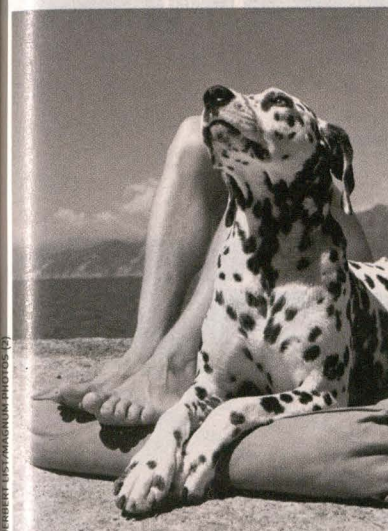
ło za darmo w sieci prawie milion widzów. To oznacza zresztą, że oprócz oficjalnego box office, w kinie trzeba by też tworzyć statystykę piracką, co mocno zmieniłoby rankingi. Na „Bejbi Blues” w pierwszy weekend pokazów zapłaciło za drogie bilety 130 tys. nastolatków. Niektórzy musieli iść z rodzicami, bo w Internecie w wielu wpisach ubolewają, że seanse są dozwolone dla „15+”. Rodzicom współczuję, ale przypominam, że nasi też mieli ciężko z nami.

Widzowie, nawet jeśli potem napiszą, zgadzając się z profesjonalnymi krytykami, że to gniot, zdecydowali się pójść, ponieważ jest tam coś o nich. Nie ma znaczenia, czy prawdziwie, czy nie, ale zgodnie z postulatem wyrażonym farbą w sprayu: „Zejdziemy z murów, gdy wejdziemy na anteny”. Pamiętam, jak w 1996 r. Władysław Pasikowski pokazał „Słodko-gorzki”, o ówczesnej młodzieży maturalnej. Zęby bolały, ale tłumy oglądały. Zaraz potem do kin wszedł amerykański film „Kids”, w którym debiutantom i naturaszczekom pozwolono po prostu robić i gadać, co chcą. Były skandal i afera, a film zarobił 20 razy więcej, niż kosztował. Ja oglądałem go w Polsce zafascynowany i przerażony, że przecież przed chwilą byłem taki jak bohaterowie.

Rynek pracy, a za nim media, już roztrąbiły, że cały przedział 18–30 to stracone pokolenie. Od Ameryki po Polskę mogą liczyć tylko na to, że ich status życiowy pogorszy się, a nie polepszy. Wcześniej spece od rozwoju gospodarczego twierdzili, że będzie coraz lepiej i należy marzyć, najlepiej o coraz większej furze, żeby stymulować wzrost. A tu figa. Skejtowskiej czapeczki nie zamienimy na żadną inną, nawet jak wyrośniemy, bo nie będzie hajsu. Ja na miejscu pokolenia „bejbi blues” nie wychodziłbym z domu i fejsika, a jeśli już, to tylko po to, żeby kupić jakieś dragi i potaćzyć. Zresztą ja w ich wieku, choć byłem bardzo zajęty budowaniem nowego polskiego kapitalizmu, pracowałem też tylko po to, żeby się zabawić. Ponieważ się zestarzałem i nie to zdrowie, dlatego teraz koncypuję: „O co chodzi młodzieży?”. Was też to czeka! ☺

KUBA DĄBROWSKI

## Zawodowa higiena



Herbert List – fotograf, który zawojował artystyczny świat zdjęciami z wakacji.

Hamburg, rok 1936. Herbert List ma 33 lata, wie dzie przyjemne życie intelektualisty, któremu się powiodło. Skończył literaturę i historię sztuki na uniwersytecie w Heidelbergu, pracuje w należącej do jego rodziny firmie importującej kawę, w związku z pracą dużo podróżuje – Brazylia, Gwatemala, Portoryko... Podczas podróży fotografuje. Nie są to zwykłe pamiątki z delegacji, List jest dosyć poważnym fotografem. Obraca się w kręgach artystycznej bohemy, trzyma rękę na pulsie rodzących się co chwila nowych ruchów i nurtów. Jego zdjęcia to utrzymane w bauhausowskim duchu wystudiowane martwe natury i męskie akty. List jest gejem i wcale się z tym nie kryje. Jego



odbitki można oglądać na zbiorowych wystawach, są szanowane w środowisku, ale fotograf nawet nie myśli o zostaniu zawodowcem. Praca i sztuka to dwa oddzielne obszary życia i jest to dla niego bardzo ważne, bo dzięki temu nie musi iść na kompromisy.

Rok 1936 to nie jest dla takich jak Herbert List dobry czas. Kolejni przyjaciele zaczynają znikać – niektórzy za granicą, inni za więziennymi murami. List – syn burżuazyjnej rodziny, artysta i homo-

Kuba Dąbrowski co tydzień pisze o rzeczach, które mogłyby być uznane za sztukę, ale są też częścią codzienności. O zdjęciach, plakatach, reklamach, okładkach książek i płyt, logotypach.

seksualista – wie, że jest następny w kolejce. Kiedy dostaje wezwanie do stawienia się na posterunku gestapo, pakuje się i wyjeżdża do Francji. Z jego społeczną pozycją nie może pozwolić sobie na typową emigrancką pracę, oszczędności są spore, ale nie na tyle, żeby nic nie robić. Dzięki znajomościom w artystycznej międzynarodówce Niemiec szybko trafia do paryskiego środowiska fotografów mody. Jego protektorem (nie wiadomo, czy do końca bezinteresownym) staje się legenda dziedziny – George Hoyningen-Huene. Udaje mu się załatwić imigrantomu zlecenie z samego „Harpers Bazaar”!

List, który wcześniej nie pracował pod nadzorem, nie lubi zleceń z redakcji, czuje się ograniczony wymaganiami dyrektorów artystycznych i stylistek. Stara się utrzymać wcześniejszy higieniczny podział na pracę zarobkową i twórczość własną. Podczas wyjazdów na sesje zdjęciowe i zwykłych wyjazdów rekreacyjnych dla odreagowania fotografuje swoje eleganckie codzienne życie. Nogi kochanka, rzucone na kawiarzianym stole przeciwśoneczne okulary, rower, światło na popielniczce, greckie i włoskie krajobrazy. To zwykle „migawkowe” zdjęcia, ale zrobione z kunsztem i wyczuciem. Wychowany na bauhausowskich formach List bez trudu zauważa geometrię w zastanej rzeczywistości, bez stylizowania zamyka ją w wysmakowane kompozycje. Nieświadomie tworzy dokument o pięknym świecie, który za chwilę zniknie. Prywatne kadry List wystawia w galeriach i publikuje (bardziej pejzaże niż zdjęcia kochanków) w otwartych na wizualne narracje magazynach, jak np. „Life”. Zdjęcia mody przynoszą mu pieniądze na życie, robione bez zleceń zdjęcia prywatnego życia przynoszą mu artystyczną sławę i wpływają na fotografię mody, którą będzie się uprawiać w latach 80. ☺



AGATA NAPIÓRSKA I MARTA MACH, ZDJĘCIA FRANCISZEK BUCHNER

## Stąd do wieczności: jak dziś zegnamy bliskich

W średniej wielkości polskim mieście znajduje się mniej więcej pięć **zakładów pogrzebowych**. W Warszawie ponad 50. Odwiedziliśmy dwa – obydwa to rodzinne biznesy, jeden z bardzo długą przedwojenną tradycją, drugi powstał w latach 80.



**F**irmę Koperski założył w 1937 r. mistrz stolarski Władysław Koperski. Jego zakład zajmował się produkcją trumien. Przetrwiał II wojnę światową i trudne powojenne zmiany systemowe. Władysław Koperski wraz z żoną Heleną, myśląc o przyszłości firmy, przekazali tajniki zawodu siedmiorgu dzieciom. Zasługą wieloletniej pracy ojca było wykształcenie na mistrza stolarskiego syna Łukasza, rocznik 1960. Łukasz i jego żona Janina znacznie poszerzyli usługi firmy: dziś zajmują się nie tylko produkcją trumien, ale także usługami prosektoryjnymi i pogrzebowymi, kremacją i usługami cmentarnymi, czyli całościową obsługą pogrzebu. Koperscy są jedynymi w Warszawie posiadaczami pogrzebowego jaguara. Dwa lata temu zaprosili do spółki synów Błażeja i Wiktora.

### Niemcy kupują u nas trumny

Łukasz Koperski traktuje swoją pracę jak pasję i stale poszerza wiedzę zarówno na temat historii tradycji pogrzebowych, jak i nowinek w branży. – Okres PRL bardzo naszą działalność zaha-

mował – mówi z żalem i odwołuje się do wspaniałej tradycji przedwojennej. Wówczas tradycyjnie trumniarz odwiedzał zmarłego w domu, zdejmował miarę i wykonywał trumnę tak, jak krawiec ubranie, a szewc buty. Trumny przedwojenne to były prawdziwe dzieła sztuki – rzemiosło kwitło. W PRL-u trumniarz nie mógł otworzyć przedsiębiorstwa kompleksowo obsługującego pogrzeby. Tym zajmowały się zakłady komunalne. Pogrzeby były skromne, bo nie było rozwiniętego rynku. O prawdziwych czy nawet sztucznych kwiatach można było pomarzyć. Pan Łukasz wspomina okropne metalowe wieńce popularne w czasach jego dzieciństwa.

Dziś polska branża funeralna, ku radości pana Łukasza, jest jedną z najlepiej rozwiniętych w Europie. – Szybko nadgoniliśmy stracone lata – mówi. – Przed nami są tylko Włosi i Niemcy, ale Niemcy i tak trumny kupują w Polsce. Pan Łukasz cieszy się, że znowu pochówkowi poświęca się dużo czasu, a zmarłemu oddaje się należyty szacunek. Wracamy do podejścia sprzed wojny. Trumien na miarę wprowadzie się już nie robi, chyba że zmarły jest wyjątkowo wysoki lub bardzo otyły, ale są znowu środki i możliwości, by bliskiego pożegnać w należyty sposób.

Dom Pogrzebowy Gójscy S.C. w rodzinnej firmie został przekształcony z by-



łego zakładu pogrzebowego Charon, który Marek Gójski z kolegą założyli w 1987 r. Wcześniej pan Marek (z wykształcenia technolog chemiczny) pracował jako przedstawiciel handlowy – pomagał krewnemu sprzedawać trumny. Można więc powiedzieć, że biznes pogrzebowy zna od podszewki. Firma Gójskich nie jest duża, mają zaufanych współpracowników – grabarzy i murarzy, kilku specjalistów konduktowych noszących trumny. Tanatopraksją i tanatocosmetyką zajmuje się sam pan Marek. Na specjalistyczny kurs w Gorzowie Wielkopolskim wysłał też dwóch pracowników.

– Ciała z reguły trafiają do nas najpóźniej kilka dni od zgonu, nie jest

Polska jest potentatem w produkcji trumien, a nasza branża funeralna święci triumfy w Europie. Trumny kupują u nas m.in. Niemcy.

więc potrzebna skomplikowana tanatopraksja, która polega na wstrzykiwaniu do żył soli eliminujących bakterie odpowiedzialne za procesy gnilne. Wykonuje się jedynie delikatny makijaż. W wielu przypadkach zmarły wygląda lepiej niż przed śmiercią – mówi pan Marek.

Nie jest to widzimisię rodzin, które powierzą domom pogrzebowym swoich bliskich. Przed śmiercią, zwłaszcza tą wskutek choroby, rzadko kto wygląda dobrze. – Staramy się sprawić, żeby rodzina, która przyjedzie na pogrzeb, zachowała w pamięci dobry obraz zmarłego. Podczas modlitw żałobnych wciąż bardzo często zostawia się trumnę otwartą – mówi Gójski.

Gójscy są pierwszymi w Polsce producentami ekologicznych trumien kremacyjnych. Urn jest do koloru, do wyboru – państwo Gójscy mają katalog i kilka wzorcowych modeli w gablocie. Wykonane są z kamienia, mosiądzu, ceramiki lub szkła, przeznaczone do kolumbariów i rodzinnych grobowców. Pan Gójski pokazuje nowoczesną urnę z podświetlanym serduszkim.

Są też relikwiarze. Można nabyć relikwiarz w postaci skórzanego pudełka, które stawia się na półce jak ramkę do zdjęć w chwilach szczególnie zasługujących na pamięć o zmarłym – na przykład w dniu rocznicy jego śmierci czy urodzin. Wewnątrz relikwiarza można umieścić garstkę prochów zmarłego, kępkę jego włosów lub inną pamiątkę, dajmy na to – biżuterię. Inny rodzaj relikwiarza to po prostu miniaturka urny. Potrzebne są specjalne zezwolenia, aby rozdzielić prochy po kremacji, dlatego generalnie się tego nie robi.

### Trumny zamawiam od dziecka

– Moda na kremację w Polsce wybuchła w latach 90. – mówi Łukasz Koperski. – Dziś stanowią 15–20 proc. wszystkich pogrzebów. To sporo, bo Kościół katolicki nie zajął jasnego stanowiska w tej sprawie. Wedle ostatnich decyzji Watykanu, jeśli katolik zdecyduje się skremować ciało bliskiego, powinien to zrobić po nabożeństwie pogrzebowym. Z kościoła należy wynieść trumnę z ciałem, dopiero potem może nastąpić kremacja, a następnie pochówek. – Klienci rzadko decydują się na taką kolejność – przywołuje swoje doświadczenia pan Łukasz. W domu pogrzebowym, którym zarządza, przygotowywane są pochówki dla przedstawicieli różnych





wyznań. – Żydzi i muzułmanie mają w swoich społecznościach specjalne zakłady. My dość często organizujemy pogrzeby w obrządku prawosławnym, pogrzeby dla świadków Jehowy. Coraz częściej zdarzają się pochówki ateistyczne – opowiada pan Łukasz.

Dziś w firmie Gójscy S.C. pracuje cała rodzina – żona Maja oraz córka Dominika, z wykształcenia anglistka. Dzięki jej pomocy firma obsługuje zagranicznych klientów. Dominika właściwie wychowała się w zakładzie pogrzebowym. – Od dziecka słuchała, jak zamawiam trumny, w domu otwarcie się rozmawiało o organizacji pogrzebów – twierdzi pan Marek.

Wiktor Koperski ma 22 lata. Pomaga w rodzinnym interesie od dzieciństwa. – Firma jest całym życiem mojej rodziny, a my, chcąc nie chcąc, wychowywaliśmy się w niej. Od najmłodszych lat uczę się

Zakłady pogrzebowe to dziś najczęściej firmy rodzinne. Z Gójskimi współpracuje kilku zaufanych grabarzy, murarzy i specjalistów konduktowych.



i pomagam rodzicom. W wieku 16 lat zacząłem pracować przy pogrzebach, potem ojciec uczył mnie stolarstwa, bo widział, że lubię pracę w warsztacie. Dziś większość czasu spędzam właśnie w stolarni – tłumaczy Wiktor.

Jego drugą pasją jest muzyka, którą odziedziczył po ojcu grywającym na akordeonie. Gra na gitarze i instrumentach klawiszowych w zespole Brenda Walsh, który wydał debiutancką płytę „Many Faces of Brenda Walsh”. – Kiedy wydaliśmy pierwszy album, zdałem sobie sprawę, że muzyka, obok pracy w firmie rodziców, będzie ważną częścią mojego życia. Zająłem się kompozycją większości numerów, realizacją dźwięku i produkcją płyty. Przez to wszystko nie zaliczyłem sesji.

Wiktor, tak jak brat, studiował psychologię, a wcześniej reżyserię dźwięku. Na skończenie studiów przy natłoku obowiązków nie starczyło mu czasu, ale nie wyklucza rozpoczęcia kolejnego kierunku w przyszłości. Na razie skupia się na trumniarstwie i zespole. Zapytany, gdzie widzi siebie za 10 lat, bez namysłu odpowiada, że w firmie rodziców. W dobrze skrojonym garniturze.

Choć Wiktor wychował się wśród trumien, a w pogrzebie uczestniczy kilka razy w miesiącu, praca nie przestaje go zaskakiwać. – Zadziwia mnie, co bliscy wkładają zmarłym do trumien. Zdarzają się starsze osoby chowane z pilotem od telewizora. Kiedyś wnuk wręczył nam również w tym celu gameboya, na którym babcia grała ostatnie tygodnie w szpitalu – mówi.

Podobne historie przytacza Marek Gójski: – Ludzie proszą, żeby bliskim włożyć do trumny papierosy, alkohol. Najdziwniejsza prośba? Telefon komórkowy. Zgodziłem się, ale bateria została wyjęta z telefonu i włożona do trumny osobno. Co by było, gdyby telefon zaczął dzwonić podczas pochówku? – pyta.

### Profesjonalizm nade wszystko

Oswojenie z tematem śmierci nie chroni jednak ludzi pracujących w przemyśle pogrzebowym od wzruszeń. – Pamiętam pogrzeb, na którym na cmentarzu

grał kobziarz. Płacz uwiązał mi w gardle – takie to było piękne i wznieście. A kiedy chowaliśmy młodego człowieka, fana muzyki reggae, rodzina poprosiła mnie o przygotowanie składanki największych hitów tego nurtu muzyki na pożegnanie do kaplicy. Dla mnie to było silne przeżycie, bo sam kiedyś nosiłem dredy i słuchałem Boba Marleya – mówi Wiktor Koperski.

Muzyka jest zawsze wcześniej przygotowywana. Najczęściej odtwarza się trąbkę, potem „Ave Maria”. – No, chyba że ktoś sobie życzy naturalną, to oczywiście może być trębacz – komentuje Gójski. Dowolnie wybraną muzykę można puścić na cmentarzu komunalnym, trudniej o to na cmentarzach parafialnych – tam obowiązują zasady Kościoła katolickiego, z pieśniami religijnymi włącznie.

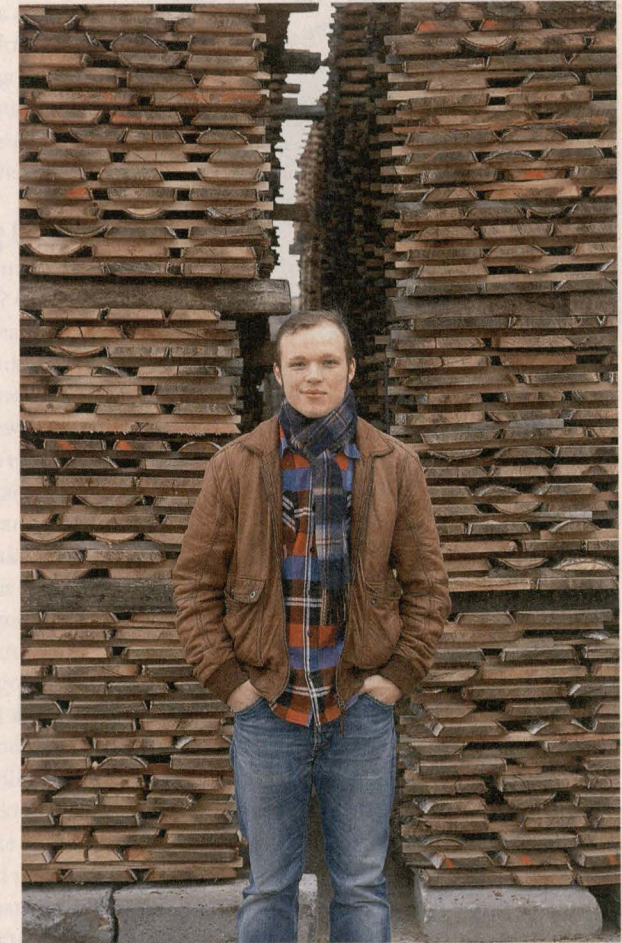
W domu pogrzebowym szanuje się wszystkie prośby rodziny zmarłego. Nawet jeśli zmarłym jest zwierzę. – Pani, dla której członka rodziny wykonałem trumne, wróciła do mnie po miniaturkę tamtej dla swojego psa. Zlecenie oczywiście wykonałem, zachowując wszystkie szczegóły od rodzaju drewna, po kształt poduszki w środku – relacjonuje pan Wiktor.

Ważny jest profesjonalizm – dzisiaj sprawy pogrzebu oddaje się w pełni w ręce specjalistów, rodzina już nawet nie kupuje kwiatów, bo to ma być czas na przemyslenia.

Gójscy niedawno zakupili historyczny obiekt stacji kolei PKP Wawer, który został zaadaptowany na potrzeby ich domu pogrzebowego. Zamierzają jako jedni z pierwszych w Polsce połączyć funkcję domu pogrzebowego z gastronomią i hotelem. – Wszystko po to, aby pogrążona w smutku rodzina zmarłego mogła spokojnie pozostawić sprawy uroczystości w naszych rękach – mówi Gójski.

Polacy do śmierci i spraw z nią związanych mają skrajne podejście. Gdy Gójscy zakupili nowy obiekt, natychmiast zjawiła się mieszkająca w sąsiedztwie starsza kobieta, aby wyrazić swoje niezadowolone. – Mój wnuczek tędy chodzi do szkoły – narzekała na bliskie położenie zakładu pogrzebowego. Z drugiej strony do pochówku ludzie przygotowują się często za życia – oszczędzają pieniądze na pogrzeb i nagrobek. Sami wybierają trumny i ubranie, w którym chcą zostać pochowani.

Autorki prowadzą magazyn [www.zwyklyzycie.pl](http://www.zwyklyzycie.pl).



Wiktor Koperski stolarstwa uczył ojciec. Jego drugą pasją jest muzyka. Choć wychował się wśród trumien, a w pogrzebach uczestniczy kilka razy w miesiącu, praca nie przestaje go zaskakiwać.







AGA KOZAK

# Rosół. Lek na całe zło

W powieści „Opium w rosole” Małgorzaty Musierowicz symbolizował rodzinę i jej rozgrzewające ciepło. W „Homeland”, serialowym hicie o CIA, podawany przez przełożonego chorej agentce – najwyższą formę oddania, troski i uznania. **Dla większości oznacza niedzielę.** Dla niektórych, jak dla mnie, głównie lekarstwo na wszelkie dolegliwości – od kataru po kaca. Rosół.

**N**ie będzie zaskoczeniem, jeśli powiem, że rosół robi u nas babcia – opowiada Klaudyna Hebda, autorka bloga Ziółowy Zakątek. – W dużej mierze dlatego, że dziadkowie wciąż sami hodują kury, kaczkę, króliki. Babcia może zrobić rosół praktycznie ze wszystkiego (poza resztkami mięsa wyjadamy na zimno z chlebem, babcia dodaje je do galaretki mięsnej albo po prostu podsmaża), jednak twierdzi, że np. dodanie skrzydełka kaczki do rosółu z kury bardzo podbija smak. Do tego warzywa z ogrodu (dużo lubczyku, mimo że wiem, iż nie każdy za nim przepada), robiony w domu makaron i zjada się taką zupę z przyjemnością! Ja mogę ją jeść „do oporu”, chociaż małe porcje – przyznaje blogerka.

## Prawda o polskim rosolu

Czym on właściwie jest? Niezależnie od nazwy – to właśnie odróżnia go od innych – zupa na wywarze mięsno-warzywnym gotowaną na mięsie wołowym, drobiowym lub baranim, podawaną najczęściej z makaronem, czasem z ziemniakami, a na Śląsku Cieszyńskim z kluskami wątrobianymi. A czym różni się od bu-

Wbrew potocznym przekonaniom rosół nie jest naszym narodowym daniem. Francuzi mają swoje consommé, Włosi brodetto, Anglicy broth, Amerykanie chicken soup, a Azjaci aromatyczną zupę pho.

lionu (nie mówiąc już o consommé i wywarze)? Współczesne „normy” objaśnia Hebda. – Faktycznie, często nie do końca jasna jest różnica pomiędzy bulionem (skoncentrowanym rosolem, często doprowadzonym do postaci żelu) a rosolem (lekkim, teoretycznie klarownym i przejrzystym). Na punkcie jego przejrzystości szczególną obsesję wydają się mieć autorzy amerykańskich przepisów, którzy szumują rosół właściwie od początku zagotowania (ja nie jestem aż tak pieczołowita) – śmieje się autorka Ziółowego Zakątka. Z kolei Lucyna Ćwierczakiewiczowa pisała w 1860 r.: „Dziś nauka poszła dalej, bo i szumowania rosółu zaniechano: szumowiny same opadają na spód”. Ciężko dojść z tym wszystkim do porządku – i z szumowaniem, i rozróżnianiem bulionu oraz rosółu, bo współczesne standardy są dokładnie odwrotne niż te, które obowiązywały sto lat temu. Na początku XIX w. rosół był bowiem wywarem, który gotowało się długo i który stawał się gęsty, bulion natomiast był lekkim wywarem, czyli dzisiejszym rosolem.

Buliony – te według dzisiejszej nomenklatury – to podstawa innych zup:

zaczynając od rosółu, a kończąc na klasycznej pomidorowej. – Robię bulion raz na długi czas i go zamrażam – opowiada Hebda. I daje jeszcze jedną złotą radę: – Kiedy przygotowujemy bulion, ważne jest, żeby użyć sporej ilości elementów żelujących i kości. Dobrze jest gotować go np. z kurzymi łapkami. W Chinach do rosółu dodają bardzo pożywną głowę kury. Dodatkowo grzebień drobiowy ma szczególnie dużo żelatyny. Będę jednak szczera: z głową kury bulionu nie gotowałam – przyznaje Hebda. I dodaje, że wywary rybne również nie weszły do jej domowego menu. – W mojej rodzinie nikt by się nie skusił, dlatego czasem dodaję do gotowego rosółu czy bulionu troszkę sosu rybnego lub sosu Worcestershire, tak dla smaku, zamiast tradycyjnej maggi – śmieje się blogerka. Ostatnio przygotowała też bulion z kaczki po azjatycku z dodatkiem trawy cytrynowej i imbiru. Rosół czy bulion nie są bowiem specjalnością polską: francuskie consommé, włoskie brodetto, angielski broth, amerykański chicken soup czy wszelkie azjatyckie mutacje – również wegańskie! – zupy pho dowodzą, że

z różnymi przyprawami i dodatkami (od obowiązkowej w Polsce opalanej nad ogniem cebuli i zestawów włoszczyzny, przez egzotyczne kielki, surowe jajko, parmezan czy gwiazdki anyżu) sprawdza się pod każdą szerokością geograficzną.

## Cztery i pół godziny gotowania

nigdzie tak naprawdę nie wiadomo, czy rosół to zupa do wykonania prosta, czy skomplikowana. Wydawałoby się, że to żadna filozofia: wkłada się mięso do wody i czeka, aż się zrobi. Trochę jak osławioną, wyklętą kostkę rosółową. – Wydaje mi się, że wiele osób boi się jednak jego przygotowania, może ze względu na to, że niby robi się sam, ale dochodzi przez kilka godzin – komentuje Hebda. – Ja staram się za bardzo nie przejmować rosolem: kiedy już go robię, szumuję kilka razy, potem gotuję długo, na wolnym ogniu – trzeba mieć jednak parę godzin wolnego czasu, żeby go doglądać – przyznaje. Ten czas gotowania bardzo liczy się też w klasycznych polskich przepisach: „Aby mieć rosół na stół pański doskonały, trzeba go ośm godzin gotować, wtedy i mięso będzie kuche...” – pisała Nakwaska w drugim tomie „Dworu wiejskiego”, a Ćwierczakiewiczowa (u której rosół to pierwszy przepis w całej książce, przed bulionem i consommé) pisze, że robi się go „4 do 4 i pół godzin”. Obie publikacje (blogerzy o tym nie wspominają) jako idealne naczynie do gotowania wymieniają gliniany garnek. No i kluczowa sprawa, zarówno kiedyś, jak i dziś: w tak „czystej” zupie, jaką jest rosół, nie ma miejsca na gorszej jakości składniki. Potwierdza to Hebda. – Rosół jako wywar z kości i mięsa jest po prostu bez smaku, jeśli robi się go na kurczaku z marketu (a wiem, bo próbowałam się takim kiedyś „podleczyć”, uratowały go tylko przyprawy). Nie bez znaczenia jest to, że do rosółu używa się (przynajmniej u nas) głównie kur: wiadomo, mięso kury, zwłaszcza takiej, która ma rozwinięte mięśnie od biegania po polu i ma kilka lat, nie jest tak sprężyste i miękkie jak mięso kurczaka. Nadaje się w sam raz do rosółu. Choć w niektórych domach akurat ta zasada

**Żeby ugotować pyszny rosół, trzeba postawić na pierwszorzędne składniki. Nawet jeśli dołożymy starań przy gotowaniu, a do garnka wrzucimy kurczaka z supermarketu, efekt będzie mizerny.**

nie jest honorowana i niedzielna zupa to od razu podstawa drugiego dania: kawałki mięsa z rosółu (często specjalnie po to dorzucana do gotowania wołowina) podawane są w postaci polskiej odmiany pot au feu, w sosie chrzanowym lub rozmaitych potrawkach.

## Czy on naprawdę leczy?

A jak to jest z tym prozdrowotnym działaniem rosółu? Czy naprawdę jest to cudowny eliksir, naturalny antybiotyk, lek na całe zło? Naukowcy z Uniwersytetu w Nebrasce dowiedli, że ukochana zupa Polaków naprawdę ma właściwości lecznicze. Badania wykazały, że wywar drobiowy ma umiarkowane działanie przeciwzapalne: hamuje niekorzystne zjawiska chemotaksji neutrofilii, czyli po prostu skraca czas trwania przeziębienia. Łagodzi też objawy infekcji: skutecznie nawilża śluzówki w nosie, łagodzi katar i kaszel, a para z gorącej zupy oraz zawarty w niej tłuszcz podobno działają genialnie na podrażnione gardło. Z kolei zdaniem kanadyjskich uczonych rosół przyczynia się także do wzrostu serotoniny we krwi, czyli poprawia samopoczucie. Japońscy naukowcy odkryli, że rosół na mięsie z kury może zapobiegać nadciśnieniu, a nawet wspomagać jego leczenie. Zawarty w nim kolagen, pochodzący głównie ze wspomnianych przez Klaudynę Hebdę nówek, przeciwdziała zwężaniu tętnic. W rosolu roi się również od minerałów: potas (reguluje gospodarkę wodną i ciśnienie krwi) oraz fosfor, wapń i magnez (niezbędne dla kości i zębów, serca, nerek czy układu nerwowego). Są też w nim: żelazo, witaminy E, A i beta-karoten (silne antyoksydanty zwalczające wolne rodniki). No i pełnowartościowe białko – może dlatego regeneruje też tych, którzy leczą się z kaca. – Nie lubię używać angielskich słów, kiedy to nie jest potrzebne, jednak teraz zrobię wyjątek – oświadcza mi lecząca się rosolem z przeziębienia Klaudyna Hebda. – Rosół to nie tylko „comfort food”, ale też „healthy food” – mnie stawia na nogi. 🐔

Autorka prowadzi blog kulinarny Ugrzyzenie Kozak.

## Przepisy Karoliny Hebdy



### Rosół azjatycki

- korpus kurczaka lub inne mięso
- kilka liści limonki kaffir i/lub dwie laski trawy cytrynowej (trawę można uderzyć tłuczkiem, żeby wydobyła więcej smaku)
- kawałek imbiru wielkości kciuka, pokrojony na około centymetrowe części
- kilka ziarenek pieprzu czarnego
- kilka ziarenek ziela angielskiego (opcjonalnie)
- laska cynamonu
- woda (3-4 litry)

Do garnka z grubym dnem wkładamy wszystkie składniki. Zalewamy zimną wodą, powoli doprowadzamy do wrzenia (powinno wrzeć delikatnie). Jeśli na wierzchu pojawi się piana, ściągamy szumowiny. Gotujemy bez przykrycia przez około 2 godziny lub do czasu, aż mięso zacznie z łatwością odchodzić od kości. Można gotować dłużej, jeśli chcemy uzyskać bardziej skoncentrowany płyn. Przepędzamy przez drobne sitko. Zazwyczaj pod koniec gotowania dodajemy jeszcze łyżkę lub dwie sosu rybnego albo sosu Worcestershire. Można podać go z jajkiem, zieleniną (kolendrą, siekaną szalotką) oraz azjatyckim makaronem ryżowym lub pszennym.

### Rosół domowy jak u babci

- kura (pokrojona, bez głowy, bez nóg) plus dwa skrzydełka kaczki
- zestaw warzyw: zazwyczaj cebula, seler, marchewka, pietruszka, por
- zimna woda, 3-4 litry: tyle, aby przykryć kurę

Cebulę obieramy, przekrawamy na pół. Rozgrzewamy mocno patelnię z odrobiną tłuszczu (może być olej rzepakowy lub smalec). Smażymy cebule od wewnętrznej strony, aż zbrązowieje (ale nie będzie czarna!). Do garnka z grubym dnem wkładamy mięso, warzywa i doprowadzamy do wrzenia. Gotujemy na wolnym ogniu przez około 2 godziny, aż mięso zacznie odchodzić od kości. Ściągamy widoczną pianę i przepędzamy. Najlepiej smakuje z domowym makaronem.



WOJCIECH BOŃKOWSKI

# Kto ufa blogerom

Winiarskie blogi rosą w siłę.

**L**udzie blogują o wszystkim – pieczeniu babeczek, analizie technicznej akcji i tanich ciuchach. Blogują też o winie. W Polsce jest już ponad 100 blogów o winie! Gdy rok temu powstał specjalny agregator winnej blogosfery na [www.winicjatywa.pl](http://www.winicjatywa.pl), było ich 60. W tej chwili nie ma tygodnia, żeby nie powstał nowy blog.

Początki są zwykle te same. Kasia i Tomek, lat trzydzieści parę, mieszkańcy wielkiego miasta, po pracy lubią napić się wina. A nawet więcej, niż się napić – robią fotki etykietom, dobierają wina do dań, serwują znajomym. Czytają trochę w Internecie, postanawiają założyć blog. Jeśli mają ciekawy styl i przekroczą magiczny próg – pół roku pisania raz na tydzień – blogosfera wzbogaci się o ciekawy adres.

Blogi są coraz istotniejsze w niemal każdej dziedzinie naszego życia i wino nie jest wyjątkiem. Z jednej strony prasa tradycyjna, autorytatywne magazyny winiarskie – sto drukowanych stron z felietonami ekspertów i porównawczymi panelami oraz milionem reklam – tracą na znaczeniu. Coraz trudniej im się utrzymać, sprzedaż spada, rynek reklamowy się kurczy. Presja pieniądza jest przemożna i nie wszyscy ją wytrzymują – mnożą się skandale z nieetycznym zachowaniem krytyków. Dotknęły nawet bożyszcza, czyli Roberta Parkera – co prawda nie sam Parker, ale jeden z jego autorów brał kasę za przyznawanie wysokich ocen. Autora zwolniono, oświadczenie o wysokich standardach etycznych opublikowano, ale mleko się rozlało.

Na tym podatnym gruncie blogi rosną jak grzyby po deszczu. Nawet w krajach o rozwiniętej kulturze winiarskiej coraz częściej wypierają drukowane magazyny. Najpopularniejsze blogi prowadzą niekiedy uznani krytycy winiarscy, tacy jak Tim Atkin czy James Suckling. Ale też często kompletni outsiderzy, którzy dzięki dobrej formule i wytrwałości wspinają się na szczyt. Blog The Wine Anorak, prowadzony przez Jamiego Goode'a – w poprzednim życiu biologa – osiągnął milion odsłon w miesiącu! Alder Yarrow z kalifornijskiego bloga Vinography stał się równie potężny, co czołowe magazyny winiarskie.

W Polsce ten trend dopiero raczkuje, ale mamy już sporo dobrych – i bardzo różnorodnych – blogów. Do Trzech Dych skupia się na winach z dyskontów, które opisuje w stylu młodzieżowo-imprezowym. Lampka Wina to poetycka proza niemal jak spod pióra Marka Bieńczyka (doczekała się już pięknego wydania książkowego). Kontretykieta – fascynująca, autorska mieszanka wina, lektur, podróży i krakowskiej hipsterki.

Blogi o winie w Polsce mają od zera do 15 tys. czytelników w miesiącu. Niby mało (czołowe blogi kulinarne dochodzą do miliona), ale zbiorowo i tak wyrastają na główne źródło informacji dla winopijców. 30 proc. winnych internautów czyta blogi codziennie, a rekomendacje blogerów wymieniane są na pierwszym miejscu motywacji zakupowych – aż 65 proc. respondentów kupuje wina polecane na blogach!

Nic dziwnego, że blogerów hołubią sprzedawcy. Nadsyłanie wina do oceny



**1** Vale da Mina Tinto, maliny, wanilia, damskie perfumy, poleca blog Winnetoo, ok. 29 zł

**2** Bouza do Rei Albariño 2011, morze, minerały, cytryna, poleca blog Enofaza, ok. 58 zł

**3** Castellblanch Cava Brut Zero, cytrusy, zielone jabłko, elegancja, poleca blog Blurppp, ok. 45 zł

to już standard. Robią to mali i duzi importerzy oraz supermarkety. Dla firm PR obsługujących wielkie sieci handlowe kontakt z blogerami to obecnie gorący temat. Specjalne degustacje połączone z pokazami kulinarnymi, próbki degustacyjne przysyłane kurierem w fikuśnych skrzyneczkach... Jutro pojawią się zagraniczne wyjazdy i inne bonusy. No i reklamy – a to główne źródło przychodu dla blogerów. Znam już co najmniej jednego, który porzucił pracę w korpo i zamierza poświęcić się winu.

Wkraczamy na grząski grunt. Konsumentom wierzą blogerom, bo uważają, że lepiej reprezentują ich własny smak – no i są bardziej niezależni od profesjonalnych dziennikarzy, których prestiż wciąż spada. Jednak w chwili, gdy bloger zaczyna „monetyzować content”, traci nimb niezależności. Staje się biznesmenem związanym niewidzialnymi nićmi z branżą winiarską. Dochodzi do pomieszania z poplątaniem – niektórzy zaczynają brać kasę za dyskretne wplatanie określonych win do dyskusji na blogu, prowadzą dla czytelników konkursy wokół marki X – „wyśmienitych win ze słonecznej Australii”, które jeszcze przedwcześniej, zanim przyszło zlecenie, „smakowały mi tak sobie”.

Dla blogerów to egzamin dojrzałości. Bez kasy można raz na tydzień pisać o winie, które z Kasią i Tomkiem wypiliśmy do sushi. Żeby blogować na większą skalę, trzeba wprowadzić jasne zasady, opierać się pokusom, oceniać rzetelnie. Blogerzy muszą stać się dziennikarzami, których mieli zastąpić. I tak koło się zamyka.

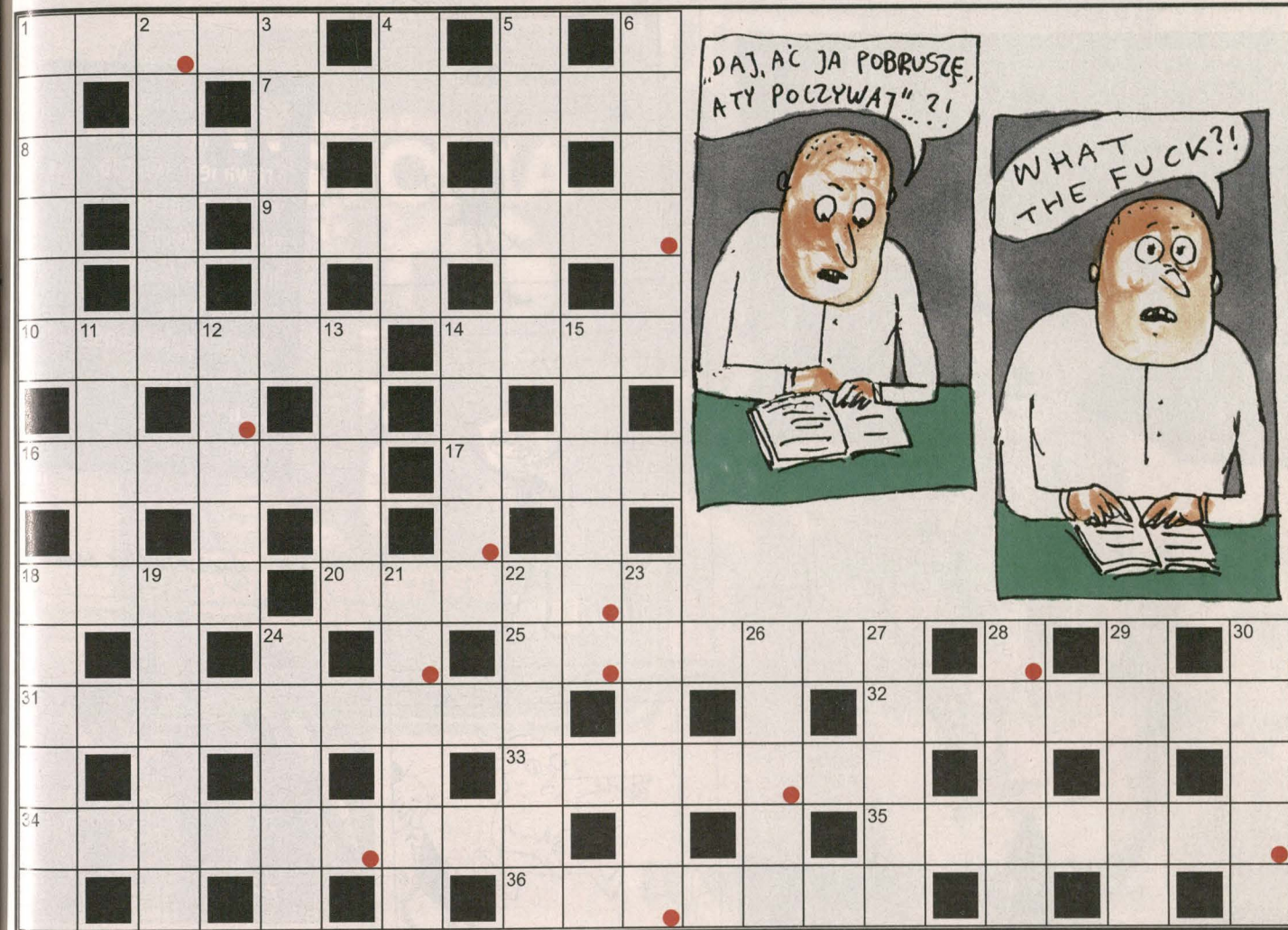


**WOJCIECH BÓNKOWSKI**

Pisze o winie od 2000 r., twórca portalu [winicjatywa.pl](http://winicjatywa.pl), nieustraszony eksplorator win marketowych i wszelkich innych.

WINA

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.



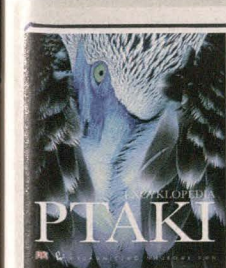
RYŚ: MAREK RACZKOWSKI/ARCHIWUM „PRZEKRÓJ”

**POZIOMO:**

- 1. Z NIEJEDNEGO PIECA
- 7. PAŁA Z HISTORII
- 8. OD PASA W DÓŁ
- 9. STWORZONY DO ROLI
- 10. NA DRUGIEJ PIERSI
- 14. SEZON NA RYBY
- 15. PASKI DO SPODNI
- 17. ŻUK W ROWIE
- 18. POWODUJE RAKA
- 19. FRAJER PO ŁĄCINIE
- 20. BIURKO W BIURKO Z BIURWĄ
- 25. BIURKO W BIURKO Z BIURWĄ
- 31. PRZEPIS NA ŻYCIE
- 32. PO DRODZE DO SZKOŁY
- 33. WYMIAR KARY ŚMIERCI
- 34. CECHY MISTRZÓW
- 35. WCISKA KIT
- 36. O DZIEŁO! UMOWA

**PIONOWO:**

- 1. OD GŁÓW DO STÓP
- 2. PRZEWROTNA GRA
- 3. MŁODY STUHR
- 4. NIEOBECNY NA WIGILII
- 5. ODBIJA MI ŻONĘ
- 6. DRUGA FALA ODRY
- 11. ZAKAZANA DISCYPLINA
- 12. MAŁA KROKIEW
- 13. RZĘKA KRWI
- 14. JAK MOŻNA Z NIEJ WYLECIEĆ
- 15. NIEBIESKIE OCZKO
- 18. KOT DOBIEGAJĄCY SETKI
- 19. SŁUŻY DO NABIERANIA
- 21. DOMINUJE NA RYNKU NA POLSKIEJ MUZYCE ROZRYWKOWEJ
- 22. SPOTKANIE KOTA Z TUREM
- 23. SZALKA
- 24. AKTOR, KTÓRY GRYMASI
- 26. TO ROŚNIE, GDY PAN PŁACI
- 27. CMĘTARZ SYREN
- 28. KŁADZIE SIĘ CIENIEM
- 29. ZABITY W TRUMNIE
- 30. Z LINĄ W SZAFIE



Nagrodą w tym tygodniu jest książka

**„Ptaki. Encyklopedia”**

Wydawnictwo Naukowe PWN

Wygraj jedną z 10 książek. Rozwiązania należy przesać NA KARTCE POCZTOWEJ na adres: Presspublica sp. z o.o., ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, z dopiskiem: „krzyżówka 2”. Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 20 stycznia 2013 r. (decyduje data stempla pocztowego).

**LAUREACI Z NR. 51/52**

Monika Szatkowska, Poznań; Irena Galdyn, Krapkowiec; Jacek Stychno, Sosnowiec; Elżbieta Wawrzynkiewicz, Nowe Czarhowo; Irena Felczak, Gdynia; Elżbieta Szymała, Wągrowiec; Renata Sikorska, Warszawa; Krystyna Pawluk, Wejherowo; Anna Burakowska, Barlinek; Grzegorz Właderek, Kraków

**ROZWIĄZANIE Z NR. 53**

**KRZYŻÓWKA: KLEJNOTY KORONNE**

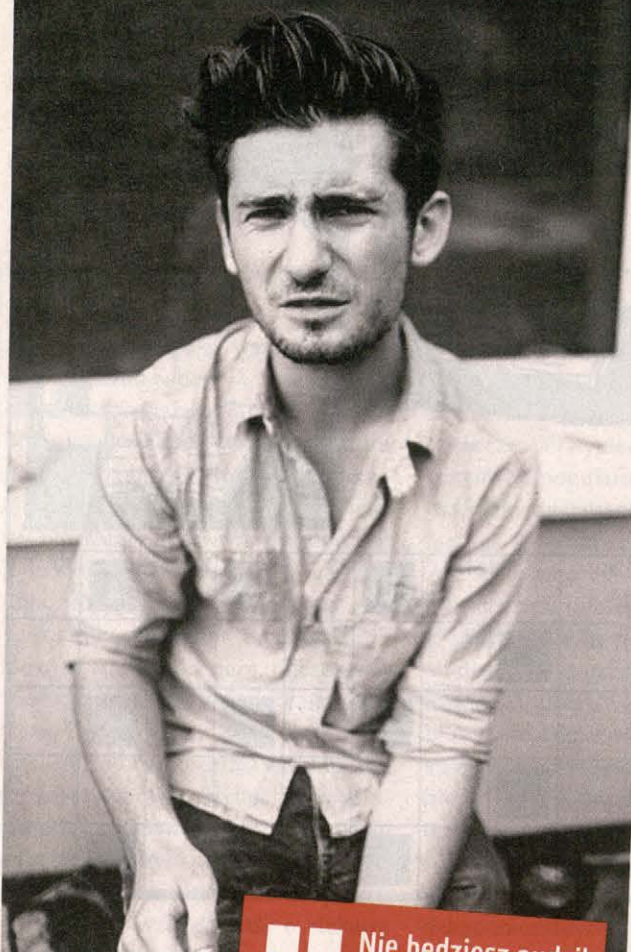
**POZIOMO:** 1. PRZEMIESZCZAJĄ SIĘ ZE ZŁAMANIEM – NOSZE 7. BIAŁY MIĘDZY CZARNYMI – KŁAWISZ 8. UCIEKANO ZE ŚLUBU – WIANO 9. CHODZI NA PALUSZKACH – LATARKA 10. ZŁOŻONA SPRAWA – SKARGA 14. OD 1500 ZŁOTY – WIEK 16. NAJWYŻSZE MIEJSCE NA LIŚCIE – DRZEWO 17. CIACHO BALBINY – PTYŚ 18. KARTA WINA – PIKA 20. RODZAJ ZBLIŻENIA – DOSKOK 25. SŁOMA MU Z BUTY WYSTAJE – AROGANT 31. MORDOM SOK OD TYŁU – KOSMODROM 32. MA MOCNY GŁOS – ELEKTOR 33. SILNIK Z ŁAŃCUCHEM – REAKTOR 34. ZDANIE PIERWSZORZĘDNE ZŁOŻONE – SENTENCJA 35. TOPI SIĘ NA ŚWIECZNIK – MOSIĄDZ 36. FLAKI PO POLSKU – TRZEWIA

**PIONOWO:** 1. (JEDEN Z NICH) – NAWIAS 2. MIĘDZY USTAMI A BRZEGIEM PUCHARU W TEKŚCIE – SPACJA 3. PRZYWIĄZANY DO DRZEWA – EKOLOG 4. SMOLI CHOLEWY – PASTA 5. WYCIĄGANIE WIOSŁA Z KUPY – BIERKI 6. WUJ MA NA HONORZE – SZWANK 11. NA DRODZE DO MATURY – KORKI 12. NIE UJDZIE NA SUCHO – RZĘKA 13. CHWYTA ZA UCHO – AKORD 14. JEDZENIE OWIEC – WYPAS 15. DUŻO WYDAJE – EDYTOR 18. LENI SIĘ NA DESKACH – POKOST 19. KOŚCI ZOSTAŁY RZUCONE – KASYNO 21. CHLEBA NASZEGO POWSZEDNIEGO – OKRUCH 22. TOWARZYSZ BABUNI – KAMRAT 23. ZAWODNIK DYNAMY – KOLARZ 24. KRZEPAKOWY – KOLEJ 26. JĄDRO CZŁONKÓW – AKTYW 27. GDZIE WODA PŁYNIE Z PRADEM – TERMA 28. RYCZY, BO NIE CHCE MLEKA – BEKSA 29. ZIARNKO DO ZIARNKA – STRĄK 30. BUDZONA NOCĄ – GROZA

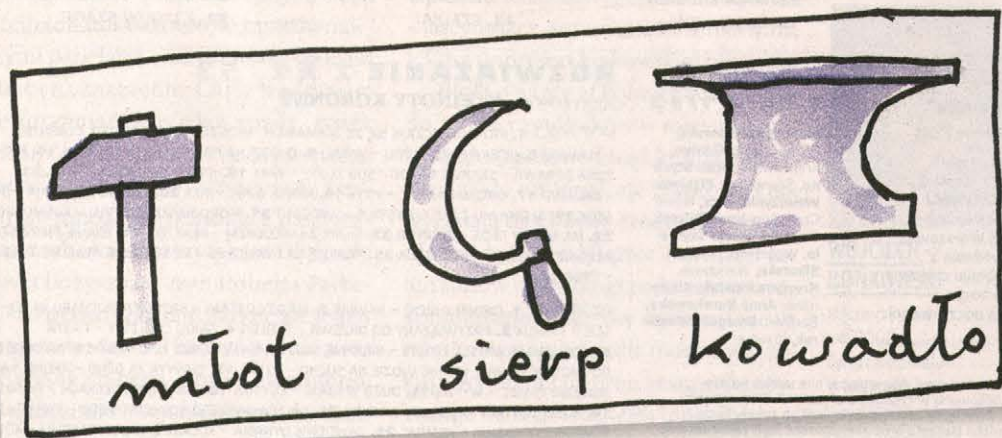


FILUTEK

**Kociak tygodnia:** Marcin, 23 lata. Próbuje swoich sił w kreacji reklam, hobbistycznie gra na gitarze, uwielbia kanadyjskiego rocka. Fot. **Sonia Szóstak**



**„ Nie będziesz nudził bliźniego swego.   
 Billy Wilder**



Marek Raczkowski

**„ Natura jest niewygodna. Trawa jest twarda, wilgotna, pełna obrzydliwych insektów. Gdyby natura była wygodna, ludzkość nie wymyśliłaby architektury.   
 Oscar Wilde**



**Czy dla damy rozmiar ma znaczenie?**

Wśród dżentelmenów krążących po tym świecie zdarzają się ci całkiem na czasie, ale i ci co nieco wczorajsi. Osobnik wczorajszy to nieszkodliwy, lecz odarty z werwy sentymenciarz. Za nic ma fakt, że dawno wyrósł ze skrojonych na miarę garniturów i roi sobie, że wkrótce powróci do gabarytów dawnej świetności. Damie może się jednak trafić także typ trzeci – dżentelmen pozaczasowy, któremu się zdaje, że jest już tam, gdzie go jeszcze nie ma. Jest to obiekt typu wiecznie nieukończony gmach. Fasada wielkiego formatu, a za nią instalacja w stanie ciągłej przeróbki. Konstrukcja taka w zamysle wybija się ponad wszelką przeciętność, onieśmiela wzięją w rozmiarze Large & Long, zwiastuje jednak wzdrganie wobec zjawisk tak przejściowych jak doczesność. Dama, która oprócz zamiatania do bycia w czasie, którego jeszcze nie było, lubi również bycie w chwili, która jest, zanim postrada zmysły dla dżentelmena pozaczasowego mierzy, ile w jego pozaczasowości zajmuje poza, a ile czyni. → Ula Ryciak



**W sprzedaży, a w nim m.in.:**

- Halik Kochanski / Polacy mogą być dumni z AK
- Michael Foedrowitz / Abwehra kontra gestapo
- Andrew Nagorski / Amerykanie w Hitlerlandzie
- Andrew Roberts / To Francuzi zdradzili Polskę
- Wiktor Suworow / Uwaga na agentów!



Available on the App Store

Google play

**POBIERZ APLIKACJĘ NA SWÓJ TABLET**

[www.historia.uwazamrze.pl](http://www.historia.uwazamrze.pl)



MAGAZYN

# SUKCES

**NOWY NUMER  
W SPRZEDAŻY**

**PRZECZYTAJ M.IN.:**

- **Bogna Sworowska** – Przyjemnie jest żyć tak, jak się chce, a nie jak się musi. Pieniądze to dają, więc warto zarabiać.
- **Pokerzysta nie przypomina dziś szulera**, jakim był Wielki Szu. To na świecie zawód jak każdy inny.
- **Bonjour, Louis Vuitton**  
Luksusowa marka stawia na Polskę.



**POBIERZ APLIKACJĘ  
NA SWÓJ TABLET**

[www.sukcesmagazyn.pl](http://www.sukcesmagazyn.pl)

**POBIERZ APLIKACJĘ NA SWÓJ TABLET**



Available on the  
App Store



Google play